

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE
POD REDAKCJĄ DRA L. KURDYBACHY

tom
83

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

ZNASZLI TEN KRAJ?...

(CYGANERIA KRAKOWSKA)

DOWÓDZTWO 5 KRS. DYW. PIECH.

KWATERAGŁÓWNA

Ldz.

279



L. B. ZWIERZCHOWSKI,
4, HAMMOND DRIVE,
BIRMINGHAM, B23 6PH
Tel. 021-373 3607

Ministerstwo Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego

Jerozolima 1945

DAR POLAKÓW Z ANGLII
DLA
POLITECHNIKI RZESZOWSKIEJ
1990 - 1991

7n. 11

Komputer



211681

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0036603

D-86/82

DOWÓDZTWO 5 KRES. DYT. PŁCH.
KWATERAGŁÓWNA

Ldz.

Prawy brzeg Wisły

Kiedy, z okazji przedmowy do nowego wydania *Słówek i ćwierćwiecza Zielonego Balonika*, zamyśliłem się nad dawnym Krakowem, uczułem, że temu miastu należałaby się osobna monografia. Bo Kraków taki, jakim go spłot warunków uczynił, to było najoryginalniejsze miasto pod słońcem, z pewnością unikat na kuli ziemskiej wszechczasów. Już pod względem geograficznym położenie jego było osobiwe. Wciśnięty w sam kąt Galicji, odcięty granicą od całego niemal *Krakowskiego*, które mieściło się w zaborze rosyjskim, odcięty drugą granicą od przemysłowego zagłębia na Śląsku, wydziedziczony ze swej stołeczności — bodaj galicyjskiej — przez Lwów, wgnieciony w plan twierdzy austriackiej z zatamowaniem ruchu budowlanego przedmieść, Kraków podcięte miał wszystkie możliwości materialnego rozwoju. Był co się zowie małym miastem. W epoce, gdy chodziłem do szkoły, uczyłem się w *statystyce* Austrii, że Kraków ma 56 tysięcy mieszkańców. Z początkiem wieku XIX miał ich podobno osiem... Oto losy dawnej stolicy Jagiellonów. Mimo to nigdy Kraków nie abdykował ze swej stołecznej roli; przeciwnie, wytworzone przez niewolę warunki bytu oblekły go w insygnia nowej królewskości; dane mu było aż do lepszych czasów przechowywać pewne wartości duchowe, zdławione w innych dzielnicach.

Wszystko to razem robiło z Krakowa osobiwy stwór. Można by zaryzykować jedno porównanie. Jak wiadomo, Paryż rozkłada się na dwóch brzegach Sekwany, przy czym terminy *rive gauche*, *rive droite* budzą pewne pojęciowe i wzrokowe kompleksy. Otóż Kraków, tak geograficznie jak metaforycznie, był cały — lewym brzegiem. Były tam —

niby w *faubourg Saint-Germain* — stare arystokratyczne pałace. Snuły się po nim — jak w okolicach *Saint-Sulpice* — kwefy, sutanny i czarne kapelusze. Były poważne mury Akademii, birety i togi; roje młodzieży wysypywały się z uniwersyteckich gmachów. Była i dzielnica artystów, gdzie kwitły sztuki piękne i gdzie, w zaciszach pracowni, uzbrojone w węgiel młode dłonie kopiowały, częściej co prawda gipsowe niż żywe modelki. Były i wąskie uliczki, ciche, ci-chutkie; i malownicze zakątki, i stare kościoły; — to był lewy brzeg wcale imponujący: nie powstydziliby się go żadna stolica. Ale na tym był koniec: gdy na prawym brzegu Sekwany huczy cały nowoczesny, bogaty, ludny, rojny, modny Paryż, na prawym brzegu Wisły były tylko — Dębniaki.

Ale co tu wspominać Paryż. Ot, taki Lwów, to był szczęściarz! Austria zrobiła go, lichy wie za jakie zasługi, stolicą: był siedzibą Sejmu, Wydziału Krajowego, Namie-stnictwa, co za tym idzie skupiał tysiące interesów. Poło-żony w ogromnej połaci kraju, która stanowiła jego dopływ naturalny, w żyznej ziemi podolskiej, miał w dodatku w po-bliżu na okrasę — naftę! Toteż Lwów (w porównaniu z Krakowem i na miarę zabiedzonej przez Austrię Galicji) kipiał życiem; banki i banczki wyrastały i pękały jak bańki mydlane, handel ze Wschodem, interesy, interesiki, humor, rozmach, wesołość. Lwów odznaczał się przy tym szcze-śliwym połączeniem krwi: polskiej, *rusińskiej* (jak wówczas się mówiło), ormiańskiej; — śliczne i chętne życie kobiety, śpiewność, muzykalność, ogień w żyłach. (Trzy czwarte śpiewaków i śpiewaczek dawał Polsce Lwów). Toteż Lwów patrzył z politowaniem na cichy i ubożuchny Kra-ków, gdy Kraków, z wyżyn swych kulturalnych świetności, patrzył na Lwów niby podupadły wielki pan na dorobkie-wicza. Ale faktem jest, że we Lwowie był inny klimat.

Klimat... Piszac o Krakowie w *Synach Ziemi*, Przy-byszewski maluje Wisłę, jak płynie leniwo, powoli i ziej-

zarazą malarii na miasto. Czy ta przenośnia miała jakiś re-alny podkład lekarski? To pewne, że w Krakowie był ja-kiś organiczny smutek, jakaś można by rzec *infekcja smut-*ku. Czy tu działały czynniki psychiczne, czy warunki ma-terialne, czy w istocie jest coś w klimacie?

To przytłumione życie, bez niespodzianek, bez ryzy-ka i bez możliwości, wycisnęło na Krakowie swoje piętno. To nie było miasto miłosne, jak Lwów. Gdy we Lwowie nawet stracenie modercy opiewano skoczną piosenką „*Wi-dzisz, Lewicki, co miłość może, — w zimnej mogile kochan-ki trup*” (na nutę: „Ach, ta trójka”), Kraków był niemy, nie śpiewał; co najwyżej pijany murarz wracając z szynku, darł się fałszywie: „Idzie murarz, idzie, walca wygwizdu-je — a wesz po kołnirzu — a wesz po kołnirzu — marsia spaceruje”... Piszę to, aby podkreślić dziwaczność narodzin piosenki w *Zielonym Baloniku*. Ten wybuch wesołości, który poszedł na całą Polskę właśnie z tego Krakowa, był niewątpliwie paradoksem; otóż, życie Krakowa składało się z samych takich paradoksów.

Było smutne. Ta sfera, która wówczas nadawała mu ton — arystokracja, w ubożuchnym Krakowie będąca za-razem jedyną *plutokracją* — żyła dość eksterytorialnie, w swoich pałacach, w klubie, za granicą wreszcie. Mieszczan-stwo trzymało się w stylu *biedermajer*, dość świętoszkowa-tym. Jeżeli była tak zwana „rozpusta”, to nieszumna, ro-biąca ruch, dająca życie setkom ludzi, ale wstydliva, poką-tna, brzydka. I tutaj niszcząco działała na Kraków bliskość Wiednia. Flaszki wina nie wypił taki łyk *loco*, ale jechał na nią pod jakimś szanownym pozorem do „Widnia”. Oczy-wiście ta abstynencja fatalnie działała na życie miejscowe. Nie da się opisać, na jak niskim poziomie stał krakowski „półświatek”. I dziewczęta wysypujące się z „cygarfabry-ki” niewiele doprawdy miały z Carmeny, żarła je bieda i blednica, brak zalotności był uderzający. Może znów ten brak zalotności dziewcząt był jedną z przyczyn biedy Kra-

kowa: nie dawały owej podniety, która każe mężczyźnie zdobyć pieniędzy czy wydzwignąć się ponad swój stan za wszelką cenę. Jeżeli tak było, źle spełniały swoje przeznaczenie kobiece, którym jest wywoływać ruch wstępujący klas oraz ożywiać obrót pieniądza. Toż samo ładne a bezposadne dziewczęta ze sfer mieszczańskich z rezygnacją poddawały się staropaniństwu, którego panna z „dobrego domu” nie mogła wypełnić nawet pracą zarobkową. Ach, te tragiczne pary — matka z córką — obchodzące przez całe lata plantacje, coraz starsze, coraz kwaśniejsze!

W dzień jeszcze Kraków miał jakieś pozory życia, nie bardzo zharmonizowanego zresztą z jego murami; za to w nocy mury brały władztwo nad człowiekiem. Z uderzeniem dziesiątej krakowianim, oszczędny z musu, chronił się do domu przed godziną tradycyjnej *szperry*, oszczędzając na stróżu niemniej tradycyjną *szóstkę*. Zdąży, nie zdąży... Zdążył: zdyszany dopadł bramy, zanim niechętnie spoglądający na ten wyścig stróż zdołał ją zamknąć, i za chwilę już wydzwaniały ową dziesiątą cztery wieżowe zegary, otrębywał ją hejnał mariacki na cztery strony maleńkiego świata. Na opustoszałej ulicy zostawał jedynie policjant i ta samotna „kokotka”, której — jak opiewała jedna z piosenek *Szopki krakowskiej* — nie pozostawało nic jak rozkochać się w romantycznym pięknie tego miasta umarłych. Ale niebawem wsiąkała w mury i ona, wylaniał się stróż nocny z halabardą, można było mniemać, że się jest, het, w wiekach średnich.

Bo zważmy, że stosunek Krakowa do swoich murów był zgoła odmienny niż w innym nowoczesnym mieście. Wszędzie odbywa się w ciągu lat walka między kamieniem a człowiekiem, życiem a przeszłością. Miasto wykupia niejako z garnka swoich murów, rozlewa się szeroko, tworzy sobie nowe dzielnice, zostawia zabytki na boku. Kraków do bardzo późna cały niemal zamknięty był w przestrzeni dawnych murów, których pamiętką została brama Floriań-

ska wraz z Rondlem, wskazówką topograficzną plantacje, a które wypełniała siatka starożytnych ulic z węzłami kościołów. W Krakowie człowiek — w znaczeniu życia materialnego — był za słaby, życie za wątłe, mury raz po raz zwyciężały.

Nie bez walki: och, nie. Ta stolica dziwnego nabożeństwa miała w sobie szczególną żywotność. Nigdy, nawet w najcięższych opresjach, nie zgodziła się zstać po prostu małym miastem, tak jak dziś za nic nie godzi się zostać prowincją, wasalką Warszawy. Raz po raz stwarzała sobie formy, czasem dziwaczne, w których manifestowała swoją odrębność, udziałność. Ale walka z murami była trudna.

Nic w tym mieście nie było takie jak gdzie indziej. Pory roku znaczyły się tam obrzędami. *Groby*, nabożeństwa majowe, Boże Ciało, lajkonik, wianki, pasterka, w ogóle wszelkie uroczystości odgrywały w życiu Krakowa nieproporcjonalnie dużą rolę. Rozwijał się zmysł dekoracyjny. Po rezurekcji we wszystkich salonach rozmawiało się o tym, jak *prześlicznie* wyglądał biskup Dunajewski z infułą na srebrnych włosach. Mówiło się o nim, jak gdzie indziej o aktorce. Osobliwym zbiegiem spotęgowała jeszcze tę naturalną skłonność sytuacja polityczna Krakowa, czyniąc zeń uprzywilejowane miasto narodowych obchodów, przedsiónek do Skałki i Wawelu.

Przebierano się też przy lada sposobności. Jeszcze w dzieciństwie pamiętam paru ludzi, którzy chodzili stale w kontuszu, przy szabli; inni w czamarach. Mieszczanie kładli insygnia cechów lub króla kurkowego, profesorowie togi, sokoli swoje dołmany i pentelki, ludowcy sukmany; wciąż coś święcili, grzebali, witali... To doktorat *sub auspiciis imperatoris*, to Trzeci Maj, to pogrzeb Mickiewicza, to przyjazd arcyksięcia. Tarnowskiemu przez trzy lata przedłużano rektorat, bo były w programie jakieś obchody, a nikt tak twarzowo nie wyglądał w todzie. Kiedy Szkołę Sztuk Pięknych przemieniano w Akademię, pierwsza rzecz,



Sokół (rys. W. Jarocki)
z *Liberum Veto*

która się nasunęła, to były togi i gronostaje. Zapewne, wszędzie są jakieś obchody, ale rozpuszczają się w strumieniu żywego życia, tutaj miasto żyło nimi jak narkotykiem. W ogóle nigdzie tyle co w Krakowie nie żyło się wyobraźnią, a tak mało realnie. Życie było marzeniem, gapieniem się, jeżdżeniem przez imaginację na wszystkie koronacje.

I stosunek do przyrody był odrębny. Słońce czuło się tam nieswojo, budziło smutek. Oświeślało niedyskretnie nędzę życia, twarze kobiet zabiedzone i wyblakłe, niemodną, nicowaną i cerowaną odzież. Za to księżyc

był jak u siebie w domu, cudownie harmonizował z pejzażem wąskich ulic i zaułków, miał jakieś powinowactwo z ludźmi. Kraków, to było lunatyczne miasto. Nigdy poza Krakowem nie pamiętam, abym się interesował księżycem; w Krakowie pełnia nie dawała mi spokoju, wypędzała mnie z domu. Nigdy nie słyszałem o lunatykach, w Krakowie opowiadano o nich raz po raz.

Noc w Krakowie miała swoje widmo. Był nim malarz religijny Franciszek Krudowski, tajemniczy człowiek, odłudek niewidzialny w dzień. Za to w nocy, jakąkolwiek ulicą, o którejkolwiek godzinie się przechodziło, wyrastała nagle z mroku wysoka postać Krudowskiego. Doprawdy można było podejrzewać, czy on nie ma daru rozszczepiania się (czemu by nie?) i czy nie pojawia się naraz w kilku miejscach.

To był ten dawny Kraków mego dzieciństwa. Kraków mojej młodości już był inny. Z murów tych jak czarami zaczęły puszczać nowe pędy. Z salonów i zakrystyj życie wymknęło się na ulicę, zaczęło szumieć po kawiarniach. Młodzież, której przed tym w Krakowie się nie czuło, wyrośliła się pelerynami. Na lewym brzegu Wisły wykwitło nowe dla Krakowa zjawisko — cyganeria. I gdybyż jedna! Niemal równocześnie oglądał Kraków cyganerię malarską, cyganerię Pawlikowskiego, cyganerię Zapolskiej, cyganerię Przybyszewskiego, cyganerię bronowicką, ba, można by powiedzieć, cyganerię Lutosławskiego i Daszyńskiego, nie licząc cyganerii studenckiej, wzmożonej młodzieżą chroniącą się raz po raz zza kordonu i falangą młodych dziewcząt, pierwszy raz dopuszczonych do studiów uniwersyteckich. To była jedna z najenergiczniejszych odmładzających „kuracji Steinacha”, jakie kiedy widziano.

Wszystko to się przewaliło. *Zielony Balonik* był „kropką nad i” tej przemiany starego Krakowa. Radosnym uświadomieniem. Podłożeniem wszystkich tych zdarzeń pod muzykę piosenki. Szturmem do księżycy. Życie brane w pigułkach. Co parę tygodni jedna noc. Kilka godzin cudownej złudy, że ta igraszka zbratanych z sobą sztuk jest pianką płynącą po szerokiej rzece, że ten szampan, który się perli w kubkach, jest normalnym napojem przyzwoitego człowieka, że tam za ścianą śpi wielkie miasto, które zbudzi się rano pełnią życia... I w istocie, kiedy się człowiek rozejrzył po sali, można było mieć złudzenie. Co za interesujące pyski!

Talentu, inteligencji tyle, że można by nimi obdzielić całą Polskę. Dajcie im tylko ów „punkt oparcia”, którego się daremnie dopraszał Archimedes.

Pamiętam jedną taką noc, po której rano cała gromadka Michalikowa wysypała się na ulicę. Ranek był brudnoszary. Wieża Floriańska, zawiana trochę, chwiała się na nogach, jak to uwiecznił *Szczygieł* w swoim fresku. Wieża Mariacka też miała koronę na bakier. Baby w krasnych chustkach ciągnęły z dworca kolei z koszykami na targ. Olbrzymiego Witolda Noskowskiego, w matowym półcylinderku i w potężnej szubie z peleryną, całowały przechodząc w rękę, brały go co najmniej za kanonika. Poza tym było pusto. Szliśmy ulicą Floriańską, Rynkiem, Grodzką, mijając kościół Panny Marii, kościół świętej Barbary, kościół świętego Wojciecha, kościół Dominikanów, kościół św. Piotra i Pawła, kościół św. Idziego, kościół św. Andrzeja, katedrę aż nad samą Wisłę. Płynęła szara, mała, zbiedzona, trochę śmieszna. Za nią, w oddali, majaczyło kilka domków. Prawy brzeg Wisły. Dębniki.

Ten prawy brzeg Wisły i to, czego tam nie było, to był dramat krakowskiego życia.

Mury i ludzie

W poprzednim szkicu o starym Krakowie wspomniałem o walce murów z żywymi ludźmi. Ta walka — to nie jest tak prosta rzecz: i mury, i ludzie to są rzeczy szanowne; po czyjej tu być stronie? Istnieje dziś, w postaci specjalnych urzędów, ochrona murów przed ludźmi, ale gdzie ochrona ludzi przed murami?... Od niedawna działają urzędy konserwatorów, i to jest dobrze. Ale mimo woli nasuwa się myśl, gdyby takie urzędy konserwatorów istniały od wieków, ile by pięknych rzeczy nie powstało. Duma Krakowa, jeden z jego uroków i oryginalności — plantacje, zrodziły się z nieprawdopodobnego wandalizmu: powstały na miejscu zburzonych murów miasta. Podziwia się wieżę Floriańską: dawniej była taka na wylocie każdej prawie ulicy śródmieścia. Zburzono je. I samej wieży Floriańskiejomal nie zburzono, a warto zanotować czemu zawdzięcza, wedle tradycji, swoje ocalenie. Mianowicie w czasie debaty w radzie miejskiej, gdy zagłada jej była postanowiona (zburzono wszak ratusz na Rynku!), jeden z radnych zaoponował motywując swój protest tym, że pod kościołem Mariackim są i tak straszliwe wiatry; otóż, jeśli się zburzy wieżę Floriańską, przeciąg będzie nie do wytrzymania. Widzę, że się uśmiechacie: co za głupstwo! Ale to nie było takie głupstwo i miało swoje racje. Czy wiecie, co to był wichur pod kościołem Mariackim? — a są tam w istocie wichury straszliwe. To było zgorszenie wiernych dążących do świątyni, to była tragedia statecznych niewiast, sprawa ich powagi i czci.

Ja to jeszcze rozumiem, ale na ogół jedno pokolenie nie rozumie drugiego. Nie trzeba patrzeć na dawność dziejszymi oczami. Dziś kobieta, w swoim grzybku na głowie, w swoim *burberry*, urąga kaprysom aury, zawsze mo-

że być wdzięcznie i schludnie ubrana, ładnie obutymi różkami przebierając po gładkim asfalcie. Dziś moda jest demokratyczna, na miarę ludzi pieszych i tramwajów. Ale jeszcze za moich czasów mody były tworzone dla dam jeżdżących kareta, a przejmował je potulnie gmin chodzący na nogach. Wyobraźcie sobie ciężką suknię do ziemi, olbrzymi kapelusz z rozmaitymi kukuryku, strusiami, kolibrami, winogronami, całe wiszące ogrody na głowie, nogi w kaloszach, z których się przez kilka miesięcy nie wylażyło dla straszliwego błota, wyobraźcie sobie to wszystko w słotę i wiatr, taki jaki bywał pod kościołem Mariackim, gdzie konfiguracja ulic stwarzała piekielną istic różę wiatrów! Wyobraźcie sobie kobietę unoszącą suknię, w którą wichur dmie niby w żagiel, zdzierając równocześnie z głowy kapelusz, odsłaniając barchanowe majtki, nicując parasol i czyniąc ich właścicielkę radością tłumów śpieszących do domu Bożego. A cóż dopiero dama w „rotundzie”, jaką z początkiem naszego stulecia jeszcze nosiły damy, w ciężkiej rotundzie bez rękawów!

Tak więc, roztropny głos owego rajcy ocalił bramę Floriańską. I drugi raz była zagrożona. Było to mianowicie wtedy, kiedy przerabiano tramwaj konny na elektryczny. Pamiętam ów doniosły ewenement i dyskusję, jaka się na ten temat toczyła w domu Przybyszewskich. Stach oburzał się: jego cudny średniowieczny Kraków odrutowany! Zdawało by się, że już tramwaj konny stał się nietykalną tradycją, tak dalece wszystko w Krakowie przybierało charakter zabytku. A Wyspiański ze swoim drwiącym uśmieszkiem radził następujące rozwiązanie: wprowadzić elektryczność dla postępu, ale zachować biegnącego przed tramwajem „honorowego” konika, dla tradycji.

Otóż brama Floriańska była zagrożona o tyle, że sam tramwaj ledwie się w niej mieścił, na wierzchnie druty nie było już miejsca. Inżynierowie podali projekt, aby łuk bramy podciąć. Łatwo pojąć, jaki krzyk podnieśli konserwato-

rowie: niszczyć te wymiary, te cudowne proporcje, naruszać odwieczne mury! W końcu znaleziono inne wyjście: pogłębić bramę od dołu obniżając na przestrzeni kilkudziesięciu metrów poziom ulicy. I na to mruczeli starzy, ale już ich nie słuchano. Dziś nikt tego nie pamięta i dalej podziwia się niezrównane proporcje...

Niech mnie tylko nikt nie posądzi o brak sentymentu dla murów Krakowa. Wręcz przeciwnie, jestem w nich zakochany. Cały *Zielony Balonik* zresztą był niemal ekspozyturą duchową urzędu konserwatorskiego; staczał niejednokrotnie boje o całość skarbów dawnego Krakowa. Jakżeby mogło być inaczej! Ale prawo do uśmiechu jest starsze niż wszystkie mury na świecie.

Ta „wojna murów” miewała swoje dramatyczne epizody. Aby wystawić teatr, zburzono szpital św. Ducha; była tam stara kaplica, którą sobie upodobał Matejko. Chciał ocalić tę kaplicę, ofiarował się wyrestaurować ją własnym kosztem i obrócić na muzeum. Nic nie pomogło: zburzyli. Matejko był honorowym obywatelem Krakowa; rozgniewany, odesłał dyplom. Miasto wysłało doń deputację z prośbą, aby cofnął ten krok. Przyjął ją bardzo szorstko. „Panie artysto, rzekł jeden z dygnitarzy miejskich urażony, przecież i my każdy kamień w Krakowie znamy i Kochamy. — Tak, każdy kamień, który prowadzi od Hawełki do Wencła” (dwa znane handelki), — odparł Matejko i pozostał nieubłagany.

„Burzymurki” — tak nazywali miejskich wandalów obrońcy starego Krakowa. Cóż za namiętne walki toczyły się o domki przy kościele św. Idziego, bez wartości same w sobie, ale mające zaszczyt służyć za obramienie dla Wawelu. Może niegdyś, kiedy wyrosły z ziemi, oburzano się na nie jako na oszpecenie, ale oko tak już przywykło do nich: tradycja!

Czasem tradycja ta spadała komuś na łeb jak dachówka. Oto epizod, dziś już zupełnie zapomniany: awan-

tura z tzw. „Basttą Kościuszki”. Był przy ulicy Podwale zapuszczony ogród, w którym stała jakaś rudera. Kupił to wszystko, jako plac budowlany, pewien radny miejski i kupiec win, w intencji postawienia wielkiego nowoczesnego hotelu. Kiedy już gotował plany, naraz spada na niego protest urzędu konserwatorów: w baszcie tej, a właściwie domku, spędził, jak się okazało, jedną noc Tadeusz Kościuszko w dobie powstania. Nie wolno burzyć: zabytek, pamiątka. Kupiec zawrzał gniewem. Jak to, kupił plac budowlany, zapłacił porządną cenę, a teraz ma go sobie chować na pamiątkę? Trzebaż człowieka ostrzec! toż stała ta rudera tyle lat, nikt o nią nie dbał, a dopiero teraz, kiedy on chce wystawić miastu porządný hotel, wyjeżdżają mu z Kościuszką?

A po co mówić prozą, kiedy opiewałem to wierszem w *Zielonym Baloniku*: „Dzieją się cuda: ot, stała buda, pies nie zatroszczył się o to; aż w jednej chwili coś w niej odkryli; to świętość, relikwia, złoto! Tu, pod tą gruszką, drzemał Kościuszko: dopieroż robi się skweres; a pod tą drugą Kółkaj Hugo załatwiał mały interes! Chcę kłaść fundament, ci dalej w lament: — Na Boga, nie tykaj gruszek! — I płac ty, człeku, po całym wieku, koszta rebelii Kościuszki...”

Tak lamentował kupiec win i radny miejski. Ale ten radny był potęgą polityczną: specjalistą od fałszowania wyborów, twórcą jakiegoś systemu urn wyborczych, stanowiącego epokę w życiu politycznym Galicji. Świadom swej wartości, nie dał sobie w kaszę dmuchać p.p. konserwatorom, zwłaszcza że w owym czasie kurs konserwatywny spadł nisko. Podczas gdy pisma wrzały polemiką o *Basttę Kościuszki*, on wezwał cichcem murarzy i w ciągu jednej nocy uporał się z niedużą budowlą; rankiem na drugi dzień nie było ani śladu. Rozumiał jako polityk wymowę faktów dokonanych. W istocie dyskusje skończyły się jak nożem uciął; od tego czasu słuch o *Baszcie Kościuszki* zaginął. Tyle tylko, że radca zniechęcony, nie postawił już hotelu, ale prywatny dom dla siebie.

Jeszcze jeden przykład ucisku murów na człowieka. Notowałem raz, przy innej sposobności, jeden z faktów psychologicznych. Mianowicie w owej epoce, choćby mężczyzna i kobieta najbardziej mieli ochotę się spotkać i spędzić czas z sobą, zawsze nim doszło między nimi do ostatecznego porozumienia, potrzebowali jakiegoś godziwego pretekstu. Coś trzeba było pokazać. Stąd każdy światowy posiadacz garsoniery coś kolekcjonował, porcelanę czy coś podobnego, a każda dama interesowała się kolekcjami. Ale gdzie tam w Krakowie garsoniera i porcelana! Toteż wstępne schadzki były bardzo utrudnione. Było jedno uprzywilejowane miejsce: kościół św. Katarzyny, położony w odludnej dzielnicy, zawsze prawie zamknięty i pusty, gdzie jakiś stary obraz, dość nieprzyzwoity, przedstawiał męki piekielne grzeszników. Pokazywanie tego średniowiecznego zabytku, to była „porcelana” cygańskiego Krakowa; tam można było zaprowadzić damę, nie brutalizując zbytnio sytuacji, a trzeba wiedzieć, że damy z epoki rembrandtowskich kapeluszy to były wściekle mimozы. Odźwierny wpuszczał do zamkniętego kościoła za drobną opłatą, pokazywał obraz, po czym zostawiał parę w mrocznych stallach. To dawało najzwyklejszej randce posmak perwersyjny, do czego młodzi dekadenci dociągali resztę, deklamując *Litanie do szatana* Baudelaire’a i narażając silnie zbawienie duszy. Dziś taka para poszłaby po prostu do kina.

Zgorszy może kogo to zestawienie? Cóż począć, jest bardzo istotne; to właśnie był Kraków. Kościół bywał tam, jak w średniowieczu, płaszczem okrywającym życie Erosa. Niedzielną msza u o.o. kapucynów, półmrok nabożeństw majowych, ileż wchłoneły fluidu marzeń miłosnych! Dobrzy ojcowie jezuici w kościele św. Barbary aż uważali za stosowne rozdzielić na wieczornych nabożeństwach płcie, ustawiając mężczyzn po jednej stronie, niewiasty po drugiej.

...Wciąż widzę paniusię mocującą się z wichrem pod kościołem Mariackim. Śmieszne. Ale co na tym tle nie było



Z cyklu *Wawele*, K. Frycza. *Projekt Rady miejskiej*
(z wnętrza cukierni Michalika)

śmieszne? Kiedy Kraków postanowił uczcić pomnikiem Adama Mickiewicza, głocono się nad miejscem: oczywiście Rynek, cóż może być godniejsze wieszca! Kilka lat trwały konkursy, potem zmieniano, poprawiano, parę lat trwało ustawianie, przeczuwano widać niebezpieczeństwo. I wreszcie, kiedy go odsłonięto, och, jakież okazał się mizerny i śmieszny ten pomniczek pomiędzy wieżami Mariackimi a



Z cyklu *Wawele*, K. Frycza. *Projekt socjalistyczny*
(z wnętrza cukierni Michalika)

zwałem Sukiennic, na tle architektury Rynku. W ogóle nie było na swoim miejscu na tym Rynku: jedna procesja Bożego Ciała „trzymała fason”. I inne miasta mają takie uroczyska, ale przez instynkt życia zostawiają je na boku; w Krakowie każdy mieszkaniec był dziennie z pięć razy na Rynku; do banku czy do kawiarni, gdziekolwiek szedł, musiał przechodzić tamtędy. Przesuwał się smutny anachro-



nizm pod okiem tych wież, poruszał się sennie w sferze potężnego a wrogiego mu magnetyzmu. Gdziekolwiek był, co godzina cztery zegary wieżowe zmieszane z trąbką hejnału dosięgły go swym *memento mori*. Zatruiwał się małymi dawkami co dzień, nie wiedząc o tym, jak robotnik w kopalniach rtęci.

Przeglądałem świeżo *Synów Ziemi Przybyszewskiego* i ich karty poświęcone Krakowowi. I zrozumiałem po latach, że pomysł osiedlenia się w Krakowie był dla niego samobójstwem. Właśnie dla Przybyszewskiego, tak przewrażliwego na mowę kamieni. Kraków zwał się na niego, niby w owym dramacie trumna świętego Stanisława na Śmiałego rycerza. Odtąd charłał z pękniętym krzyżem pacierzowym.

Wyspiański... Tak. Ten był niby roślina wyrosła z tych murów w mroku podziemi. Blady, bez kropli krwi, ten *genius loci* murów Krakowa umiał żyć z nimi. Ale bez mała on jeden.

A inni? Co począć, jak żyć w tym mieście, w którym mury spiknęły się na zgubę człowieka, czyhały tylko, aby go zasmucić, ośmieszyć i zabić? Zginąć lub bronić się. I z perspektywy ćwierćwiecza *Balonik* wydaje mi się takim aktem samoobrony. Dość znamienne jest, że rozpoczął się od przyjacielskiego skarykaturowania Wawelu. Spojrzeć na ściany w tej „Jamie”: tu karykatura Wisły, tam pijana brama Floriańska, ówdzie plotkujące wieże Mariackie. Karykaturowało się mury pilniej niż ludzi. Samoobrona, odwet. Przed śmiesznością bronić się śmiechem. „Gwałt niech się gwałtem odciska”. Zawrzeć jakiś honorowy pokój, ułożyć jakiś *modus vivendi*!

Ale walka była nierówna. I gdyby nie zaszły wypadki, które zmieniły życie Polski, byłyby nas tam wszystkich zjadły te mury.

Pański Kraków

Monografia, której napisania wart byłby dawny Kraków, nie byłaby pełna, gdyby nie starała się wnikać w warunki, które sprawiały, że miasto to, późno w wiek XIX, stanowiło jedyne w swoim rodzaju w Europie osiedle arystokratyczne. Wiele przyczyn złożyło się na to: i feudalne tendencje Austrii, i ziemiański charakter kraju, i brak naturalnej przeciwwagi w małym miasteczku pozbawionym handlu i przemysłu, i wreszcie, w nienajmniejszej mierze, wpływ paru indywidualności. Wszystko to dało w Krakowie, na kilka dziesiątków lat, jednej kaście władzę tak pełną, jaka może nigdy i nigdzie nie była jej udziałem.

Że w jej rękę była władza polityczna, to wynikało z ustroju, z ordynacji wyborczej, z sojuszu z rządem, z klerem, z przewagi ekonomicznej, z ciemnoty i nędzy mas. Spokrewniona i spowinowacona między sobą na wszystkie sposoby, zespolona mnóstwem rozmaitych węzłów, klasa ta tworzyła przy tym rodzaj naturalnej masonerii. Miała rękę wszędzie, umiała wyzyskać wszystkie interesy, wszystkie słabostki, bodaj za pomocą bardzo zamkniętego klubu, gdzie jednak, jako partnerzy przy wincie, dobrze widziani byli i głównodowodzący generał, i prezes sądu, i naczelnicy wszelkich instytucji. Wszystko ta klasa mogła zrobić dla „swoich ludzi”, wszędzie mogła osiągnąć niemiłych sobie. Mogła parafrazując Ludwika XIV powiedzieć: „Kraj, to ja”.

Jaki był bilans socjalny tej hegemonii? Nie chcę się w to zapuszczać. Boję się zaciemnić koloryt tej gawędy. Zwłaszcza niebezpiecznie jest spojrzeć na to oczyma z zewnątrz. Ot, czytać takie *Wspomnienia krakowskiego studenta* Wacława Nałkowskiego. Brrr! Więc taki był ten

Kraków mego dzieciństwa? Albo urywek z listu Stefana Żeromskiego do narzeczonej:

„Gdybyś tu była i gdybyś widziała tę nagą głupotę, tę beczelną podłość, to nadużycie słowa, tę pompę idiotów — śmiałaś się do rozpuku, jak ja. Galicja — Kraków, to niewyczerpane źródło humoru, to po prostu sam humor, potrzebujący opisu. Dokoła nędza, głód, ciemnota — i ci... w swoich kontuszach i... kitach”.

To są wrażenia Żeromskiego z... pogrzebu Pawła Popiela.

Ale nie będziemy tu wznawiali przebrzmiałych, na szczęście, procesów. Przypomina mi się taka historia. W czasie wojny, na gruncie N. K. N. spotkali się w Wiedniu Władysław Michałowski, osławiony niegdyś starosta galicyjski, osobiście jeden z najdowcipniejszych i najmielszych ludzi, jeden z owych uroczych *artystów bez teki*, i — Ignacy Daszyński. Byli to, z czasów urzędowania Michałowskiego, zacięci wrogowie polityczni, ale nie zetknęli się osobiście. Otóż ci dwaj ludzie przypadli sobie do serca. Kiedy raz (sceną godną Flersa!) wspominali przy kieliszku wina dawne boje, ex-satrapa rządowy grożąc żartobliwie paluszkami trybunowi ludu, powiadał: „Ale pan, panie pośle, używał sobie na mnie: nazywał mnie pan idiotą, łotrem, złodziejem grosza publicznego, mordercą...” — „Nic to panu hrabiemu nie zaszkodziło”, — śmiał się dobrodusznie Daszyński, ściskając go wpół. I tak już jest: idee są nieprzejednane, ale ludzie zawsze się mogą porozumieć, bodaj późno, jak Gerwazy z Protazym... Niechże mi wolno będzie spojrzeć na ten dawny Kraków tylko okiem artysty.

Arystokracja krakowska — trzeba to jej przyznać — miała niepospolity zmysł życia. Poza swymi przewagami rzeczowymi, uczyniła to, czego — jak mu zarzuca Balzac w jednej ze swych powieści — nie umiało uczynić paryskie *faubourg Saint-Germain* za Restauracji: wzięła w pacht wszystkie centra kulturalne. Było to dziełem zwłaszcza

dwóch ludzi: Stanisława Tarnowskiego i Stanisława Koźmiana.

Czynność, jaką rozwijał Tarnowski, była czymś zaskakującym. Był profesorem literatury polskiej, wielokrotnym rektorem, prezesem Akademii, pisał mnóstwo książek, wydawał własnym kosztem miesięcznik, który w znacznej części zapełniał, był radcą miejskim i posłem na sejm, syłał artykuły polityczne, przemawiał, celebrował wszędzie, gdzie było potrzeba jego udziału... Kiedy, na jego własnym jubileuszu, sławiono na wszystkie tony te zasługi, kadząc mu ponad wszelką miarę, sam czuł potrzebę usprawiedliwienia się, że mógł *aż tyle* zrobić: zasłaniał się danymi, którymi go wyposażała Opatrzność dając mu, między innymi: „...pamięć wyśmienitą — zdrowie rzadko dobre — majątek znaczny, nie nadto wielki, aby się stał ciężarem”... Tak swą fortunę określił Tarnowski, żonaty z Braniczką, jeden z bogatszych ludzi w Polsce.

Dała mu Opatrzność jeszcze inne różne rzeczy, predestynujące go do roli krakowskiej Cecile Sorel: pyszną głowę na zbyt małym ciele, które podwyższał aktorskim gestem; głos giętki i świetnie modulowany, mimo że wciąż na krawędzi manieri proszącej się o parodię i wielokrotnie też parodiowanej. Całość można by określić: mizdrzący się hetman.

Tarnowski był ekscelencją, tajnym radcą; z okazji jego jubileuszu, ówczesny namiestnik Galicji Andrzej Potocki, zabiegał dla niego o złote runo, najwyższe odznaczenie, które posiadacza czyniło „kuzynem cesarza”. Ale, mimo wszystko, hetman-profesor nie otrzymał tego odznaczenia: Franciszek Józef, który był przysłowiowym analfabetą, nie mógł się pogodzić z tym, aby ten rodzinny jego order miał zawisnąć na piersi bądź co bądź profesorskiej... Chcąc osłodzić odmowę, przesłał jedynie w dniu jubileuszu *pismo odręczne*, zredagowane w nader pochlebnych słowach. Tarnowski odczuł rekuzę i okazał to na swój pański



Dwaj rektorowie: St. Tarnowski i L. Wyczółkowski (rys. K. Frycz)

sposób. Dziękując wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia jego jubileuszu, wspominał z dworną wdzięcznością o tym piśmie dodając: „Nie będzie to pierwsze pismo cesarskie w archiwach mojej rodziny; znajdzie się tam obok pisma Karola Piątego”...

Nie wiem, czy Franciszek Józef uczuł tę szpileczkę...

Innego typu, ale niemniejszej żywotności był Stanisław Koźmian, ten znów w stylu francusko-osieemnastowiecznym: gorszący amant, a potem morganatyczny małżonek znakomitej aktorki. Jak ten potrafił być równocześnie niepospolitym dyrektorem teatru, redaktorem *Czasu*, posłem, duszą

polityki galicyjsko-wiedeńskiej, pisarzem, publicystą i karcciarzem w dodatku?

Kiedy go poznałem, miał lat przeszło osiemdziesiąt, był siwy jak gołąbek. Mieszało mu się już w głowie po trosze, czasy i ludzie, żywi i umarli, ale lubił mnie zagadywać półgłosem o teatr, w którym od wielu lat noga jego nie postawiła, podobno wskutek zakazu spowiednika, gdy po śmierci Hoffmanowej, odprawił pokutę i wyrzekł się dawnych błędów. Spowiednik nakazał mu prócz tego przełożyć z hiszpańskiego wielotomowy żywot jakiegoś świętego. Koźmian wtedy mieszkał w Wiedniu u swego naturalnego syna, znanego z córką wiedeńskiego *Volkssängera*; to wspólne gospodarstwo dwu teściów i pokuta Koźmiana na tym tle, to miało być coś niesłychanie zabawnego.

W ogóle o żywotności tej kasty i jej tradycjonalizmie świadczy, że miewali oni *bastardów*, w których liczbie fama wymieniała szereg niepospolitych nazwisk, jak Modrzejewska, Klaczko „i tym podobni”.

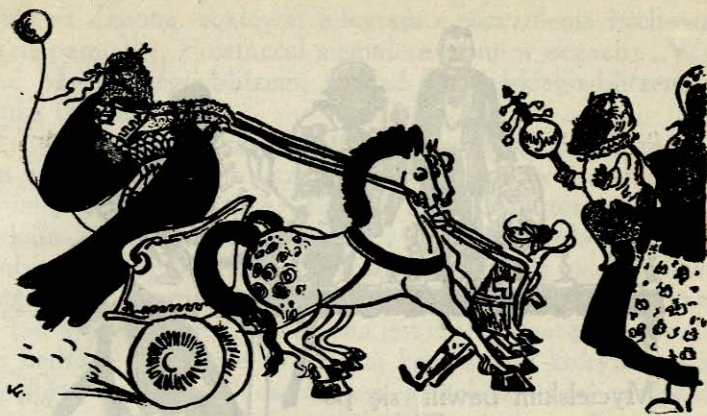
Rozmawiałem raz o teatrze ze starym krakowskim *clubmanem* Szymberskim, nie pogodzonym z nowoczesnością chwalcą dawnych czasów. Była mowa o Trzczańskim. Et, co to za dyrektor! zachnął się Szymberski. Zadnego posłuchu, porządku. Koźmian to był dyrektor. Pamiętam raz nieboszczyk Artur Potocki mówi do mnie: „Szymbersiu, idziemy za kulisy”. Poszliśmy. A Sobiesław, młody smyk wówczas, który bardzo nie lubił kiedyśmy tam zachodzili, krzyczy na cały głos: „Łóżek dawajcie! Panowie idą!” Ja na skargę do Koźmiana. Koźmian każe wołać Sobiesława. I dopiero go zrugął: Ty, durniu jeden, (powiada), powinienś sobie za zaszczyt uważać, że przyjaciele moi tu przychodzą. Przepraszam zaraz. A teraz ruszaj, precz”. To był, panie, dyrektor, zakończył z entuzjazmem Szymberski.

Ci dwaj ludzie tedy — Tarnowski i Koźmian — dzierżyli w ręku politykę i oświatę. „Kultura i sztuka” pozostała w tej samej sferze. Macherem od sztuki był ośmieszony

hrabia Zyzio (Cieszkowski); wieloletnim prezesem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych — szczerym miłośnik malarstwa hr. Edward Raczyński, jedna z najbardziej zajmujących figur dawnego Krakowa. Cały ten arystokratyczny świat przesuwiał się przez pracownię Matejki, użyczając mu swoich najrasowszych głów za modele do obrazów. Oazę muzyczną — jedyną prawie, zanim ojciec mój przeniósł się do Krakowa — stanowił salon księżnej Marceliny Czartoryskiej, uczennicy Chopina. Gawęda intelektualna kwitła na niedzielach Ludwika Michałowskiego. Najwybitniejsi, najkulturalniejsi ludzie, Morawski, Pawlicki, Potkański, Sokołowski, Konstanty Górski etc., byli towarzysko i duchowo wrośnięci w tę sferę. Nawet bez ciśnienia snobizmu wszystko składało się na to, aby całe życie ówczesnego Krakowa w niej się obracało.

Nie mówiąc o innych, konkretniejszych pobudkach, kto miał rękę na Uniwersytecie, na Radzie Szkolnej, na Akademii (stypendia, podróże, nagrody, wszystko dla grzecznych dzieci, nic dla krnąbrnych), ten miał w garści wszystko. Nawet malarstwo, poza Tow. Przyjaciół (zakupy), było pod patronatem Akademii i jej premij. Ach, te doroczne niewysłowione sprawozdania *nagrody Barczewskiego*, pióra Jerzego hr. Mycielskiego, jednej z najkomiczniejszych — jakże ciepłym rodzajem komizmu — figur ówczesnego Krakowa! Ale tu już odkładam pióro; Jerzy Mycielski żądałby osobnej monografii, to była jedna z postaci, które są jakby skomponowane przez wielkiego humorystę.

Jedną tylko historyjkę o Mycielskim. Dobry ten człowiek miał wszystkie snobizmy, łasy był na tytuły, godności, odznaczenia. Starał się o szambelanie; cesarz długo mu jej odmawiał z tych samych przyczyn co Tarnowskiemu złotego runa: Mycielski był profesorem uniwersytetu! Wreszcie dostał upragnioną szambelanię, a tuż przed wojną został — o upojenie — członkiem Izby Panów. Był „osobi-



Mycielski i Morstin (Karykatura K. Frycza w porze wystawienia *Legionu*, z aluzją do miesięcznika *Musaion*)

stym” przyjacielem następcy tronu arcyksięcia Ferdynanda oraz arcyksięcia Karola Stefana. Po wybuchu wojny określną drogą „głównej kwatery” doszedł do... idei legionów i oddał się jej całą duszą. Przez całą wojnę żył trochę arcyksiężętami, ale głównie, z niezmiernym oddaniem, legionami. Po rozpadnięciu się Austrii, przeniósł swój kult na Piłsudskiego. Ale, jednego dnia, rozebrało go. — Ej, Władziu — jęknął do Wł. Michałowskiego, który później cudownie odgrywał tę scenę — wolno przecież pomarzyć trochę. Wyobraź sobie, że tak jak tu siedzimy nagle telefon: *Hallo! hier Konopisch* (rezydencja arcyksięcia Ferdynanda)... Sama arcyksiężna mówi. (Tu Mycielski zgiął się w pokłonie). *Kommen Sie doch nach Konopisch, Herr Graf?* — *Ja wohl, kaiserliche Hochheit, wenn ich dieser Gnade würdig bin...* (Nowy rozanielony ukłon do fikcyjnego telefonu). A dziś co? (wałąc z komiczną wściekłością pięścią w stół): Belweder. Belweder. Belweder.



Lalki z Szopki Zielonego Balonika. U dołu Mycielski
(rys. K. Frycz)

Mycielskim bawili się po trosze wszyscy; w *Zielonym Baloniku* był ciągłym przedmiotem conceptów. On sam objawiał w tych rzeczach i kulturalne poczucie żartu i dziecinną próżność. Kiedy, zaproszeni do Lwowa, wybraliśmy się tam z *Szopką krakowską*, pominieliśmy te sceny i te laleczki, które zdawały się nam dla Lwowa mniej zrozumiałe. Nie wzięliśmy lalki Mycielskiego, której tekst był zresztą mocno ośmieszający. Przypadkowo Mycielski był na lwowskiej premierze *Szopki*; przyszedł do nas za kulisy z wymówkami: „Ależ mnie tu znają, to by ich bardzo bawiło, czemuście mnie nie wzięli?” Widząc jego szczerą przykrość, nadałem w nocy pilną depeszę do *Zenona* (Pruszyńskiego): „Wysłać Mycielskiego blitzem, odbiorę od konduktora”. Nazajutrz wieczór jeden z naszych pojechał na kolej i w istocie ujrzał konduktora trzymającego w ręku wspaniałą lalę, arcydzieło Pugeta. Mycielski był uszczęśliwiony: wydobył później ten doku-

ment od *Zenona*, ucałował telegram z rozczulenia i schował go na pamiątkę. Powtarzał niemal ze łzami w oczach: „Wysłać Mycielskiego blitzem, wysłać Mycielskiego blitzem...” Duże dziecko!

Ów zmysł życiowy, instynkt władzy sprawiał, że żeńska połowa arystokratycznego klanu usidlała znów miasto w inną sieć: filantropię. To był teren, na którym hrabina stykała się z „panią z miasta”, hipnotyzowała ją. Stara hrabina, mniej lub więcej dobroczynna, była w Krakowie potęgą. W czarnej mantylce, w przydeptanych trzewikach (i tak wszyscy wiedzą, kto ona jest), albo trzęsąca się w starej herbowej landarze, w ścisłym kontakcie z którymś z o.o. jezuitów, była ona uosobieniem *protekcji*, owej protekcji, która z konieczności taką rolę grała w ustroju ówczesnego Krakowa. Toteż krakowska hrabina знаła swoją siłę, i kiedy przyszła nowa epoka, nie łatwo abdykowała ze swej królewskości. — „Halo! tu hrabina X. — taki raz ostry dzwonek zabrzmiał do redakcji *Czasu* — chciałam się zapytać, czy *Czas* jest jeszcze katolickim pismem? — Nie wiem, pani hrabino, naczelny redaktor wyszedł i nie zostawił mi żadnych informacji w tej mierze”, odpowiedział z całą powagą zapytany.

To był „bunt młodzieży”, w osobie wicedrektora *Czasu*, nieboszczyka Stasia Kopernickiego. Interpelantką była potężna hrabina X, zwana przez młodzież swojej sfery „*das verrückte Kanguru*”, a chodziło jej, zdaje się o to, że *Czas*, znudzony odwiecznym wyliczaniem rozkładu jazdy wszystkich hrabin i podhrabin kwestujących przed Wielkanocą w kilkudziesięciu kościołach, uczynił zamach na tę martwą już a niegdyś nader żywotną rubrykę.

Ale o *Czasie* trzeba by opowiedzieć osobno, to temat zbyt bogaty. Interesujący jest ten rys, też znamienity dla ówczesnego Krakowa. Kiedy naprzeciw tego przez wiele lat jedyne w Krakowie dziennika powstała opozycyjno-demokratyczna *Reforma*, istniała ona długo jedynie dzięki hoj-

ności Mieczysława Pawlikowskiego, a dom Pawlikowskich spokrewniony z całą prawie arystokracją przez swą wielokrotną „dzieduszykość”, miał znów cechy bardzo zamkniętego arystokratycznego pałacu. Tak więc wszystko w ówczesnym Krakowie nosiło piętno arystokratyczne aż do... demokracji włącznie.

Oczywiście tak zwane krakowskie „towarzystwo” nie mogło uniknąć w wielu rzeczach znamion zaściankowości. Nie było ono zresztą jednolite, obejmowało całą gamę odcieleni, od autentycznych polsko-europejskich *Guermantów*, otartych o Orleanów czy Burbonów, aż do Iksińskich z Psiej Wólki. Ci oczywiście byli „najbłękitniejsi”. Jeszcze za mojej pamięci wstąpiła się jakaś panna Horodyska (jeżeli się nie mylę) tym, że na widok portretu Napoleona (pierwszego) odwróciła się z niechęcią i wycedziła przez skrzywione usteczka: „Uzurpator!”

Czuli sami doskonale swoje stanowisko w tym Krakowie, do którego, zdawało by się, nie doszły echa rewolucji francuskiej. — Co zaszło ważnego w Austrii w roku 18**? — pytał na egzaminie prawniczym srogi profesor Ulanowski któregoś z młodych Zamoyskich. — Babka moja umarła, odpowiedział z flegmą. A stara pani Branicka, kiedy lektorka nie orientowała się w jej zagmatwanych koligacjach, wzdychała: „Szczególnie, jak dziś młodzież nie zna historii polskiej”.

Ten mariaż małego zabawnego miasteczka z przerażającą jego stan żywotnościową kulturalną był najbardziej swoistą cechą Krakowa. To fakt, że nic się tam nie działo tak jak gdzie indziej. Sądzę, że w nowoczesnej Europie było to jedyne miejsce, gdzie życie nie regulowało się prawami handlowej kalkulacji. Raczej pańskim gestem. Matejko malował swoje olbrzymie płótna, nie troszcząc się kto mu bodaj za farby zapłaci. Kiedy jakiś łyk chciał zamówić u Wyspiańskiego swój portret, artysta mierzył go zimnym i baczynym wzrokiem, aby wreszcie odpowiedzieć: „Nie widzę po-

wodu”. Kiedy Koźmian wystawił *Świecznik* Musseta, na którym się ówczesna publiczność nie poznała, kazał go grać kilka razy, ot, dla siebie; siedział w łożu w pustej sali i co chwila bił brawo. Ta sama „pańskość” powtórzy się w teatrze Pawlikowskiego. W *Czasie* pisywali wszyscy darmo, albo pół darmo. Wychowanie to udzieliło się i nam chudeuszom. Kiedy miałem ochotę oglądać na scenie molierowską Celimenę, przetłumaczyłem *Mizantropa*, za co dostałem, zdaje mi się, sto koron; i Solski, dla trzech pustawych przedstawień, wystawił tę arcytrudną sztukę w pięciu aktach wierszem. W ogóle widoki sfinansowania czegokolwiek były tak nędzne, że nie warto było paskudzić się myślą o tym. Tym tłumaczy się, że *Zielony Balonik* mógł przez kilka lat bawić Kraków *gratis*, nie okazując tendencji do skomercjalizowania. Kiedy Szyfman chciał uprzemysłowić tę żylę humoru, nie mógł nikogo wyciągnąć z „Jamy” do swoich *Figlików*. Trzecińskiemu nigdy duma hidalga z ryżą bródką nie pozwoliła ciągnąć godziwych zysków ze swego fenomenalnego talentu.

Gdyby przyszło robić bilans arystokratycznego Krakowa, byłbym doprawdy w kłopotcie. To pewne, że przerost tej supremacji był dość potworny, ale czy ówczesne małe zabiedzone miasto było zdolne do pełniejszego życia? To już wchodzi w sferę historiozofii pod godłem „gdyby ciocia miała wąsy”...

Przyszłoby czas zresztą, że ten dawny Kraków zaczął się rozkładać. Starsi hrabiowie zramoleli lub wymarli, młodszy hrabiowie nie czuli się na tyle pomazańcami, aby objąć ich rolę. I miasto dojrzało do tego, aby się bez nich obchodzić.

Ciekawe jest, że emancypacja Krakowa odbyła się w sferze sztuki. Bo też sztuka w Krakowie to była jedyna siła, która się mogła przeciwstawić pałacom. Zdziwiająca odnowa, jaka na przełomie wieku dokonała się tam w teatrze, literaturze, malarstwie — a dokonała się poza obrębem „dworskiego” Krakowa i zostawiając go na boku —

była równocześnie wyzwoleniem miasta. „Kultura” przeniosła się z salonu do knajpy. „Szopen gdyby żył, to by pił, hehe”, byłby szepnął Przybyszewski w uszko Marcelinie Czartoryskiej, gdyby dożyła tego renesansu. Wyspiański był wychowankiem Matejki i najautentyczniejszym jego kontynuatorem; ale cóż za przeobrażenie od modeli Matejki do modeli Wyspiańskiego: od przekrwionych pychą i bogactwem twarzy magnatów do tych zjedzonych anemią dziewczynek z suterenu! A mimo to Wyspiański sam, jako zjawisko, i on, i jego sztuka, jakże pozostał arystokratyczny, pański! Coś jest w tych murach, coś jest w tym dziwnym mieście...

Z a k r y s t i a

Prastary dziennik *Czas*, organ arystokratyczny, konserwatywny i klerykalny, zajmował tyle miejsca w życiu dawnego Krakowa i na tyle sposobów splótł się z moim życiem, że trzeba poświęcić mu nieco wspomnień. „*Czas* pisze, *Czas* mówi”, to były słowa, które brzęczały mi w uszach od najwcześniejszego dzieciństwa. Kiedy raz szedłem z matką na spacer, minął nas starszy pan, z dziwnymi, widocznie farbowanymi włosami, z twarzą mumii, z wypomadowanymi wąsami w szpic, w nieświeżym cylindrze, w tużurku, posuwający się tabetycznym krokiem. Spytałem matki, kto to taki. „To pan Kłobukowski, redaktor *Czasu*”. Obraz tej mumii skojarzył się w mojej wyobraźni z gazetą, która dla dziecka uzmysławiała chwilę, gdy trzeba być cicho i nie przeszkadzać komuś z dorosłych, który zatopił się w tej płachcie papieru, olbrzymiej dla oczu dziecka i całej za drukowanej; stąd nic dziwnego, że nuda ziała dla mnie z tych czterech liter: C.Z.A.S. Zresztą słyszało się ciągle powtarzane na wszystkie tony: „Ach, ten *Czas* robi się taki nudny”. Należało do zwyczaju wymyślać na *Czas*; ale nikomu nie powstałoby w głowie, aby się mógł obejść bez niego.

Długo zapewne słowo *Czas* zostałooby dla mnie martwym pojęciem, gdyby nie zaszedł fakt, który był poniekąd rewolucją w dziennikarstwie. *Czas* — jak w Warszawie *Słowo* — stał się naraz ulubionym pismem dzieci, dzięki drukowi *Trylogii* Sienkiewicza. Nie chcę tym oczywiście uchybić *Trylogii*, wręcz przeciwnie; ale to fakt, że jak Polska długa i szeroka, tłumy małoletnich entuzjastów przypięły się do gazety. Ten i ów przy niej został, i oto jak się rozszerzają kręgi cywilizacji. To była słodka męka dostawać tak pasjonującą lekturę maleńkimi dawkami, po łyżeczce. Bi-



Rudolf Starzewski w insygniach Stańczyka, w rękę kaduceusz z główką Stanisława Koźmiana (według portretu Jacka Malczewskiego)

liśmy się z bratem o to, kto pierwszy chwyci numer gazety; nie przyszło nam do głowy, że moglibyśmy zgodnie przeczytać go razem. Oto trudności praktycznego pacyfizmu.

W zasadzie każdy odcinek miał przechodzić cenzurę domową. W razie ujemnego wyniku cenzury numer *Czasu* zniknął, z czego zgadywaliśmy, że coś tam musiało być „tłustego” (jak wówczas się mówiło) i że koniecznie trzeba go odszukać. Dzięki temu wszystkie niewinne sprosności Sienkiewicza tym lepiej utrwały się dzieciakom w pamięci, jak np. toast weselny pana Zagłoby: „Każda dziewczka hubka, każdy chłop krzesiwo, będzie isquier kupka, tylko krzeszcie żywo”. I kiedy to czytałem jako mały brzdąc, nie przeczuwałem, że w parędziesiąt lat potem będę musiał wytoczyć redaktorowi *Czasu* proces karny, aż do Najwyższego Trybunału, o samowolne usunięcie z mojego felietonu słowa *dziwka*...

Prawda, że tamto było *dziwka*, a u mnie *dziwka*. *Litera nocel*. (Przypomina mi to, jak na cześć Gabrieli Za-

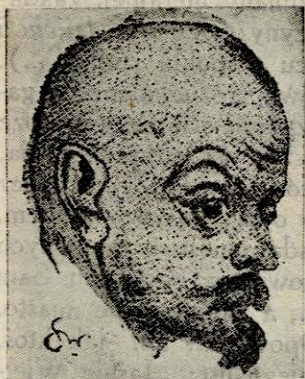
polskiej, za pomocą tej maleńkiej zmiany literalnej, zaadaptowałem do niej ten portret Grażyny: „Oboje, *dziwki* i matrony wdzięki — na jednym licu zespoliła cudnie”...).

Tak więc, dzięki Sienkiewiczowi, zrozumiałem, że gazety mogą się na coś przydać i że czytanie ich nie jest może tylko czczym obrzędem. Znałem zresztą, już w zaraniu życia, osobiście wielu kolejnych redaktorów *Czasu*. Tomkowicz był serdecznym przyjacielem mego ojca; bardzo lubiłem, kiedy był u nas na obiedzie: opowiadał mnóstwo zabawnych anegdot, przeważnie z zakresu krakowskiego snobizmu. Sam zadomowiony „pod Baranami” etc., a znający całe miasto, miał sposobność do obserwacji. Opowiadał np. jak ktoś, chcąc go uczcić, zaadresował do niego list: „Jaśnie Wielmożny pan Stanisław z Wężyków Tomkowicz”. (Matka jego była z domu Wężykówna).

Długoletnim redaktorem *Czasu* był p. Michał Chyliński, szwagier całego klanu dowcipnych Rosnerów, którzy przewalili go „Chichał Myliński”, co też do niego przygłnęło.

„Czasownikami nieforemnymi” nazywano dwóch krótkich tłustych bliźniaków, braci Bochenków, którzy pisywali do *Czasu*. Nosili jednakie bródki à la Napoleon III i szare cylindry. Byli braćmi owej „panny zacnej”, kulawej, starej panny Leontyny, która przegrywała Wyspiańskiemu „Warszawiankę”. Jeden z nich, profesor uniwersytetu, był ojcem biednego Luca Bochenka, owego rotmistrza ułanów, który zginął tragicznie na ulicy Krakowa, towarzysza moich lat dzieciennych. Mój Boże, ten Kraków... ileż wspomnień na każdym kroku!

Istotna moja zażyłość z *Czasem*, na wiele, wiele lat przed moim w nim współpracownictwem, zadzierzgnęła się przez Rudolfa Starzewskiego. Zbliżył nas wspólny przyjaciel, nieodżałowany Ludwik Janikowski. Starzewski był młodym studentem prawa, przygotowywał się do ostatniego egzaminu, kiedy go zagarnęło dziennikarstwo; już w nim pozostał. Był to wychowanek o.o. jezuitów z Chyrowa, tym



Jacek Malczewski
(rys. S. Wyspiańskiego)

samym wielki sceptyk, gładki towarzysko, ale zadzierzysty w po-trzebie, umiejący bronić własnego zdania i niezależności. Niezwy-kle inteligentny, żywotny, niepo-dległy duchowo, musiał rozsze-rzyć sobie ten domek *Czasu*, aby w nim móc istnieć. Politykę — ówczesną politykę stańczykow-sko-galicyjską! — przyjmował ten prototyp Dziennikarza z *We-sela* jako zło konieczne, „mącił tę narodową kadź” jak mógł naj-mniej szkodliwie, dość krytycz-nie zresztą oceniając swoje stron-nictwo. Z upodobań byłby naj-chętniej redaktorem jakiegoś literackiego miesięcznika. Wy-chował się na literaturze francuskiej z epoki Taine'a i Re-nana, czytywał od deski do deski *Revue des deux-mondes*, *La Vie parisienne*. I Słowackiego namiennie. Czytał zresztą wszystko. Bardzo towarzyski, ale tylko o tyle, o ile czuł w kimś powinowactwo myśli i smaku, żył w przyjaźni ze świa-tem artystycznym, z teatrem, z malarzami; przebył szcze-pienie przybyszewszczyzny; z najwyższą grupą uniwersy-tecką miał kontakt przez słynne zebrania „*Zeitgenossen*”. Pisał dobrze, ale z trudem; za wiele wkładał w to świadomej refleksji, podczas gdy myśl, zdanie, musi się wytwarzać podświadomie, wyskakiwać gotowe, zwłaszcza w wymagają-cym pośpiechu dziennikarstwie. Toteż pisanie męczyło go tak, że gdy objął naczelną redakcję, przestał pisać zupełnie; nieporównany był za to jako inspirator, doradca, jako par-tnier w inteligentnej dyskusji. Słowem ideał redaktora.

Zrazu Starzewskiemu powierzono *Czas* poranny; urzę-dował tedy w nocy. Ten „nocny lokal” wabiący z planta-cyj szeregiem oświetlonych okien, otwarty z konieczności do

bardzo późna, z nieustanną gorącą herbatą, z gospodarzem życzliwym i chętnym do rozmowy, zaczął ściągać znajomych artystów. Stąd *Czas* ówczesny miał podwójną klientelę: w dzień magnaty, hofraty i prałaty, w nocy cygany i łaziki. To była, mówiąc po wiedeńsku, „szwema” *Czasu*.

Zawsze będąc nocnym ptakiem, lubiłem zachodzić tam na gawędę. Z tymi wizytami łączą mi się zabawne wspo-mnienia. Byłem wówczas po trosze graczem; jak wiadomo, szczęście bywa zmienne. Otóż, kiedy wygrałem, miałem zwyczaj odnosić część łupów do redakcji *Czasu* i oddawać Starzewskiemu na przechowanie. To było bardzo wygo-dne; bo, kiedy znów się zgrałem, wiedziałem, że o każdej godzinie nocy mogę swoją rezerwę odebrać. Jednego ra-zu, zgrany do nitki w baka, przypominam sobie o moim de-pozycie; pędzę do *Czasu*. Widzę karetkę stojącą od uli-cy św. Tomasza, służący mówi mi: „Jest ktoś u pana re-daktora na konferencji”. Byłem zawsze wobec matadorów bardzo nieśmiały, wolałem tedy nie wchodzić; pomyślałem: „Przejdę się trochę i przeczekać”. Był trzaskający mróz; chodzę i chodzę, nogi mi marzną, karetka wciąż stoi, widać z daleka jej latarnie. Żał mi było zrezygnować, czułem, że się odegram! Pochodziwszy tak ze dwie godziny, zmar-znąwszy na kość, klnąc na czym świat stoi niewczesnego go-ścia, poszedłem wreszcie spać. Nazajutrz dowiedziałem się, że to tzw. „Peter” Górski, biedny garbusek, który właśnie kandydował beznadziejnie na posła, wiercił dziurę w brzuchu Starzewskiemu do rana. A czułem, że byłbym się ode-grał!

Zdobywając sobie coraz więcej zaufania, Starzewski awansował w hierarchii, w końcu powierzono mu naczelną redakcję. Przez cały ów okres wciąż dążył do tego, co by-ło dla niego antidotem na zgagę polityki galicyjskiej: sta-rał się uczynić *Czas* organem kultury. Dało to rezultat dość paradoksalny, ponieważ równocześnie *Czas* zachował mnó-stwo swych dawnych serwitutów. Stąd pismo miało jakby

kilka fizjognomij. Jedna, oczywiście polityczna; druga „pańska”, znajdujący wyraz w różnych przygodnych artykułach, w iście dworskich opisach wesel, chrzcin i innych wydarzeń rodzinnych magnaterii; wreszcie w sławnych „nekrologach”, o których trzeba by powiedzieć osobno, gdyż stanowią one humorystyczną kartę *Czasu*. I znowuż dział kulturalno-artystyczny — zwłaszcza sztuki plastyczne i teatr — prowadzony żywo, przodujący, można powiedzieć, całej Polsce. Tak więc, oryginalnym paradoksem, mamut *Czas* stał się postępowy w sprawach sztuki, gdy postępową *Reforma* hodowała piórem niezmordowanego Prokescha największy obskurantyzm artystyczny.

Ten dział prowadził Starzewski z dużą odwagą. Rzykował nieraz wszystko, stał do oczu bodaj samemu papieżowi „konserwy”, staremu Dunajewskiemu. Przypominało to nieraz scenę ze *Sprawy Dołęgi* Weyssenhoffa ze starym Zbąskim. W istocie starym bonzom nieraz się flaki przewracały, ale w końcu widząc niewątpliwy sukces *Czasu*, zostawili Starzewskiemu wolną rękę. Instykt ten okazał się bardzo trafny: kulturalna wyższość *Czasu* zachowała mu klientelę miejskiej inteligencji, skądinąd nie sympatyzującej nawet z kierunkiem pisma.

Przytoczę dwa epizody tej „polityki artystycznej” *Czasu*. Rozpoczęto cykl artykułów pt. *Nowe Klejnoty Krakowa* pióra młodego rzeźbiarza, barona Ludwika Puszcza (wciąż ten „pański Kraków”: aby skrytykować to, co napaskudził książę, trzeba było co najmniej barona!), wymierzone ni mniej ni więcej tylko w gospodarkę artystyczną kardynała Puzyny w katedrze wawelskiej. Zrobiła się taka awantura, że felietony trzeba było przerwać. Furia Puzyny dosięgła nawet stryja Puszcza, lojalnego kanonika i katechety w gimnazjum. Kardynał, pod pozorem jakiejś inspekcji, wszedł do klasy, uznał przywitanie starego księdza za nie dość pokorne i zwymsłał go wobec uczniów krzyząc: „Na kolana!” Księżyna musiał klęknąć i pocałować

kardynała w rękę. Owo: *Na kolana!*, które odbiło się echem po Krakowie, posłużyło Wyspiańskiemu za motyw w scenie *Wyzwolenia*. Ksiądz Puszet miał właśnie zostać prałatem; nie został; umarł rychło potem ze zmartwienia.

Drugi epizod to premiera *Wesela*. Wyobraźmy sobie, w ówczesnym Krakowie, scenę, gdy dumny, pobożny i wszechpotężny Tarnowski patrzy z łoży, jak na scenie diabli wynoszą na widłach, wraz z nieką rosyjskiego złota, hetmana Branickiego, ni mniej ni więcej tylko rodzzonego dziadka jego żony... Tarnowski wyszedł z łoży i trzasnął drzwiami. — (Co napisze *Czas*? Czekano na to trzy dni. Po trzech dniach ukazał się pierwszy entuzjastyczny felieton Starzewskiego o *Weselu*, potem następne: całe studium. *Czas* przyczynił się wiele do tak rychłego zwycięstwa Wyspiańskiego, do jego konsekracji. A nadąsany Tarnowski napisał anonimowo persyflaż *Wesela*, słaby zresztą, pod tytułem *Czyścić Słowackiego*.)

Stopniowo Starzewski wprowadzał do redakcji młodych, po części dawnych przybyszewszczyków; był okres, gdzie w ogóle nie było tam starszego człowieka. I tu znów zabawny kontrast: ta redakcja reprezentująca tradycję, powagę, składała się z ludzi młodych, gdy w *Reformie*, organie postępu, siedziały przeważnie zatabaczone pierniki. Kto bywał w redakcji *Czasu*, a potem czytał numer pisma, czasami miał wrażenie, że ci młodzi ludzie przyprawiają sobie siwe brody, jak święty Mikołaj.

Opowiem następnym razem o osobliwej symbiozie *Czasu* i *Zielonego Balonika*; symbiozie dyskretnej, ale bardzo rzeczywistej. To zbliżyło mnie jeszcze z *Czasem*; ale sam, mimo tych serdecznych stosunków, dopiero — jak wspominałem — w wiele lat potem, dość przypadkowo zresztą, zostałem jego współpracownikiem. Pasją Starzewskiego — odkąd sam nie pisał — było podniecać, zachęcać do pisanja innych. Twierdził, że każdy ma coś w brzuchu bodaj jeden artykuł, tylko trzeba go wydobyć. Nieraz mu się to

„dawało”, rzecz osobliwa, z jednego tylko Janikowskiego, tej najświeńniejszej inteligencji, nic nie mógł wycisnąć. Zawsze zapowiadał, że skoro się dorobi, sprowadzi go z Wiednia do *Czasu* na stałą pensję, po to tylko aby siedział w redakcji jako „*Aniemermädel*”. (Do podobnej roli użył Janikowskiego Karol Kraus w swojej *Fackel*). Mnie Starzewski prawie podstępem wciągnął do recenzji teatralnych, przełamując moją nieśmiałość. Jest to dla mnie wspomnienie bardzo miłej współpracy. Starzewski był redaktorem niezmiernie sumiennym; czytał każdą literę, która szła do druku; tym bardziej mój rękopis, bo zawsze, mimo przyjaźni i uznania, obawiał się, że coś może w nim być nie dość „czasowe”. Lektura odbywała się wspólnie, bo oczywiście nie byłby mi ani przecinka zmienił bez mojej zgody. Lubilem tę przyjacielską cenzurę, w której Starzewski wciąż bronił niewinności czytelników *Czasu*, którzy znów... byli uszczęśliwieni, że ktoś nareszcie tę niewinność gwałci. Wówczas była to mała rewolucja w obyczajach pisma, które miało — jak *Tygodnik Ilustrowany* — za zasadę, aby mogło leżeć na stole w domu gdzie są córki; dziś wyda się to wszystko straszliwie dziecinne. Czasem bawiłem się tym, aby przemycić coś w ten sposób, że Starzewski nie zauważył. Pamiętam np. jego tragikomiczną rozpacz, kiedy spostrzegł — już po wyjściu numeru — że w recenzji z *Miłosierdzia* Rostworowskiego wsunąłem niewinnie zwrot: „zakon Benedyktynów czy też Pipermentów”. — Jak ja mogłem to puścić! wołał. Gdyśmy się nie mogli zgodzić, braliśmy za superarbitra Stanisława Estreichera, który zwykle stawał po mojej stronie. Czasem przewidując trudności dawałem coś „na wyrost”: zaceniałem, aby móc spuścić. Raz np. przymówiłem coś świętej Kindze i w tym samym felietonie, w innym miejscu, użyłem słowa „gatki”. To było ciężkie przejście! Targ w targ, Starzewski mówi: „Święta to święta; w tych rzeczach Czas nie może znać kompromisu; ale ustąp mi świętą Kingę, a ja ci ustąpię gatki”. Cudownie się

bawiłem tym stopniowym rozszerzaniem skali wytrzymałości czcigodnego *Czasu*.

Dziś zabawne się wyda, że dorośli ludzie mieli czas i głowę na takie rzeczy; ale czyż nie mówiłem, że w Krakowie nic się nie działo tak jak gdzie indziej?

Kochana redakcja *Czasu*! Ten cichy kącik przy ulicy św. Tomasza... („Niewierny Tomasz”, cóż za symbol!). Ten stary parterowy dworek tonący w zieleni plantacji i ogródka, ta odrapana, ledwie że zamieciona sala redakcyjna — ta zecernia, gdzie nie śniło się o linotypach ani maszynach rotacyjnych; metrampaż Stabrawa, typowy „stary sługa”, najprzywiązańszy do pisma burczymucha, który bodaj najgrubszą ekscelencję umiał wyprosić za drzwiami swoim: „panowie tu gadu, gadu, a numer musi wyjść” — jakże to wszystko miło sobie przypomnieć! I ta gromadka młodych cyników, z talentem celebrująca Krakowowi jego codzienne nabożeństwo! Jak tam bywało wesoło, ile pierwszorzędgo dowcipu spalali oni w tej redakcji, z czego nic prawie nie przenikało do pisma, bo nie pozwalała — powaga! Ileż niejednen z nich musiał dokładać wysiłków, aby pisać dostojnie, kiedy go pióro świerzbiało do jakiego żartu! Toteż im bardziej każdy numer *Czasu* był uroczysty i godny, tym więcej zostawało ognia na wewnętrzne życie redakcji, które kipiało szelmowskim humorem. Aż w końcu musiało trysnąć na zewnątrz, to było nieuniknione. Droga znalazła się sama przez się. Czas był najściślej związany sympatiami ze światem malarskim; skoro tedy malarze skupili się pod sztandarem *Zielonego Balonika*, dusza sędziwego a tak młodego *Czasu* przeniosła się do „Jamy Michalikowej”. I to także stanowi jedną z nienajmniejszych osobliwości dawnego Krakowa.

Odwet Stańczyka

Krakowska szkoła polityczna, która od nazwiska nadwornego błazna króla Zygmunta I przezwana się „stańczykami”, zapomniała o jednym: o tym że Stańczyk był — wesołkiem. Mógł — jak na obrazie Matejki — zadumać się gorzko nad przyszłością narodu, ale z zawodu był błaznem. To jedno jest pewne; reszta jest mitem. O ile Tarnowski z Szujskim zaczęli na łamach *Przeglądu Polskiego* od satyrycznych jasełek (nie znam tych jasełek, ale nie mam jakoś zbytniego zaufania do ich humoru), później zatraciło się to zupełnie: *stańczyk* to był synonim powagi, jegomość uroczysty i nadęty. Herszt stronnictwa, Michał Bobrzyński, sławny był z tego, że nigdy w życiu nie zrozumiał żadnego dowcipu; bardzo go irytowało, gdy się ludzie śmiali, a on nie wiedział dlaczego; a nie było sposobu mu wytłumaczyć. Ładny stańczyk! Aż wreszcie cień Stańczyka, zniecierpliwiony, wziął odwet; wtargnął do fortecy swoich rzekomych potomków, do *Czasu*, zadzwonił dzwoneczkami, wywinął błazeńskim berłem, parsknął śmiechem, zaraził nim wszystkich i pociągnął ich hurmem do gospody, czyli, jak się mówi z cudzoziemska, do *kabaretu*.

A były zarazki śmiechu w tym smutnym mieście. Kraków był bardzo dowcipny. Miał swoisty humor. Stłoczenie żywiołów intelektualnych, leniwe tempo życia, nadmiar sposobności do wzajemnej obserwacji, reakcja wywołana ciągłą pompą, celebrą, wszystko to stwarzało specjalny rodzaj wytwornego kpiarstwa. Centralą krakowskiego dowcipu był *Czas*. Przewijało się tam tylu ludzi, każdy zostawił jakąś anegdotę, jakieś powiedzonko, uronił jakąś śmiesznostkę... Gabinet redaktora to był almanach charakterów, konfesjonał próżności, ambicji, maniactwa. Starzewski, wykarmiony

na francuskich klasykach, mający zawsze tomik Chamforta czy La Bruyèrę a przy łóżku, był smakoszem dobrej anegdoty, kolekcjonerem typów, zdarzeń, pasjonowanym spektatorem komedii ludzkiej. I nie tylko on. Nigdzie się tak dobrze nie bawiłem jak w tej redakcji *Czasu*, w tym *Quiproquo* intelektu, gdzie *conférencierem* bywał na przemian Władysław Leopold Jaworski, Ignacy Rosner, Witold Noskowski, Tadeusz Smarzewski, Żuk-Skarszewski... To był niby młynek na zboże, gdzie wiatrem dowcipu przewiewało się wszystko, przy czym często — z konieczności — ziarno zostawało na użytek prywatny, a plewy szły pod prasę.

Czas miał dla mnie, od młodu, ogromne znaczenie wychowawcze. Pasjami lubiłem tę ostrą sceptyczną atmosferę, atmosferę kulis życia, gdzie oglądało się wszystko od drugiej, poufnej strony, wszystko się sądziło, wszystko ważyło. Dyskusje kawiarniane wydawały mi się zawsze dość jałowe, jako królestwo dialektyki; *Czas* — to było królestwo faktu. Cokolwiek się działo w mieście czy w kraju, czy szło o błahą plotkę, czy o ważne wydarzenie, z nałogu szedłem do *Czasu*, aby spytać: „Powiedźcie mi, jak to jest *naprawdę*”. Dawano mi zwykle trzy wersje; jedna: jak jest w istocie; druga: co się mówi; a trzecia: co trzeba będzie napisać. To była dla mnie nieoceniona szkoła perspektyw życia.

Ileż tych miłych pogawędek na zniszczonej, dziurawej, ceratowej kanapie! Bo trzeba przyznać, komfortu tam nie było. Ile żartów, pogwarek na stojąco, którym kładła koniec ostra interwencja starego metrapaży. W pośpiechu pracy kochany Tolo Noskowski doprowadził do perfekcji lapidarność aforyzmu; raz dlatego, że istotnie był zapracowany, a po wtóre, że zająkował się trochę nerwowo, więc nadrabiał to zwięzłością. Jednego dnia zapytuję go na przykład o któregoś z młodszych mężów stanu, o którym nagle zaczęło być głośno. „Słuchaj, Tolu, powiedz mi w dwóch słowach, jak z nim jest właściwie, bo wciąż słyszałem: dureń, dureń, a teraz nagle wielki człowiek”. Noskowski za-

stanowił się chwilę i rzekł: „Powiem ci. Tt...to jest dureń, który się bb...bardzo wyrobił”.

Każdemu, kto tam wszedł, udzielała się ta atmosfera milej swobody intelektualnej. Ksiądz profesor Hortyński, bardzo sympatyczny jezuita, gawędził sobie np. ze mną o Pascalu. Wmieszał się ktoś z redakcji zapytując, co to właściwie jest ta „kazuistyka”, co to były „Prowincjałki” i o co chodziło w tym sporze. Dałem popularny przykład: Kobieta, dajmy na to, parała się nierządem i zrobiła na tym majątek. Przyszła na nią skrucha; idzie do spowiedzi i postanawia odmienić życie. Chodzi o dyrektywę dla spowiednika: czy ona jest obowiązana ten majątek pochodzący z nieczystego źródła, restytuować? Ówczesna kazuistyka jezuicka orzekłaby, że nie... — Oczywiście, że nie! — wpadł mi w słowo ksiądz Hortyński. Jak to! Skąd?! Więc może i ta szwaczka, która jej szyła koszule do nierządu, miałaby restytuować? Do czego byśmy doszli?” Aż się zaperzył dobry ksiądz.

Nigdy tak wyraźnie nie uczułem, do jakiego stopnia spór między religią „w czystej formie” a religią w znaczeniu pragmatyzmu społecznego jest wciąż aktualny. Ta rozmowa sprawiła, że pisząc przedmowę do *Prowincjałek* Pascala wziąłem trochę w obronę o.o. jezuitów...

Nikt się nie umiał tak bawić sam sobą jak *Czas*. Noskowski założył księgę, do której wklejał wszystkie „baki” *Czasu*; leżała na honorowym miejscu w redakcji. Pamiętam z niej tylko jedną pozycję, niewinną, ale zabawną: anons wielkiego hotelu w Monte-Carlo, w którym, obok innych zachwalanych wygod, uderzała pozycja: „Zatoka na lewo”. Okazało się, że to w administracji *Czasu* tak przetłumaczono „*Golf-links*” (pola do golfa). Ale niewyczerpanym źródłem humoru, który był po trosze humorem zakrystii, była „pańska” strona *Czasu*, owe relacje z wesel i ślubów, owe nekrologi! Pisywał je z dawien dawna Ludwik hr. Dębicki, specjalista od nekrologów; były tak prze-

rażliwie długie, że skracano je po prostu nożyczkami bez czytania, inaczej zajęłyby cały numer. W przysłowie weszła jego „ostatnia matrona polska”, która jak *posażna jedynaczka* w komedyjce Fredry zawsze była *ostatnią*; jego sakramentalne zwroty, jak: „surowa dla siebie, pobłażliwa dla drugich”, itp.; owe „ciosy, które umiała zność z hartem”, a pierwszym z nich było zwykle bombardowanie Krakowa, które przeżyła mając lat dwa... Tej rubryki zresztą nie potrzebuję przypominać, bo przetrwała w *Czasie* do dziś: co kwartał grzebie się tam „ostatnią matronę”. W pewnych okazjach nekrofilnych wyruszał sam Stanisław Tarnowski; zwykle wtedy kiedy chodziło o jego osobistych przyjaciół; absolutny brak poczucia komizmu wydawał pod jego barokowym piórem przekomiczne rezultaty. Umarł na przykład jakiś hrabia Bogu ducha winien, zupełne nic, ale żonaty z Potocką: należał mu się felieton. Hrabia ów nie mając co z czasem robić, włóczył się trochę za granicą: dalejże Tarnowski zrobił z niego wielkiego podróżnika, który w wyprawach swoich „dotarł aż do Neapolu”. Potrafił napisać cały artykuł o Maniusi Szujskiej, córce Józefa Szujskiego, milej panience, ale której cień musiał być zdumiony, że sam prezes Akademii Umiejętności oplakuje ją w tak krągłych zwrotach. Umarł August Gorayski, przeciętny sobie ziemianin, który przez parę miesięcy był „kompromisowym” marszałkiem sejmu; Tarnowski, nie mając czym innym, pół nekrologu wypełnił tym, jak „pan August” tańczył mazura. Potem przejął te nekrologi Jerzy Mycielski, który również prowadził rubrykę wesel i chrzcin, mnóstwo sztuki dyplomatycznej wkładając w porządek wyliczania gości oraz w znalezienie właściwego punktu, gdzie — niby nóż gilotyny — przypadało zabójcze słowo: „i inni”.

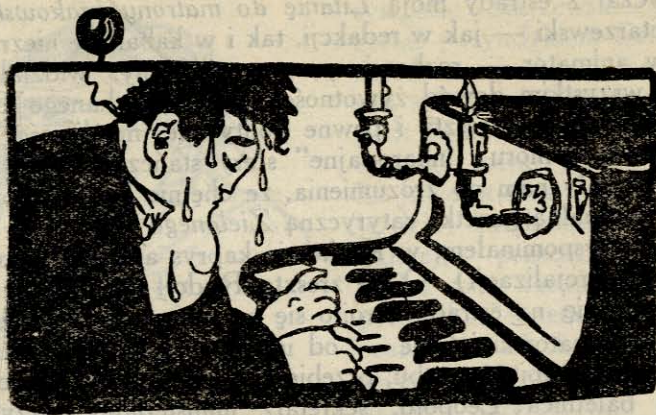
Ale tematu do zabawy nie brakło w *Czasie* nigdy. Od cesarskiego Burgu i gabinetów ministerialnych, od Akademii Umiejętności aż do sypialni ładnej pani, znało się tam kulisy wszystkiego. To było bardzo zajmujące. Z kim i

gdzie przepadła słynna „zaginiona hrabina”; i jak minister dla Galicji, sławny oryginał Wojciech Dziędużycki, przyjął w szlafroku deputację nauczycielek, a nim wysłuchał ich postulatów, oświadczył z całą powagą: „najpierw siusiu” i skierował się ku przyległym drzwiom; i diagnoza płci Dawida Abrahamowicza; i autentyczna rozmowa Długosza z cesarzem Francem Józefem, i konszachty ze Stapińskim, i perypetie księdza Stojalowskiego, tam — i tylko tam — wiedziało się wszystko. Czyż to nie był „Zielony Balonik” *avant la lettre*?

Kiedy od malarskiego stolika w cukierni Michalikowej padło hasło „kabaretu”, najżywszy oddźwięk znalazło ono — w *Czasie*. Było to bardzo naturalne. Jednym z pierwszych, którzy przyjęli je z entuzjazmem, był Jan Stanisławski, niby to groźny profesor, ale w gruncie starszy kolega uczniów, sam dowcipny, złośliwy i cudownie żywotny grubaś; Stanisławski był serdecznym przyjacielem Starzewskiego; *Czas* był półoficjalnym organem „*Sztuki*”; związki między młodą „malarią” a młodą redakcją *Czasu* były bardzo bliskie. Noskowski duchem obejmował miłośnię teatr, malarstwo i muzykę; był urodzonym pieśniarzem, w którym drzemał nieświadomiony piosenkarz. Sierosławski, Rakowski, Siedlecki, współpracownicy *Czasu*, — to była dawna cyganeria Przybyszewskiego. I *Zielony Balonik* nie byłby przetrwał ani dwóch wieczorów, gdyby na pierwszy apel nie przybyła mu w sukurs redakcja *Czasu* niemal w komplecie. „Stasinek” stanął na estradzie i ujął chwiejną czasem dłonią kaduceus *conférenciera*, na wpół bezwiednie wchodząc w uroczysty styl krakowskich mistrzów ceremonii*; Noskowski syptał wyborne piosenki i grzmiał w pia-

*) Oto krakowiak Tadeusza Zakrzewskiego, przeprowadzający paralele między Tarnowskim a Sierosławskim:

„Dwie postacie historyczne miasto Kraków sławi, wielkiego Stasia ze Szlaku i Stasinka z Pawiej. — Obaj dzielni publicyści, zasłynęli w prasie, pisując czasem dla *Czasu* artykuł na czasie. — Każdy inną miał zasadę, głosił



Witold Noskowski

rys. K. Sichulski

nino aż mu pot spływał z czoła. Żuk-Skarszewski recytował swój „tryptyk” o *Złotym Runie*, z okazji nadania orderu złotego runa Andrzejowi Potockiemu*, właścicielowi słynnego pałacu „pod Baranami”, którego fronton zdobiły w istocie trzy baranie głowy. Siedlecki w uroczystościach *Balonika* świetnie parodiował Stanisława Tarnowskiego. Rakowski był tym, który z niesłychanym przejęciem

ją z godnością; jeden wołał: „bądźmy trzeźwi”, drugi: „precz z trzeźwością” — Zgodność życia z swą zasadą podziwiano w świecie; jeden tron miał w Akademii, drugi w kabarecie. — W małych ciałach wielkie dusze i gest wielkopański: o tym pisał Przybyszewski, o tamtym Wyspiański. — A pod świętym Stanisławem, w zaśluzonych grobie, złożymy kiedyś na Skatce te wielkości obie. — I zapłacem nad mogiłą tych co Kraków sławi, wielkiego Stasia ze Szlaku i Stasinka z Pawiej...”

*) W długim tym żartobliwym poemacie była taka apostrofa do znanego ze sknerstwa hr. Potockiego, namiestnika Galicji:

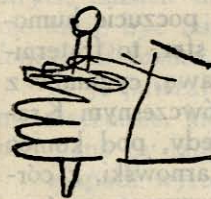
„Dzieckiem w kolebce kto urwie łeb hydrze — Głupcem! Lecz wełnę kto wszyscyutką wydrze — Z baranów, kto ich wystrzyże, wyiska — Wydoi, paszę odejmie od pyska — I wszystką wełnę, co dają barany — Spienięży, złoży na procent składany — Ten, wzrósłszy w męża, zabłyśnie jak łuna. — Istnym bez trwogi ten rycerzem RUNA! — A gdy nad RUNO nic nie masz na świecie — Jak twą wspaniałość opiewać pocie?”

odryczał z estrady moją *Litanie do matrony krakowskiej*. A Starzewski — jak w redakcji, tak i w kabarecie niezrównany animator — rozbawiony, uszczęśliwiony, widział w tym wszystkim dowód żywotności swego ukochanego *Czasu*. (Rozumiał zresztą i pewne polityczne możliwości tej placówki humoru; „miarodajne“ sfery stańczykowskie nie raz dawały nam do zrozumienia, że chętnie by finansowały ewentualną gazetkę satyryczną *Zielonego Balonika*; ale, jak już wspominałem, w Krakowie kaprys artystów oporny był komercjalizacji). O ile zresztą Rudolf Starzewski nie pojawiał się na estradzie, roiło się na niej — w tej pierwszej półamatorskiej fazie — od innych braci Starzewskich. Stanisław, kapitan sztabu, przebierał się w trykoty i tańczył jako baletnica; Leopold, sekretarz ministerialny, przybywał specjalnie z Wiednia, aby odgrywać... sekretarza ministerialnego, idiotę, przy Trzcńskim, który odgrywał takiegoż idiotę ministra. Jan Starzewski wreszcie, radca skarbowy, drżący od tremy, produkował swoje amatorskie piosenki. A Tadeusz Starzewski z Wł. L. Jaworskim i Janem Hupką zasiadali przy stoliku w kącie, coś niby rada nadzorcza.

Później stosunki „Balonika“ z *Czasem* jeszcze bardziej się zacieśniły. Jak z *Czasu* do „Balonika“ weszło sporo osób, tak znów z kolei, przez nowe wytasowanie ludzi, *Czas* znalazł w „Jamie Michalikowej“ nowych przyjaciół lub współpracowników: Karol Frycz, Adamowicz, Jachimecki, Edward Leszczyński, Warchałowski. Młody adwokacik Zakrzewski, dzięki swoim piosenkom*), zyskał

*) Oto jeden z krakowiaków Zakrzewskiego pt. „Baranie głowy“:

„Sercem Polski nasze miasto, kto przeczy, bluźnierca, a sławny Rynek krakowski sercem tego serca. — W nim całego życia obraz, każdemu tak znany: Friedlein, wieża Maryjacka, Hawelka, Barany. — Wszak te cztery Rynku rogi to, przyznanie z góry, są gdyby słupy wytyczne dla naszej kultury. — Z jednej strony hejnał z wieży, co pod niebo sięga, głosi o tym, jaka była przeszłości potęga. — Z drugiej strony naszych czasów symbol masz gotowy: w melancholii zadumane trzy baranie głowy. — Od wieku nieporuszone, tego miasta strzegą, by przypadkiem coś nie wyszło z trybu codziennego. — Z dobrotliwym pobła-



Boy.

Boy (rys. K. Sichulski)

sympatię Starzewskiego i został — syndykiem *Czasu*, dziedzicznej niemal osobistej własności Potockich z pod Baranów... Kiedy Noskowski towarzyszył Wł. L. Jaworskiemu w jego objeździe kandydackim dla agitacji przedwyborczej, brał z sobą *Szopkę* i kajet piosenek Delmeta, którymi czarował szlachcianki po dworach. Kiedy chodziło o to, aby przeforsować niepopularną kandydaturę Bobrzyńskiego, werbowano agitatorów w *Zielonym Baloniku*; w *Czasie* znowu odbywały się posiedzenia komitetu „balonikowego“, na hektografie *Czasu* odbijaliśmy nasze cyrkularze i korespondencje. Nieraz Noskowski wypukując na swojej maszynie uroczyste powitanie zjazdu ziemian lub biskupów, mimo woli bębnił je w takt jakiejś melodii, którą podśpiewywał sobie, a do której tekst już chodził mu po głowie.

zaniem pilnują tej rzeszy, co pod tablicę przysięgi (Kościuszki) z pieśnią nieraz śpiesz. — To znowu niechętnym wzrokiem śledzić muszą czasem, gdy tłum z czerwonym sztandarem przechodzi z hałasem. — Nic powagi ich nie mąci i nie budzi strachu, póki dumnym stąpa krokiem żołnierz na odwachu. — W czarnożółtą patrzą budkę z wyrazem ufności, każąc ją mieć za fundament szczęśliwej przyszłości. — Kto tej budki świętość uzna, tego mają w pieczy, i zdroj łask na niego spływa, gdy jak baran beczy. — Jeśli tylko zręcznie umie wdziać baranią skórę, na wszystkie szczeble kariery szybko pnie się w górę. — A naród, choć czasem szemrze i skarży się na nie, przecież robi, co mu każą te głowy baranie!”

Szczególna rzecz, jak ludzie mało mają poczucia rzeczywistości: podczas gdy moralizatorzy grzmieli na *Zielony Balonik* jako na „cyniczną międzynarodówkę“, która „szarga świętości narodowe“ (jakżeby się bez tego zwrotu obeszło!), nikt nie zauważył faktu, który wrogowie *Czasu* byłiby z pewnością wyzyskali, mianowicie najściślej-
szych związków tego bardzo poważnego pisma z tą bardzo wesołą instytucją.

Z czasem te związki balonikowe scementowały się jeszcze mocniej: ci na estradzie i ci na sali tworzyli jakby wspólne bractwo, którego jednym centrum było stowarzyszenie *Sztuka*, a drugim redakcja *Czasu*, i które stanowiło swojego rodzaju potęgę w życiu kulturalnym Krakowa. Człowiek z *Zielonego Balonika* to był człowiek, z którym można się było dogadać, człowiek mający poczucie humoru. Zarazem to wymieszanie się światów i sfer, to fraternizowanie powagi z płochością, pracy z zabawą, cyganów z dygnitarzami, dziś tak naturalne, było w ówczesnym Krakowie czymś absolutnie nowym. A już kiedy, pod koniec istnienia *Balonika*, ekscelecja Stanisław Tarnowski, z córką swoją hrabiną Esterhazy i niesłychanie wzruszonym tym wydarzeniem szambelanem swoim, Jerzym Mycielskim, wkroczył do Michalika, aby oglądać swoją figurkę w *Szopce*, był to z pewnością fakt o wiele nieprawdopodobniejszy, niż gdyby dziś kardynał Kakowski zjawił się ze swym kapelanem na balu *Quiproquo*. To był piękny odwet Stańczyka. Tylko jeden Bobrzyński, kiedy mu na prywatnym „kabarecie“ u jakiejś hrabiny zaśpiewano piosenkę „Pan Bobrzyński pod Mielcem stoi“, — absolutnie nie mógł zrozumieć, czemu się ludzie śmieją.

Trwało to kilka lat aż wreszcie wypalił się ogień, *Zielony Balonik* skończył się. Czas został po staremu prywatną centralą dobrego dowcipu. Ale i tam każdy rok przynosił zmiany; ludzie rozpraszaali się, ubywali. Przyszła wojna, a z nią ciężkie na pismo opresje; i to przeszło; i znów Czas stanął na nogi. Moje z nim stosunki jeszcze

się zacieśniły; z gością, stałem się współpracownikiem; chwile, które najmilej wspominam. Pisać w *Czasie*, na którym wychowałem się od dziecka, cóż za emocja! Potem losy przeniosły mnie do Warszawy; znów minęło kilka lat. I jeszcze raz spotkałem się z *Czasem* — przed kratkami sądu karnego. O tę *dziwkę*. Przywiozłem z sobą adwokata, redaktor Beaupré przyprowadził swojego. Biedny Tadzio Zakrzewski, syndyk *Czasu*, nie dożył tej chwili; a szkoda, byłby on występował z ramienia dziennika, było by weselej. Rozprawa się toczy, w końcu adwokat *Czasu* wstaje, krzaka i wygłasza wielką mowę. O Boże! Cóż za styl, cóż za frazesy, cóż za patos! Gdzie on się chował? „W piśmie (wołał), które miało zaszczyt na swych łamach drukować *Quo vadis* mistrza Sienkiewicza, nie może być miejsca na koncepty kabaretowe godne *Zielonego Balonika*...“

A ja patrzałem tylko na niego i myślałem sobie: „Panie mecenasie, kiedy myśmy w *Czasie* robili *Zielony Balonik*, pana by tam może do przedpokoju nie wpuszczono”...

Zapadł wyrok w pierwszej instancji. I ten wyrok sądu karnego skazujący redaktora *Czasu* na dwieście złotych grzywny (z ewentualną zamianą na karę aresztu), pięćset złotych *pokutnego* i ogłoszenie wyroku na łamach pisma, za samowolne opuszczenie w felietonie słowa „dziwka“ — to też może była zemsta Stańczyka za to, że tak długo brano jego imię nadaremno...

DOWÓDZTWO 5 KRES. DYW. PIECH.
KWATERAGŁÓWNA
Ldz.

Z dogmatem...

Pomiędzy epoką, którą można by nazwać matejkowską, a renesansem młodopolskim przypada w życiu Krakowa okres szczególnie jałowy. Jedno się kończy, drugie się nie zaczęło. Stańczycy krakowscy odegrali swoją rolę, mimo że wpływy ich polityczne miały przetrwać jeszcze długo. Niewątpliwie mieli oni swój okres twórczy, kiedy korzystając z osłabienia Austrii trzeba było wytargować koncesje dla kraju, kiedy po załamaniu roku 1863, trzeba było fabrykować nową ideologię, kiedy umacniało się w Krakowie placówki polskiej nauki. Ale z czasem nadmierne przewaga jednej kasty, obwarowanej niesłychanymi przywilejami, aż nadto skłonnej do sobkostwa i ciasnoty, musiała doprowadzić do uwiądnienia. Odbija się to na mieście, które staje się partykularzem tym głębszym, im większe szeroki świat przechodzi tymczasem przeobrażenia. Od innych dzielnic odcina się ówczesny Kraków coraz grubszym murem. Nie dochodzą go prawie walki i prądy, tak znamienne podówczas dla Warszawy. Warszawiak (zwłaszcza „postępowy”) czuje się w Krakowie bardziej obco niż w cudzym kraju. „Ani ludzi, ani stosunków nie mogę pojąć”, pisał z Krakowa Żeromski do narzeczonej w roku 1892; „wszyscy ujadają na stańczyków, a wszyscy są stańczykami”. Nawzajem o Warszawie przeciętny ówczesny Galicjanin wie tyle, co o żelaznym wilku.

W owej epoce robi się w Krakowie osobliwie duszno. Władcy chwili tępiąc młodość sami się tymczasem — nieraz przedwcześnie — postarzeli. Wytwarzają się rządy starych ludzi, lub — gorsza jeszcze — „starobabokracja”. Z dwójcy: Szujski — Tarnowski, nie stało Szujskiego; został Tarnowski, karykatura wodza, raczej lajkonik obcho-

dowy. Ciągłe „gaszenie”, ciągłe wołanie o trzeźwość, o rozsądek, wydały swoje; wychowały pokolenie karierowiczów... w mieście, gdzie nie było karier. Żywa młodzież tłucze głowami o pręty klatki: wyrwać się za granicę, to marzenie; ale jakże trudne do ziszczenia!

Równolegle z marazmem ideowym — marazm artystyczny. Był jeszcze Matejko; zapewne. Ale ówczesny Matejko, to już nie był ten wulkan natchnienia co dawniej; wielkie jego płótna, coraz zimniejsze, coraz chłodniej były przyjmowane. Pamiętam charakterystyczny projekt, którego zapewne i wtedy nie brano zbyt na serio: ponieważ Matejko ma złą perspektywę a dobre głowy i ponieważ nikt tak wielkich obrazów nie kupi, aby jego obrazy... rozparcelować!... Obok Matejki jednym tchem wymawiało się nazwisko *Siemiradzki*; Kraków tłoczył się na wystawę podziwiać jego marmury „jak żywe”. Dość powiedzieć, że jego kurtyna nowego teatru była wydarzeniem artystycznym! Epigoni tych dwóch zapychają swymi bohomazami wystawy obrazów, podczas gdy np. prace Boznańskiej, które niebawem miały jej zdobyć stanowisko w Paryżu, były w Krakowie przedmiotem pośmiewiska. Bohaterem chwili jest Piotr Stachiewicz: „Tyś chyba widział w noc księżycową — otwarte niebo nad swoją głową — tyś chyba słyszał anielskie głosy — co przenikały na wskrós niebiosy”... — takie wiersze pisał ktoś do niego po karmelkowym *Cyklej Matki Boskiej*.

Na wystawę obrazów chodziło się głównie... wieczór na koncert orkiestry wojskowej i elektryczne oświetlenie, jedyne wówczas w Krakowie. Jakże mi się żywo przypominało to wszystko, kiedy w listach Żeromskiego napotkałem opis takiego koncertu, gdzie (pisał) „damy przy świetle elektrycznym mówią po francusku, oglądają *Mildę* Alchimowicza i na Lutnię tyle zwracają uwagi ile na mnie”.

Ten sam odpływ w zakresie teatru. Umarł świeżo ówczesny dyrektor (1886 — 1893), Jakub Glikson. Mimo

wszystkich frazesów, jakimi dziś starowinę na kredyt uczczono, trzeba stwierdzić, że jego rządy były nader smutnym momentem krakowskiej sceny. Glikson był totumfackim Koźmiana, który zmęczony życiem na kilka frontów, oddał mu z czasem teatr, a sam pozostał przy polityce. Ponieważ równocześnie budował się już teatr nowy, o którym Glikson wiedział, że buduje się nie dla niego, prowadził tedy gospodarkę rabunkową, nic nie wkładając a wyciskając co się da. Były oczywiście talenty aktorskie, bo gdzieżby się podziały; ale co do ogólnego poziomu teatr ówczesny, stojący przeważnie „benefisami” i gościnnymi występami, był czymś nad wyraz prowincjonalnym. Podstawę jego stanowił — jak i za Koźmiana zresztą — francuski repertuar „salonowy”, zabawnie odbijający nieraz od krakowskiej biedoty, gdy zemdlona wicehrabina padając ukazywała podeszwy, na których kredą była wypisana przez szewca cyfra należności za świeżutkie „zole”.

Literatura... Och! Cielęcy kult Sienkiewicza i to bez mała wszystko. Był Asnyk, zapewne; ale już na schyłku i — w niełasce; na IV tom swoich poezji (*Nad głębiami* etc.) Asnyk długo nie mógł znaleźć nakładcy. Nigdy może kult Sienkiewicza w Warszawie, gdzie ścierały się prądy społeczne, nie był tak zupełny, jak w owym „dobrze myślącym”, estetyzującym Krakowie. Sienkiewicz przebywał wówczas w Krakowie wiele; pamiętam jego odczyt — „*Pójdźmy za nim*” — preludeum do przyszłego *Quo vadis* — ślicznie choć trochę pretensjonalnie w swej „prostocie” czytane, niskim, matowym głosem. Czytał dla Niej... Bo to był okres jego miłości, z której wynikło znikome małżeństwo oraz mściwa tych amatorów transpozycja w *Rodzinie Połanieckich*. Był zresztą niewidzialny oczom zwykłych śmiertelników. To nie to, co później Stach Przybylszewski, któremu każdy mógł postawić koniak i wypić z nim „na ty”! „Z samymi hrabiami żyje, z samymi stańczykami”, donosi Żeromski narzeczonej w r. 1892. Obiegały za

to jego dowcipy i powiedzenia, na przykład owo: „ładna Nata, ładna Ama, ale najładniejsza mama”, zapisane na wachlarzu pięknej pani Z., wraz z ustnym dopełnieniem do ucha sąsiada: „biedna Ama, biedna Nata, ale najbiedniejszy tata”... Mój Boże! znowu wspomnienie jak żywe: Ama i Nata Z., poezyjka Krakowa, najpierw ślicznie ubrane dzieci, z których urody dumne było całe miasto, potem młodzietkie panny, niepokojące swą dziewiczo-wyzwijająco-cieplarnianą pięknnością. Starszą zwłaszcza, Amę, powtarzał dziesiątki razy Axentowicz w swoich „główkach”; wycisnął ją jak cytrynę. Późniejsze ich małżeństwa były bardzo charakterystyczne: wydała je mama za mąż za granicą, jedną za księcia włoskiego, drugą za księcia rosyjskiego. Sama mama mieszka podobno dotąd na Riwierze. Kochano się w niej masowo, w owej epoce, gdzie było tak mało kobiet, że na jedną przypadało po dziesięciu wzdychaczów, i to jakich! Kochał się w niej podobno bez większego skutku znakomity Kazimierz Morawski, tak że aż zaniedbywał przez to swój warsztat naukowy, czym strapiiony kolega jego i przyjaciel, ksiądz Pawlicki, chodził wielce zaaferowany i powtarzał: „Niechże ktoś na nią wpłynie, żeby ona jemu uległa, bo on nic nie pisze”.

Strasznie trudno jest trzymać w ryzach takie wspomnienia: wciąż jedno wysnuwa się z drugiego, wciąż coś odrywa od przedmiotu. Ksiądz Pawlicki: to znów cała epoka dawnego Krakowa, dla którego zresztą pozostał sfinksem ten młody i zdolny filozof-pozytywista, który nagle, nie wiadomo z jakich pobudek, został księdzem i zakonnikiem po to aby dostarczać miastu przez lata całe tematu anekdotek, jako wielbiciel Renana i France’a, epikurejczyk, żarłok i czarujący bufon. Był profesorem filozofii (!) na Uniwersytecie Jagiellońskim; kiedy na posiedzeniu Wydziału jeden z kolegów-profesorów nagle ciężko zaniemógł, Pawlicki wsławił się naiwnym wykrzyknikiem: „trzeba posłać po księdza”... Smakoszostwem był tak prze-

siąknięty, że rozprawiając po premierze o Judaszu Rostworowskiego, zamiast „Ostatnia Wieczerza” mówił „ostatnia kolacja” i ani wiedząc kiedy, przeszedł na różne sposoby przyrządzania ryb. Raz bawiąc w zaprzyjaźnionym pałacu (żył przeważnie w sferze pałaców), miał odprawiać w niedzielę mszę w kaplicy pałacowej dla domowych i gości. Wychodzi ze mszą, widząc że paru hrabin jeszcze brakuje, czeka tedy, dając oznaki zniecierpliwienia; kiedy wreszcie śpioszki się zjawily, skłania lekko kielich w ich stronę mówiąc: „*Ces dames permettent?*”, i idzie do ołtarza. Zabawną historyjkę opowiadał mi o nim prof. Askenazy. Jako młody historyk, Askenazy referował w krakowskiej Akademii Umiejętności *Pamiętnik* króla Stanisława Augusta. Była tam relacja o kuchmistrzu królewskim, który był tak wybredny, że utrzymywał, iż dwudniowe masło jest już nieświeże. Naraz, przy tym ustępie, widzi Askenazy, który nie znał jeszcze wszystkich członków Akademii, że z aeropagu zrywa się jakiś ksiądz i machając rękami wykrzykuje: „Ma rację, ma rację, ja zawsze mówiłem, że nieświeże”. Z trudem go sąsiedzi-akademicy uspokoili i posadzili z powrotem. To był ksiądz Pawlicki.

O czym mówiliśmy? O pięknej pani Z. i jej wielbicielach. Czy to jeszcze zwykła plotka, czy już „historia literatury”, doprawdy nie wiem; ale podejrzewam, że to do niej Kocio Górski adresował swoje strofy (cytuje z pamięci, więc może co przekręcą): „Nie wołaj na mnie, nie usłyszę, — czarnymi nie goń mnie oczyma — bom w elizejską wstąpił ciszę — i w blask, gdzie ziemskich wspomnień nie ma — bom białych świątyń przeszedł progi — i siadłem bogiem między bogi”...

Co znaczyło prozą, że wyjechał do Rzymu i że jak nie, to nie...

„Nie wołaj: jeszcze w szale chwyć — uśpioną Zewsa błyskawicę — i w oczy twoje pałające — bez trwogi pa-

trząc, w noc cię strącę — bo, jak się czarnym bogom święci — ciebiem poświęcił niepamięci”...

Tak górnie się piał w owym Krakowie, a miasto wyglądało mniej więcej tak jak na starej rycinie. I kiedy patrzę na dorożkę, przypomina mi się mimo woli klasyczna scena z *Madame Bovary* Flauberta, gdy upiorny fiakier objeżdża przez pół dnia smutne ulice Rouen, kryjąc pierwsze upojenia miłosne Emmy i Leona. Iluż bezdomnym parom służyła za schronienie ta krakowska drynda, iluż wyolbrzymionym przeszkodami namiętnościom była zaczarowanym pałacem miłości! Egzaltacja słów skojarzona z trywialnością sytuacji to było znamię epoki.

Czemu ten Kraków wyglądał tak straszliwie? Też jedna z fizjognomij powszechnego marazmu. Po Zyblikiewiczu, Dietlu, dawnych prezydentach Krakowa, nastąpiły senne rządy cnotliwego safandudy, księgarza Friedleina, które doprowadziły miasto do nieprawdopodobnego zaniedbania. Olimp krakowski miał przeważnie powozy, więc mniej cierpiał na tym, ale biada nam piechurom...

Ale to należy do innego paragrafu; na razie mówiliśmy o Kociu Górskim. Mówię „Kociu”, bo tak się dla wszystkich zwało to „cudowne dziecko” arystokratycznego Krakowa, paż cioci Modrzejewskiej-Chłapowskiej, która deklamowała w salonach jego wiersze. Biedny „Kocio” miał być po trosze ofiarą swojej sfery, z której nie umiał się wyzwolić. Utalentowany, dowcipny, wykształcony, nie dał mimo wszystko swojej pełnej miary; zaczął jako poeta, skończył jako historyk sztuki, wart był lepszego losu. Pamiętam jego nowelę *Biblioman*, nagrodzoną na konkursie *Czasu*; to był mały ewenement w literackim życiu Krakowa.

Dużym ewenementem natomiast stały się pierwsze tomy — zwłaszcza drugi — poezyj Tetmajera. Ale o tym zjawisku trzeba by mówić oddzielnie. Tarnowski, przerażony, zapytywał w *Przeglądzie Polskim* „co by powiedział pan Tetmajer, gdyby ktoś przejąwszy się jego ideami oblał

naftą kościół Mariacki i podpalił?” Ale w Tarnowskim już Litka z *Rodziny Połanieckich* budziła poważne zastrzeżenia, poczynawszy od samego imienia: „Litka? — pytał hrabia-profesor — co to za imię? Czy jest w kalendarzu święta Litka? Czy ksiądz powiedział przy chrzcie świętym *Ego te baptiso Litka?*... Może ta Litka (wydziwiał dalej) jest bardzo poetyczna i heroiczna, ale było by lepiej i dla niej i dla jej rodziców, gdyby była taka, jak wszystkie inne dzieci w jej wieku”... A zważmy, że kiedy Tarnowski to pisał, on sam nie był w wieku usprawiedliwiającym ten stopień zdziennienia: miał lat pięćdziesiąt kilka. Cóż miał, niedługo potem, rzec o Przybyszewskim, o Zapolskiej, o Wyspiańskim! W tym świetle może zrozumiałszy się stanie poemacik ze *Słówek* Boya o *Niegrzecznej literaturze polskiej i jej strapionej ciotce*. („Teraz Józio się pomodli — za mamusię, za tatusia — potem grzecznie się wysusia — i spokojnie, cicho zaśnie. — Brzydki chłopak mruknął: „Właśnie“!) Bo zbliżał się moment, gdy życie ze wszystkich stron miało przypuścić szturm do tych zaspanych trochę i zadowolonych z siebie „okopów św. Trójcy”, w których hetmanił ten król żołędny w gronostajach: w ciągu dziesiątka lat, Kraków — bodaj duchowy — miał się przeobrazić do niepoznaki. Tylko drynda została ta sama.

A oto epizod, który przedstawia mi się niby apogeum kończącego się świata, a zarazem jakby jego symboliczne Mane-Tekel-Fares. Był to arcydystyngowany ślub Sienkiewicza, który odbył się w prywatnej kaplicy kardynała Dunajewskiego. Uwielbiałem wówczas Sienkiewicza; uwielbiałem go, Boże odpuść, za *Bez dogmatu*; z bijącym sercem wkradłem się na tę bardzo zamkniętą uroczystość za kartą mego ojca. Sienkiewicz był zawsze trochę snob, jeśli wierzyć wspomnieniom W. Przyborowskiego, wedle których główną ambicją młodego autora *Szkieł węgla* było to, że babka jego była z domu Ciuńdziewicka. Toteż na ślubie tym znalazł się cały wielki świat krakowski. Z cie-

kawością patrzałem na znakomitego pisarza, wówczas czterdziestosiedmioletniego, co w owej epoce, zwłaszcza dla młodożeńca, było straszliwie dużo. Wydał mi się zachwycający, gdy tak sobie klęczał z dość głupią miną, widocznie wzruszony; dwudziestoletnia oblubienica *) zdawała się o wiele lepiej panować nad sytuacją. Książę-kardynał, świadom ważności momentu, wypieścił po literacku swoje przemówienie; robiąc aluzję do głośnej powieści Sienkiewicza, z naciskiem mówił, błogosławiąc nowożeńcom: „Z, dogmatem idźcie w świat”...

Pojechali z dogmatem w podróż poślubną, oczywiście na południe. Wrócili po miesiącu, każde osobno: małżeństwo nie zostało skonsumowane... I dlatego uroczystość tę uważam za symboliczną dla ówczesnego Krakowa. Odmiładzająca kuracja stawała się nieodzowna. Niebawem też miała nastąpić.

*) W odziedziczonych rękopisach z jakiejś ówczesnej filantropijnej „jednodniówki”, znalazłem wiersz narzeczonej Sienkiewicza, przepisany do druku ręką Kocia Górskiego. Wiersz ten figurował w jednodniówce tuż obok drobiazgu Sienkiewicza pt. *Osieczyna*. Miało to wyraźny charakter anonsu: „Henryk Sienkiewicz i Maria... zaręczeni”; sprawiło też nie lada sensację w mieście, mimo iż jednodniówka wyszła w maju, a ślub odbył się w lutym. Wiersz narzeczonej Sienkiewicza, to już (zdaje mi się) historia literatury; więc go tu przytaczam. Tytuł: *Riwiera*.

Na srebrnej, cichej, przeźroczystej wodzie, — Cicho ligurskie kołyszają się łodzie, — W oddali góry jasne i zamglone — Jakby w muślinu spowite zasłone. — Przy brzegu, ponad śpiących wód lazury, — W koronkę willi rzeźbione marmury — Wśród dwóch błękitów świecą się i bielą — Jak białe lilie, marząc nad topielą. — Głębiej cyprysów czerń, tam róż kaskady, — I oliwniki. Bluszcz i winograpy — Stroją mur, zębem wieków poszczerbiony, — W ciemnej i jasnej zieleni festony. — Tam znów gaj pinii. Rozłożyste sosny — Sennemu morzu nucą śpiew miłosny, — A w chór złączone, złotolistne palmy — Grają, jak harfy, dawidowe psalmy. — Różowym kwieciem kapią z gór migdały, — Anemonami porastają skały, — Czasem rybacka pieśń zabrzmi echowo... — Wietrzyk przynosi woń pomarańczową.

Powiedzcie: kiedy się człowiek wychował w tak dystyngowanej epoce, czy nie może mu zostać na resztę życia niejaka skłonność do używania ciężkich słów?

Wiatr nad Krakowem

Malując w poprzednich rozdziałach dawny „pański” Kraków, mimo woli zaraziłem się od niego skłonnością do gawędy; ale tu trzeba mi być zwięzłym i suchym, zaledwie ram tego felietonu starczy, aby nakreślić „tablicę synchronistyczną” wypadków, jakie w ciągu kilku lat zaszły w tym cichym mieście. A rzecz zasługuje na utrwalenie, nigdy bowiem w tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni nie dokonała się większa przemiana. I nie bez ściśłości wziąłem datę ślubu Henryka Sienkiewicza jako symboliczny znak zbliżającej się odnowy; właśnie ten rok 1893 miał się stać jej początkiem.

Datę można ustalić z całą ściśłością, gdyż jest to data otwarcia nowego teatru, którego dzierżawę obejmuje Tadeusz Pawlikowski. Wobec powszechnej u nas skłonności do zmieniania ludzi w bezcielesne mity, warto może przypomnieć, że kiedy Pawlikowski obejmował teatr, miał lat dwadzieścia dziewięć. Mając przy organizowaniu nowej sceny wolną rękę, nie mając zaś za sobą autorytetu ani zasług, młody ten człowiek wołał, ufając (i słusznie, jak się okazało) swemu instynktowi, oprzeć się na zespole przez siebie stworzonym, niż na szanownych rekwizytach personelu. Teatr Pawlikowskiego jest więc przede wszystkim — teatrem młodych. Jaki był ten zespół, uprzytomniło mi się, kiedy niedawno przeglądając stare czasopismo, znalazłem obsadę jakiejś błażej sztuczki; grali w niej, między innymi: Solska (Pomian), Siemaszkowa, Przybyłkówna, Siemaszko, Solski, Roman, Kamiński, Śliwicki...

Nie jest moim zamiarem pisać tu monografię teatru Pawlikowskiego, ale też warto przypomnieć, czym dla ówczesnego Krakowa, po jałowiźnie dożywającej swych dni

„budy” Gliksona, musiał być teatr, w którym przedefilowali Ibsen, Bjornson, Strindberg, Hauptman, Currel, Courteline, Portoriche, Oskar Wilde, Ostrowski, Czechow, Gorkij, Maeterlinck etc... etc... Teatr Pawlikowskiego miał charakter teatru *awangardy* — dla całej Polski wówczas; otóż, czy nie musiało być oryginalnym zjawiskiem małe i senne miasteczko, w którym jedyny istniejący teatr był sceną literacką, prowadzoną przez notorycznego *modernistę* i „dekadenta”? Co Antoine w Paryżu grywał w swoim *Théâtre libre* pokątnie, to w Krakowie szło jako oficjalny repertuar. A zważywszy, że w mieście nie było konkurencji, nie było operetki, nie było wówczas kina; kto zatem miał w ręku teatr, ten mógł uprawiać pewnego rodzaju terror; mówił niejako do publiczności: „Nie chcesz tego, co ci daję? To siedź w domu”. Miało to wielkie znaczenie wychowawcze dla miasta; zwłaszcza przy częstoci premier. A czymże dopiero był taki teatr dla młodych, jakież ożywczy zastrzyk raz po raz: w mieście, gdzie życie realne było tak straszliwie ubogie, jedynymi realnościami stawali się Ibsen czy Currel, nowa rola Kamińskiego urastającego w oczach. Teatr opędzał trzy czwarte rozmów, był jedynym zdarzeniem wolnym od piętna śmieszności, europejskim. Dodajemy, iż sam Pawlikowski, swą tajemniczą *perwersyjnością*, legendą swego majątku, swą cyganerią w wielkim stylu, swoim upartym drażnieniem krakowskiej cnotki działał silnie na fantazję miasta, w samym zaś teatrze stwarzał atmosferę podniecającą, sprzyjającą rozkwitowi talentów.

Prawie równocześnie — ważne przemiany w życiu malarzkim. Umiera Matejko. Matejko był genialnym malarzem, ale szkoła jego, w ostatnich latach zwłaszcza, była martwa. Już szły ze świata nowe prądy, nowe hasła, światło, kolor, plama, *pleinair*, impresjonizm; nie przenikały tylko do gmachu, gdzie władał Matejko, sam jeden, wielki, w otoczeniu miernych nauczycieli. Najpowolniejsi uczniowie w zaduchu pracowni podlewali brudnym sosem swoje zim-

ne wypracowania figuralne. Co było wielkie u Mistrza, sta-
wało się okropne u jego epigonów. Najżywszy z młodych,
Włodzio Tetmajer, zmuszony niemal kryć się z tym co malo-
wał, drapnął do Bronowic. Skoro umarł Matejko, po krótkim
okresie przejściowym (Łuszczkiewicz, Rodakowski), po-
wierzono Fałatowi reorganizację szkoły. Fałat ściąga z kra-
ju czy zza granicy tęgich malarzy a młodych jeszcze ludzi;
nowe ciało profesorskie — to Wyczółkowski, Malczewski,
Pankiewicz, Axentowicz, Laszczka, Stanisławski, późniejszy
Ruszczyk... Zmienia się zupełnie fizjognomia, duch szkoły.
Zapachniało Paryżem. Przed tym szacunek dla Mistrza
trzymał uczniów w milczącym oddaleniu; teraz młodzi pro-
fesorowie, kontenci że się znaleźli razem, kontenci z war-
sztatu pracy, są w pysznych humorach, figlują, karykaturu-
ją się wzajem, tak jak ich znowuż karykaturują uczniowie,
traktowani przez nich jak młodszy koledzy. Na którymś
ze swoich obrazów Wyczółkowski wymalował Jacka Mal-
czewskiego nago, z kosmatymi nogami fauna, nagabywanego
przy pracy przez nimfy czy dziewczęta. W istocie, w po-
równaniu z askezą Matejki, to był renesans po średniowie-
czu! Szkoła wre pracą, ale rozbrzmiewa wesołym śmiechem.
A kiedy rychło potem powstaje stowarzyszenie *Sztuka*,
przeprowadzające tak potrzebną wówczas selekcję artysty-
czną, dzięki której zyskuje pierwszorzędną sukcesy w sto-
licach europejskich, raz po raz profesorowie któregoś ze
swych uczniów wyzwalają na majstra, pasując go na człon-
ka *Sztuki*. Zdziwiałoby się urodzaj na talenty malarskie
w ówczesnym Krakowie. Młodość!

Interesujące jest związek, jaki istnieje między rzeczami
materialnymi, technicznymi, a życiem duchowym. Jakże do-
niosłe miał na przykład znaczenie *pastel*, użyty przez Wy-
spiańskiego. Olejny obraz — taki jak je wówczas malowa-
no, masywny — był dostępny jedynie magnatom. Robota
portretu trwała całe tygodnie. Któż mógł bodaj zamaryżować
o portrecie Matejki! Wyspiański, który miał w głowie ty-

siące prac i pomysłów, a nie zawsze miał na farby, machał
pastel w godzinę lub dwie: w proporcji do czasu i materia-
łu, i cena była o ileż niższa; to „potaniecie geniuszu” mia-
ło nieobliczalne następstwa dla kultury artystycznej miasta.
Uprościł także ramy, — oprawiając swoje obrazy w zwy-
kłą, niemalowaną nawet listwę drewnianą, gdy dawniej
lada bohomaż wymagał kosztownych ram złożonych. Dzię-
ki tej prostej zmianie techniki arcydzieło Wyspiańskiego
było dziesięć razy tańsze, niż „kobyła” jakiegoś Krzesza,
którego samo płótno, farby i rama kosztowały więcej, niż
Wyspiański żądał za cały obraz. To miało decydujący
wpływ na wniknięcie malarstwa w nowe mieszczańskie spo-
łeczeństwo, dopuszczając je do zażyłości ze sztuką. Pasja
do obrazów, zwłaszcza wśród lekarzy krakowskich, rozwija
się w ciągu kilku lat zaskakująco, przeobrażają się ściany
mieszkań. Bardzo ciekawe było patrzeć na tę *infekcję*
sztuką, w której nie małą rolę gra osobiste zetknięcie się z
artystami, nietrudne w miniaturowym Krakowie, gdzie
wszyscy prawie się znali.

Literatura. Ale trzeba się streszczać. Zatem, w roku
1894 wyszła w Krakowie pamiętna *druga seria* (tak wów-
czas skromnie tytułowano tomiki poezji) Kazimierza Tet-
majera. W tym samym mniej więcej czasie drukuje w
krakowskim *Świecie* Miriam swój przekład *Statku pijanego*
Rimbauda, dając tym przedsmak przyszłej *Chimery*. W r.
1897 zakłada Ludwik Szczepański *Życie* (pierwsze harce
Nowaczyńskiego, A. Górski, Miciński, Perzyński, Kisie-
lewski etc.), w którym współdziała przybyła z Paryża
Gabriela Zapolska. Zarazem Zapolska jest aktorką w tea-
trze Pawlikowskiego i wystawia pierwsze swoje sztuki:
Zabusia, *Kaska Kariatyda*, *Tamten*. W roku 1918 spada
na Kraków Przybyszewski; w tymże roku teatr wystawia
jego sztukę *Dla szczęścia*; w roku 1899 *Warszawiankę*
Wyspiańskiego. Powstaje *Paon*, braterska orgia literatury,
teatru, malarstwa, muzyki. (Przybyszewski miał wówczas



Wiatr nad Krakowem

(rys. Iwo Gall, z *Abdery*)

lat trzydzieści; krakowska jego gromadka liczy mało co ponad dwadzieścia; i tu — młodość). Feliks Jasiński zjeżdża ze swoim wędrownym muzeum i całą japońszczyzną.

Wreszcie — w roku 1901 — *Wesele*, już w teatrze Kotarbińskiego. Doprawdy, w ciągu tych ośmiu lat, Kraków dużo przeżył. To równoczesne spotkanie się tylu nie-

zwykłych indywidualności, współzycie ich, współdziałanie, inspirowanie się wzajemne wytworzyło atmosferę tak przesyconą ozonem, jak z pewnością mało gdzie i kiedy. Było to tym osobliwsze, że działo się w małym miasteczku, którym zewnętrznie Kraków być nie przestał. Mały Kraków urósł przez sztukę, o wiele wprzód, zanim ambitna energia prezydenta Leo przeobraziła go administracyjnie w *Wielki Kraków*. To do niedawna miasto starców staje się miastem młodych. Nawet jego biedę zdołała na chwilę oszukać sztuka. Młoda cyganeria z dumą przywdziewa uniform artysty, parysko-zakopiańską pelerynę, która ma tę zaletę, że wraz z młodopolskim krawatem pokrywa niedomagania ubrań i bielizny... Życie przenosi się z salonów do knajpy, a jeżeli zawadzi o salon, to o bawialnię jakiego lekarza czy profesora. Sztuka staje się nobilitacją mieszczaństwa.

A dawny, „pański” Kraków patrzył na to wszystko, coraz bardziej odosobniony, i nie rozumiał nic. Dopiero młodszy hrabiowie — Morstin, Rostworowski — przejdą pod znak Wyspiańskiego. Kiedy młody Morstin po wystawieniu *Legionu* miał odczyt o tej sztuce, Tarnowski był bardzo z tego niezadowolony; aby go udobruchać, spiknięto go gdzieś w towarzystwie z Morstinem. Nie bardzo się to powiodło. „Czterdzieści lat uczę, co jest piękne, a co brzydkie, a te osły latają na *Legion*,” burknął hrabia-profesor. — A cóż Ekscelencja powie o mnie, który miałem odczyt o *Legionie*? — podjął Morstin rękawicę (jeżeli to można nazwać rękawicą). Kto osłów uczy, o tym nie powiem kim jest”, odrzekł Tarnowski. Taka była rozmowa hrabiów, którą powtarzał mi Morstin, a która dowodzi, jak bardzo staremu hetmanowi ta dezercja zapadła w serce.

Bądź co bądź fala młodości, która ogarnęła Kraków, dała się odczuć i w tym obozie, ale w dość zabawny sposób. Było to w początkach dyrekcji Pawlikowskiego: owo sławne przedstawienie *Lysistraty*, od którego długo trzęsło

się miasto. W owym czasie wystawiono w Paryżu ten utwór Arystofanesa, przyprawiony bulwarowo przez Maurycego Donnay. Skusiło to dawnego dyrektora, jeszcze sercem bliskiego teatrowi, Koźmiana, który ujrzał w tym rolę dla wybornej, ale starzejącej się aktorki Hoffmanowej; sam przetłumaczył tę arystofanesowodonejową *Lizystratę* i ofiarował się z inscenizacją. Już z prób zaczęły iść na Kraków wieści, że czegoś podobnie nieprzyzwoitego świat i korona polska nie widziały... Tacia Trapszówna, która miała grać Myrrynę, zalewała się rzewnymi łzami, że jej każą występować nago: „nago” wówczas, to znaczyło w cielistych trykotach po szyję i w płaszczu, który miała rozchylić na jeden moment. Ale w istocie przedstawienie było bardzo nieprzyzwoite: podkreślono, z sarmacką jurnością, słowem i gestem, drażliwe momenty; wszystko razem trąciło pornografią. Jako poetycką wstawkę wszyto *Narodzinę Afrodyty* Tetmajera, połączone z tekstem za pomocą operetkowego: „Opowiedz, jak to było? — Posłuchajcie”. I do tego bigosu znakomity hellenista, prof. Kazimierz Morawski, któremu widać w owym czasie dopiekle perfidna srogość którejś z krakowskich dam, napisał prolog, na dzisiejsze pojęcia arcy niewinny, ale na ówczesne stańczykowskie maniery nieprawdopodobnie... wyuzdany! Mówił w tym prologu do publiczności, iż może ją dziwi,

że greckie panie i greckie panienki
rzeczą nazywają właściwym imieniem,
może się serce wasze przy tym wzdryga;
wiecie jak cenną krzewinę jest figa
i jak jest miło skryć się pod jej cieniem.
...Perykles czułby się w tym grodzie struty,
Próżno by szukał uroczej Aspazji,
W mieście, gdzie więcej niż grzechów — pokuty,
I może rzecz tę biorąc nazbyt serio,
Aspazję zmieniłby w skromną Egerię...

(Oj, ta Aspazja! czuję tu perfumy pięknej pani Z...)
Po tej *Lizystracie* w mieście zawrzało. Liberały, widząc sposobność ugodzenia znienawidzonych stańczyków w

najczulszy punkt: moralności, owej moralności, której stańczykom wciąż było za mało u drugich, rozdarli szaty z oburzeniem; satyryczne pismo *Diabeł* ogłaszało imienną listę szanownych osób, które były na *Lizystracie*. Ksiądz jakiś, nie zorientowany w wyższej polityce, wystąpił z ambony przeciw sztuce: Tarnowski wezwał księdza i zwymyślał go; nie księdzu sądzić biskupa, a wedle krakowskiej hierarchii stańczykowskiej Koźmian i Morawski mieli rangę co najmniej biskupów.

Jedną jeszcze pamiętam zabawną historię o tym, jak pałac próbował uczepić się nowego życia. Było to już później, kiedy dzięki agitacji Warchałowskiego, Kraków wstał w znak „Sztuki stosowanej”, a znowuż dzięki apostołstwu Witkiewicza zakopiańszczyzna wciskała się wszędzie. Jednego dnia zjawia się w siedzibie Warchałowskiego słynna hrabina X. Chciałaby (powiada) ufundować konkurs: konkurs na ornat. — Bardzo pięknie, jakąż nagrodę przeznaczą pani hrabina? — Jedną gwineę. (Zdumienie na twarzy Warchałowskiego). ...Jedną gwineę; ja słyszałam, że zwykle na takich konkursach nagrodą jest jedna gwinea. Tylko jeden warunek: żeby nic nie było z portek. (Znowu na twarzy Warchałowskiego odbiło się zdumienie). ...No, z portek (tutaj gest palcem w powietrzu, z którego interlokutor zaczyna się domyślać o co chodzi). — Pani hrabina myśli o *parzenicy*? — *Vous appelez ça parzenica*? Bo ja to nazywam portki”...

Dobra hrabina była przekonana, że „portki” to jest wyszywanie na spodniach góralskich!

Czy można by znaleźć coś, co by lepiej oddało psychikę kasty, niż ta gwinea, ten ornat i te portki? Kombinacja sknerstwa, bigoterii, snobizmu i jakiejś — aby tak rzec — eksterytorialności tych krajowych cudzoziemców, którzy nawet języka swego kraju nie znają! Bo skoro żona prezesa Akademii Umiejętności nie wie, co znaczą po polsku „portki”, czegoż żądać od innych!

Ale już zbliżał się dzień zapłaty: „Nie takie głowy jak twoja, Ekscelencjo, spadały” — grzmiał w wiedeńskim parlamencie Daszyński do Wojciecha Dzięduszyckiego, starego kawalarza, który bawił się tym, że na ceremonialne zaproszenia opatrzone u dołu literami O. o. u. s. (*o odpowiedź uprasza się*) odpowiadał również pierwszymi literami: *Dziękuję uprzejmie, przybędę akuratnie*. (Potem się ta formuła spospolitowała, ale on ją wymyślił).

Daszyński! To też był współczynnik przemiany Krakowa. Cały Kraków pędził jak do teatru na jego pierwsze porwijące mowy w ujeżdżalni. Daszyński, wówczas w pełni młodości, to był — niezależnie od przekonań słuchaczy największy, obok *Kamyczka* (Kamińskiego), sukces artystyczny. Ale sam socjalizm, w pierwszym wówczas swoim bohaterskim okresie, pociągał młodzież; skupiał siły wprzód nie mające zużycia, wabił chłopców, dziewczęta. Bo wśród tego i Uniwersytet dostał zastrzyk hormosperminy. Po długich walkach dopuszczono kobiety do studiów, na razie na medycynę. Miało to dla fizjognomii Krakowa znaczenie: nie tylko krakowianki wyroiły się na ulicy Kopernika, ale i większość emancypantek zza kordonu, które dotąd musiały jeździć do Zurychu lub do Paryża. Równocześnie chroni się na krakowski Uniwersytet raz po raz garść wydalonych za jakieś przewiny studentów warszawskich. Odcinają się na ulicy swymi rosyjskimi czapkami, niedbałymi brodami, w laboratoriach swą pracowitością i swą hardością, tak niepodobną do potulności tubylców, wychowanych w szacunku dla „władzy”. Przynoszą z sobą jakiś powiew tragiczny, raz po raz bucha tajemnicza historia, jakiś trup znaleziony na błoniach — samobójstwo czy samosąd? Słowem, gdzie tylko spojrzeć, przemiany. Ostry wiatr powiał na Kraków.

Ariel i Kaliban

Niech to nikogo nie dziwi, że Ariel na rycinie jest masywny i tłusty, a Kaliban długi i cienki. Natura miewa takie kaprysy. Ale tutaj kaprys jej ma znaczenie poniekąd symboliczne. W walce, jaką w podwawelskim grodzie Ariel sztuki stoczył z Kalibanem, siłą przeciwnika była właśnie ta nikłość, która się umykała wszelkiemu natarciu. Przygięty wichrem jak trzcina kalibanek prostował się znów.

I niech też nikogo nie dziwi, że tym dawnym krakowskim zdarzeniom poświęcam tyle miejsca; niech nikt nie pomawia mnie o zbyt „regionalizm”. Toż to była — od czasu starcia romantyków z klasykami warszawskimi — pierwsza w wielkim stylu *sprawa o sztukę*, to było pierwsze bodaj *środowisko artystyczne* jakieśmy mieli.

Bo i jak mogliśmy je mieć przy naszym rozbiciu, rozproszeniu, przy naszych troskach? Wszak przez tyle lat duch polski nawykł koczować za granicą! Gdyby ułożyć listę naszej emigracji — musowej i dobrowolnej — zajęłaby ta lista wiele stronic. Nie było naturalnej osmozy sztuki. Pomiędzy szczytami — jakimś Norwidem czy Chopinem — a kulturą kraju była przepaść. Przy ciągłych upustach krwi, wstrząsach i żałobach, zakazach i nakazach, czyż mogło być na serio miejsce na te sprawy?

Dlatego czymś osobliwym w naszym życiu było to dziesięcio czy piętnastolecie Krakowa, w którym na przekór wszelkim niedostatkom materialnym i fizycznym miasta, rozwinęło się życie artystyczne tak pełne jak nigdy wprzód u nas i nigdzie. Płodne spotkanie się tylu niezwykłych jednostek, współczesność rozkwitu teatru, malarstwa, poezji, sztuki dekoracyjnej, walka o nową myśl i no-

wą formę; — okres ów, poza tym co dał bezpośrednio, wytworzył tyle energii potencjalnej, że można powiedzieć, iż bardzo znaczna część tego, co się dziś w Polsce w zakresie sztuki dzieje, ma źródło w ówczesnym Krakowie. To chyba starczy, aby się warto było nim zajmować?

Na kilka lat przed tym krakowskim renesansem pojawiła się w Warszawie książka, która narobiła dużo hałasu. Była to Stanisława Witkiewicza *Sztuka i krytyka u nas*. Mówiła o rzeczy mającej ścisły związek z brakiem atmosfery artystycznej, o niedomaganiach naszej krytyki. Chodziło tam głównie o malarstwo, ale i w ogóle o to, aby sztukę sądzić kryteriami sztuki. Nie było to łatwe żądanie, bo gdzież miały się wytwarzać te kryteria? Malarstwo nasze rozwijało się przeważnie za granicą; krajowa „krytyka” to było aż nazbyt często gładzenie miernot o miernotach. Poczciwość intencji, obywatelska myśl, dostojeństwo tematu, szacunek dla starszych, praca, nieskazitelne życie, to były miary służące dla oceny obrazu. I tak było po trosze we wszystkim; zanieczyszczenie pojęć sztuki najciaśniej stosowanymi kategoriami pożytku społecznego istniało we wszystkich działach. Straszliwie było potrzeba miotły; owo: „oczyścić dom, dzieci!” księdza Robaka było bodaj że najpilniejszym zadaniem. I to spełniło się poniekąd w Krakowie.

Działal w tym duchu teatr, który wprowadzając raz po raz dzieła współczesnej europejskiej myśli odkażał powietrze z mikrobów zaścianka. Działal najsilniej Przybyszewski, jednostronnie zapewne i często niesprawiedliwie, ale jakże twórczo, podniecająco, podnosząc temperaturę, ogarniając jednym spazmem myśli poezję, malarstwo, rzeźbę, architekturę, muzykę, historię! I wciąż istotą tego apostolstwa, mającego dwa oblicza — uwielbienie i szyderstwo — było rozróżnienie tego, co jest sztuką, a co ją świętokradczo udaje. Pod tym względem wszystkie te tak różne indywidualności sprawujące sądy Minosa w krakow-

skim *Paonie* były zgodne: to samo wyrażało ironiczne brząknięcie Wyspiańskiego i sławne „hehe” Przybysza, i wymowne milczenia Pawlikowskiego, i groźne nieartykułowane pomruki Stanisławskiego. Interpretowanie zasady mogło, oczywiście, nie być wolne od uprzedzeń i omyłek, ale sama zasada, postawiona u nas bodaj po raz pierwszy, miała wielkie znaczenie. Pierwszy raz akcentuje się tak dobitnie pojęcie wspólności sztuki i potrzeba selekcji.

Zasada selekcji najrealniej wyrażała się w dziedzinie malarstwa; jakoż powstające w owym czasie stowarzyszenie *Sztuka* już samą nazwą wskazuje, że celem jego jest rozdział na to, co jest sztuką, a co nią nie jest. Nie było to zadanie łatwe; wymagało autorytetu, pewnej bezwzględności, nawet despotyzmu. Tego zbawiennego tyraństwa znała *Sztuka* w Janie Stanisławskim; a choć z natury rzeczy akcja ta budziła niejedną sprzeciw, w sumie jednak miała swoje wielkie znaczenie, wewnątrz i jeszcze bardziej na zewnątrz. Pierwsze wystawy *Sztuki* za granicą były tryumfem. Przed tym istnieli dla Europy polscy malarze (często pod obcą flagą), odtąd istnieje — polskie malarstwo.

Jana Stanisławskiego warto przypomnieć, bo twórczość jego malarska — mimo że niepospolita — nie wyczerpuje tej bogatej natury. Jego wpływ osobisty w ciągu owego dziesięciolecia, jego działalność organizatorska, jego „żywa krytyka” — i to nie tylko malarska — wszystko to zajmowało wiele miejsca w ówczesnym życiu artystycznym Krakowa. Dziś jeszcze, po dwudziestu kilku latach, tym co go blisko znali zdarza się w różnych sytuacjach naśladować żartem, co by on powiedział, jego głosem, jego stylem. Słyszy się jeszcze te długie pomruki, z których strzela nagle jakaś rozkosznie celna i lotna definicja.

Gdyby nie ukraińska mgła zadumy w jasnoniebieskich oczach, można by o Stanisławskim powiedzieć: figura ra-
belesowska. Ten olbrzym, gruby jak piec był podobny do



Lekcja Stanisławskiego (rys. S. Rzeckiego w *Liberum Veto*)

Pantagruela z ilustracji Dorégo. Był synem profesora, tłumacza *Boskiej Komedii*; studiował matematykę, z której przeszedł do malarstwa, zawadziwszy o dom obłąkanych, podobno wskutek nieszczęśliwej miłości do pianistki Antoniny S. Opowiadał raz, że spotkał tam wariata, który mu mówił zdumiewające rzeczy o kolorach. Kiedy uzbierał jakie 100 rubli, jechał do Paryża i żył tam póki mógł. Malował małe obrazki — małe cudowności — stanowiące wymiarem swym zabawny kontrast z jego olbrzymią postacią, ale właśnie podobno tusza jego była przyczyną ich małości: przy większym obrazie zanadto go męczył konieczny ruch ciągłego zbliżania się i oddalania. Ten brzuch o niesłychanej pojemności był stale niedopełniony. Sądzę, że kiedy go zamianowano profesorem Akademii, pierwszą jego radością było, że może się najeść do syta. Opowiadał, jak oprowadzając po Paryżu Zapolską bez

grosza w kieszeni i zmuszony udawać, że mu się nie chce jeść, patrzył z nienawiścią na nią, wsuwającą befszytk. „Jak ja jej nienawidziłem w tej chwili!” — powiadał. Maciupęńskie pejzaże, które przywoził z Ukrainy, zaczęły zwracać na niego w Paryżu uwagę. Nie mając pieniędzy na ramy, przyczepił kilkanaście tych obrazków do wielkiego płótna i posłał je na Salon; zainteresowały członków jury tak, że sami złożyli się na ramy. Wówczas to Fałat reorganizując Szkołę powołał go do Krakowa; niebawem Stanisławski stał się duszą Akademii Sztuk Pięknych.

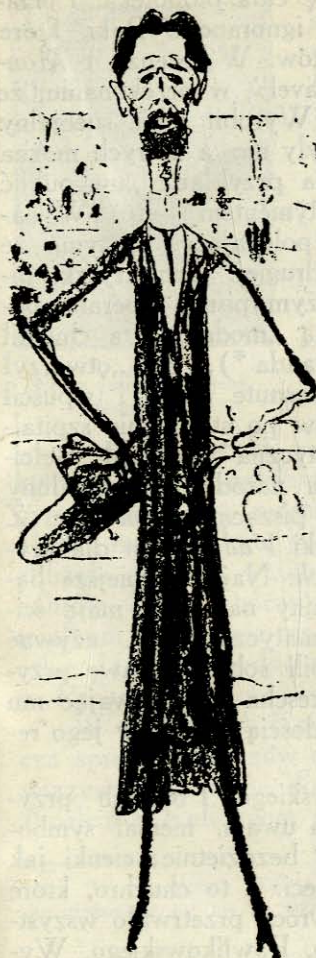
Rabelesowska była w tym człowieku i pojemność duchowa. Rzadko spotyka się człowieka tak niezmęczonego w chłonięciu wrażeń. Nie opuścił ani jednej premiery, ani jednego koncertu, znał całą literaturę, pił muzykę wszystkimi zmysłami. Ten kresowiec-paryżanin czuł się równie swojo w mrokach duszy rosyjskiej, co w wyrafinowaniach kultury francuskiej. Miał pasję nauczycielską, masę czasu poświęcał uczniom; przy tym był żarłok i smakosz, potrafił zjeść półmisek kołdunów, zagrać dwadzieścia robrow winta, a gawędziarz był taki, że odprowadzając go do domu zagadywał się pod bramą do rana. Dowcip smakował i cenil jak mało kto; określenia jego krążyły z ust do ust, były żywą krytyką kształtującą opinię. Organizator o niespożytej energii stał się również duszą *Sztuki*; woził jej wystawy za granicę, znajdował wszędzie posłuch i sympatię, dnie i noce męczył się przy urządzaniu sali i cieszył się tryumfem tych, których wysuwał na pierwszy plan, najmniej myśląc o sobie. A kiedy mówił o wielkiej sztuce, o swoich uwielbianych mistrzach, oczy jego nabierały wyrazu jakby ekstatycznego rozmodlenia. I ta mgiełka mistyczna — mistyka matematyków — to żdźbło oblędu przytające w oczach dodawały szczególnej zaprawy tej jasnej i przenikliwej inteligencji.

Obcowanie z nim — a umiał być czarujący! — zawsze budziło pewien niepokój. Podrażniony, miewał wybu-

chy furii, których się bano; zdawało się że może zabić człowieka. To również przydawało mu autorytetu: przy jego wzroście i sile, któż by się takiemu sprzeciwił! Kiedy mu ktoś zarzucał, że jest niesprawiedliwy, wybuchał: „Noo... dlaczego ja mam być sprawiedliwy? Pan Bóg jest sprawiedliwy”. Mimo to, nie sędzę, aby w kryteriach malarzkich popełniał wiele niesprawiedliwości.

Po którejś wystawie Jacka Malczewskiego (z jego najbardziej „symbolicznego” okresu), Stanisławski długo kręcił brodę, międlił coś w ustach, w końcu mruknął: „No, pięknie, bardzo pięknie, no ale na przyszły raz będzie za- ba w kwaśnym mleku, no i zbawienie Polski”. Ktoś musiał powtórzyć to Jackowi, bo kiedy na przyszły rok wystawił nowy obraz, była na nim, obok postaci samego Jacka, wielka dzieża z kwaśnym mlekiem, z której wychodzi zaba; podpis „Zatruta studnia”. Bo Jacuś Malczewski, mimo tercjarskiego habitu św. Franciszka, w którym się kazał pochować, był wielki zcichapek i figlarz.

Stanisławski uwielbiał Chełmońskiego, jego jednego może bez zastrzeżeń. Zabawny był jego stosunek do Wyspiańskiego, złożony z admiracji, czułości i jakiejś przy- jaznej złośliwości, odwzajemnianej zresztą. W jednym ze swoich wybuchów — było to przed *Weselem* — dawał taką charakterystykę Wyspiańskiego: „No, wyobraźmy so- bie, że Polska umarła i że jest jej pogrzeb. Słowackiemu, gdyby był na pogrzebie, pękłoby serce i wylałaby się krew czerwona. Wyspiański najpierw by wszystko ustawił, wy- reżyserował, poprawił, to tu, to tak; potem pękłoby mu też serce i wylałaby się krew — seledynowa”. Kiedy już prze- konał się do Wyspiańskiego zupełnie, cierpiał nad tym, że Chełmoński go nie uznaje: pasją jego było zbliżać tych, których kochał. Wreszcie nawrócił Chełmońskiego witra- żem Kazimierza Wielkiego, przed którym Chełmoński sta- nął w osłupieniu. Korzystając z tego Stanisławski z rado- ścią zaprosił obu do siebie. Chełmoński, ze swoją wylaną



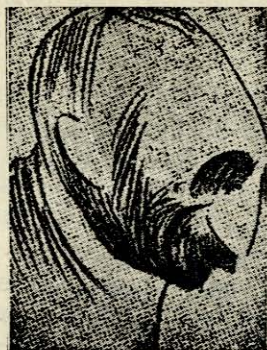
„Mały Prokesch” (rys. L. Wy-
czółkowski, Z *Liberum Veto*)

naturą, podszedł ku Wyspiań- skiemu z otwartymi ramionami i ze słowami podziwu. Ale Wy- spiański, który wiedział o jego dawniejszej niechęci a był bar- dzo rogaty i pamiętliwy, zapiął charakterystycznym ruchem swój wieczny czarny tużurek, w od- powiedzi na wylewy brząknął tylko: „Cieszę się, że znalazłem uznanie w pańskich oczach” i odsunął się. Stanisławski onie- miał; nie wiadomo było chwilę, czy wybuchnie, czy się rozplą- cze; wreszcie odszedł w kąt i jęknął: „Noo, g...arz z żółtą brodą!” Nikt chyba dla Wy- spiańskiego nie znalazł równie oryginalnego określenia; a był w tym i żal, i czułość, i nawet uznanie.

Tak, ten ciężki kształtem, a lotny myślą i miłością brzuchacz był prawdziwym Arielem rados- nej wiedzy o sztuce. Budził na- turalny postrach w kalibanie, którym był krytyk *Nowej Re- formy*, Władysław Prokesch. Nicość Prokescha miała coś a- pokaliptycznego; to był na swój sposób fenomen. Przez trzydzie- ści lat z górą był sprawozdawcą literackim, teatralnym, malar- skim i muzycznym. Gdyby ze- brać razem — szalona myśl! —

wszystko co napisał, złożyłaby się cała biblioteka. Poma-
gała mu w tej pracy absolutna ignorancja. Bąki, które
strzelał, były stałą radością artystów. W recenzji z *Man-
dragory* potrafił pisać: „p. Michiavel”, w przekonaniu, że
krytykuje współczesnego autora. Wyrobił sobie specjalny
słownik frazesów, które nie znaczyły nic, a których można
było użyć do wszystkiego, jak na przykład: „uwypuklić
nieprzeciętne walory owiane sentymentem” itp. Wyna-
laź sposób „asekurowania się”, polegający na tym, że
jedna połowa zdania przeczyła drugiej. Ten krytyk, pi-
szący parę dziesiątków lat w dużym piśmie liberalno-po-
stępowym, wciąż zwalczał wszelką „moderne”, a chwalił
zbożne tendencje. Chwalił Rostanda *), że „otworzył
szarą przędzą pleśni od dawna zasnutę okno i wpuścił
przez nie powiew świeżych prądów po stęchliźnie szpital-
nej, jaką daje literatura modernistyczna”; chwalił Bełci-
kowskiego „swojski obrazek życia narodowego skreślony
ręką zamiłowaną w przeszłości a piszącą sercem” etc. Z
formulek jego ułożył Nowaczyński *Vademecum* dla kry-
tyków pod tytułem *Mały Prokesch*. Najzabawniejsze bą-
ki strzelał w muzyce, której terminy najczęściej mają ści-
słości; nie da się np. słów „chromatyczny” itp. używać
po cmacku. Fachowi muzycy robili sobie zabawę przy-
siadając się na koncercie do Prokescha i podsuwając mu
brednie, które na drugi dzień z radością czytali w jego re-
cenzji.

Przez czas działań Stanisławskiego Prokesch przy-
cupnął nieco. Ale oto rzecz godna uwagi, niemal symbo-
liczna. Grubas Stanisławski umarł bezdzietnie; cienki jak
tyczka Prokesch miał ośmioro dzieci. I to chuchro, które
— zdawało by się — wiatr przewróci, przetrwało wszyst-
kich: Witkiewicza, Stanisławskiego, Pawlikowskiego, Wy-



Feliks Jasieński, zwany
Manggha

spiańskiego, wszystkich. Doczekał
się swojej apoteozy, swego jubile-
uszu (te nieopisane krakowskie ju-
bileusze!). I ci sami malarze, któ-
rzy dwadzieścia lat wprzód kwali-
fikowali jego działalność w sło-
wach najbardziej... malowniczych,
teraz, sami doszedłszy fazy, w któ-
rej budzi się potrzeba wzajemnej
wrozumiałości i pobłażania, zaczę-
li rozumieć praktyczność i wygodę
instytucji-Prokescha. I urządzili
mu jubileusz, i wprowadzili go pod
ręce, i mieli do niego mowy. Tylko
enfant terrible ówczesnego Krako-
wa, Feliks Jasieński, zamącił tę uroczystość felietonem, w
którym zestawiał najślawniejsze bąki Prokescha, między in-
nymi ową sławną recenzję z *Wesela* *), gdzie krytyk wy-
kładał myśl utworu jako zachętę dla inteligencji, aby się
zbliżała do ludu, a „choć nie brak przy tym małych dyso-
nansów, całość kończy się wesołym oberkiem”. — „Nie
miałbym ostatecznie nic przeciw tej koncepcji — dworował
sobie Jasieński; jedno mnie tylko niepokoi, mianowicie że
p. Prokesch był równocześnie krytykiem muzycznym”.

W owej chwili Kraków, pod znakiem wojen, a zwłasz-
cza aprowizacji, znów miał co innego na głowie i nie przy-
wiązywał znaczenia do takich sporów. Ale walka między
Arielem a Kalibanem jest wieczna...

*) Egzemplarz *Nowej Reformy* z ową słynną recenzją zniknął tak
doszczętnie, że nie ma go podobno nawet w Bibliotece Jagiellońskiej.

*) Cytaty te przepisuję dosłownie z książki Kotarbińskiego *W służbie
poezji i sztuki*, gdzie przytoczone są zupełnie poważnie... Pocziwy Józefek!

„Na początku była chuć”...

Lubię kreśląc te wspominki zaglądać do listów Żeromskiego pisanych z Krakowa do narzeczonej. Bawią mnie te konfrontacje wrażeń. Otóż czytam pod datą roku 1892:

„Zapoznałem się z powieściopisarzem Sewerem. Ten ostatni jest już starowinką, ale krzepkim jeszcze i trzymającym z młodymi... Spotykamy się i gadu, gadu. Jest to taki gaduła, że trzeba na ulicy zmiatać przed nim, gdy się nie ma czasu, bo gotów godzinę przetrzymać i poobrywać guziki u palta, tak je kręci. Złoty pierniczek!...”

Uśmiechnąłem się mimo woli, kiedy to czytałem. Bo Sewer miał wtedy 52, a historia literatury — Feldmana czy Potockiego — podkreśla młodzieńczą świeżość, jaką zachował do końca. Ale mógł robić na kimś to wrażenie. Tak ludzie postarzali się wówczas dobrowolnie: charakterystyczną strojem, wzięciem. Kto znał Sewera powierzchownie, ten mógł w istocie myśleć: „pan Jowialski”. Pan Jowialski płatający niewybredne figle i psoty, potrzebujący ciągłego gwaru, wciąż głodny okazji do śmiechu, bawiący się bez końca jednym konceptem. To był Sewer „popołudniowy”. Ale był i Sewer „poranny”, jeden z najpracowitszych literatów w Polsce, który regularnie kroił swoich sto czy dwieście wierszy dziennie, zachowując do końca niezłomną wenę opowiadania, artysta wrażliwy na wszystkie kwestie i prądy, chwytający je za łatwo może czasem, ale w lot, żyjący po koleżeńsku a zarazem po ojcowsku z młodymi, nie przestraszający się żadnej ich ekstrawagancji.

Kiedy skończył swój dzień pracy, Sewer puszczał głowę luzem. Wówczas bawił się byle czym, chodził gadał, mącił wodę, świntuszył sobie z sarmacka i bardzo niewinnie, zaczepiał nieznajomych, pisał z byle powodu do przy-

jaciół listy zrywające znajomość, ale zapominał o tych listach zaraz po ich wysłaniu...

Szedłem raz z Sewerem ulicą; idzie naprzeciwko nas jakaś obca pani z córeczką i woła na nią: „Andziu, nie oddalaj się! — ...Od trzody, mówiła stara owca do owieczki młodej”, — wydekłamał jej Sewer prosto w twarz, uklonił się i odszedł zostawiając paniusię w osłupieniu. To próbka jego zabaw. Czy nie jowialszczyzna?

Ten pan Jowialski miał swoją nieodłączną panią Jowialską, przeznaczoną panią Marię Maciejowską. Podobnie jak Sewer (to był jego pseudonim; nazywał się Ignacy Maciejowski), i żona jego wyszła ze sfery ziemiańskiej. Młoda jeszcze jej twarz była dosłownie pomarszczona ze śmiechu. „Co ten Sewer nie wymyśli”, — powtarzała krztusząc się od śmiechu i kręcąc wiecznego papierosa. Ale zajrzyjmy znów do Żeromskiego: „Stary Sewer zawsze z żoną pisze i przerabia”... To może przesada; ale w istocie Sewerowa była dzielną pomocnicą męża, była duszą tego domu, gdzie przez wiele lat zbierali się na codziennej popołudniowej herbacie Asnyk, Wyspiański, Reymont, Mieliński, dwaj Tetmajerowie, Malczewski, Wyczółkowski, Kamiński, Starzewski, Górski, Wysocki i cała czereda innych. Cóż to był za miły, uroczy dom, te trzy pokoiki na drugim piętrze przy ulicy Batorego nr 6, chwilami przypominające dom wariatów! Sewerowie byli tak zrośnięci z sobą, że kiedy roztargnionego Sewera pytano o zdanie o jakiejś książce, pierwszym jego odruchem było zwrócić się do swojej generalnej sekretarki: „Maria, czy ja to czytałem? — Czytałeś. — Podobało mi się? — Podobało”. I dopiero wtedy Sewer odpowiadał: „Czytałem, świetne!”.

Figlarstwo Sewera objawiało się na przeróżne sposoby. Koperty nie zaadresował, aby nie poczynić jakichś psotnych dopisków! Sławna była historia jego wikarego w Dołędzie (Sewer pół życia gospodarował i do końca zachowywał ścisły kontakt ze wsią), którego władze duchowne

przeniosły w drodze karnej za taki adres skreślony przez Sewera: „Wielebny książd X., wielbiciel Marii, ale nie Boskiej, tylko Sewerowej Maciejowskiej”. Jeżeli jaki „badacz” weźmie się kiedy naukowo do jego korespondencji, może dojść do fantastycznych wniosków. Zaczego Sewera, najprzywiązanego małżonka, pomówią co najmniej o — erotomanię. Nic mu nie znaczyło w liście o charakterze czysto towarzysko-przyjacielskim dać nagłówek taki:

Najdroższa! — Za mało! Ukochana! — Za mało! Jedyna! — Nareszcie”, tak jak nic mu nie znaczyło zakończyć np. tak: „Całuję ręce! wyrażnie i głośno wołam r-ę-c-e! Przywiązany, oddany, zakochany Sewer”, albo „Całuję wszystkie okrągłości od a do z“...; albo jeszcze gorzej; — po czym oddawał najspokojniej pióro żonie aby się dopisała. Ten stary dzieciak miał tak ustalone przywileje, że było by szczytem śmieszności w Krakowie obrazić się o cokolwiek na Sewera. Wszystko składało się na tę bezkarność: i wcześniej posiwiałe włosy, i fama emisariusza z 63-go roku, emigranta, autora świetnych *Szkiców* z *Anglii*, i powszechna świadomość, że ten figlarz jest rozumnym i najlepszym człowiekiem.

Mam w ręku kilkadziesiąt listów Sewera pisanych do Elizy Pareńskiej, żony znakomitego lekarza i profesora, z której domem był w serdecznej zażyłości. Cały Sewer odbija się w tych listach. Wciąż kimś się opiekuje, kogoś ratuje, dla kogoś kwestuje. To kupuje imieniem adresatki obrazek od młodego malarza, to szturmuje przez nią do bogatego kołtuna o stypendium na lekcje dla młodej adeptki sceny; wciąż przejęty czyjąś biedą, czyimś talentem, ufny, życzliwy wszystkim i wszystkiemu, pełen optymizmu, zachowujący humor w drobnych i większych codziennych kłopotach. Bo opierając swój byt na pracy literackiej, zawsze zawisłej od kaprysów „rynku” i opłacanej nieregularnie, mimo to Sewer miał otwarte serce i pugilares dla innych.

Oto próbka ksiąg handlowych Sewera, wyjęta z listów do pani Elizy, która też była po trosze domem bankowym „Młodej Polski”:

„Włodzio nie namalował portretu, więc mi nie oddał 100 złr., Józio Wolff nie odsyła 300 rubli, Skiwski 800 odda dopiero po 15, X... nie oddał 40, zatem proszę na tydzień lub dwa pożyczyć mi 100 złr., jeśli łaska...”

Przez szereg listów ciągną się projekty jakiejś wycieczki do Włoch, głównie dlatego aby zawieźć tam młodego literata, którego talent potrzebowałby wrażeń. Koszt wyprawy do Rzymu oblicza Sewer na 250 reńskich na głowę (sielskie czasy!), czeka tylko na pieniądze z *Ateneum*. Ale to marzenie o miesięcznym wytnieniu okazało się zbyt wygórowane, bo już na drugi dzień pisze „Wczoraj podany przeze mnie projekt na Rzym upadł!... Na Rzym mamy za mało pieniędzy; wraca projekt Wenecja i do domu. Na Wenecję potrzeba 120 guldenów na głowę i jedziemy tylko na dwa tygodnie”.

Są w tych listach zabawne ploteczki literackie:

„Dziękuję za *Krzak dzikiej róży* Jasia. Są tam rzeczy przesliczne, nastrojowe i świeże aż pachnie góskim powietrzem i kosodrzewiną. Na *wzgórzu śmierci* silne, tylko ta dusza głupia, która nic nie robi, tylko oddaje się orgii zmysłowej z Lucyperkiem, — a cóż za wielkie rzeczy mogłaby mówić, gdyby umiała! Gdyby Jasia (*Kaspro-wicza*) było na to stać...”

To znów o czym innym:

„Przyjechał tu do nas Włodzio Tetmajer i zabawne rzeczy opowiada o konkurach Lucka o rękę Jagi w Bronowicach Małych. Jak Lucek lata boso, z cwikiem na nosie, jak okopuje buraki, wiąże snopy, jak się umizga, jak jest czuły, sentymentalny itd., itd., z humorem opowiada a wybornie robi Lucka: jego ruchy — jego miny. — Przy tym bardzo lubi Lucka i śmieje się mówiąc, że dla mnie na listy przybył mi nowy tytuł dla niego: „szwagier Ry-



Włodzimierz Tetmayer
(rys. S. Wyspiański)

dla"... I ja tak będę adresował. Ale Rydelek Lucek zrobił nam niespodziankę i zaimponował!!!!... Lubię go za to bardzo!"

A ta ploteczka, czy nie kapitalna? Sewerowie żyli w bliskiej przyjaźni z żoną głośnego filozofa-mistyka, profesora Lutosławskiego. Otóż Sewer referuje:

„Pisała L.....a, że 44 już w drodze, tylko nie przez nią. Znalazł Lutuś podobno na Wołyniu matkę „cudzoziemkę”, która pozwoliła na to, aby z niej (i Lutusia) przyszedł na świat a imię jego 44. Skądże Lutuś

jest taki zarozumiały, że to on tylko może być ojcem 44? Na to trzeba być wariatem: Dziwię się tylko tej, którą znalazł”...

Szczegół ten z tak autentycznego źródła jest niezmiernie ciekawym przyczynkiem do psychologii sekt mistycznych. Uparcie pokutuje ustna tradycja, wedle której Towiański miał starać się Mickiewiczowi o matkę dla przyszłego geniusza; w tym samym czasie *Ojciec - Wiekuisty saint-simonistów*, Prosper Enfantin, wędrował ze swymi uczniami do Egiptu, aby tam sobie szukać matki dla mesjasza...

„Lutuś — jak go nazywa Sewer — toż to znowu cała karta dawnego Krakowa, i jakże charakterystyczna! W owej bujnej epoce, naprzeciw „czarnym mszom” Przybyszewskiego, szerzy się magia biała: wszystkie sale są za ciasne, aby pomieścić słuchaczy mistrza Wincentego; musi przemawiać na błoniach. W przepelnionej sali Teatru ludowego, sfanatyzowani mężczyźni i kobiety ślubują poczwórną wstrzemięźliwość. Czyż nikt nie napisze historii *Elsów* krakowskich? Ale trzeba, aby to był ktoś mający

poczucie humoru. Dziwne maskarady urządza czasem bożek Eros...

Byli i inni apostołowie. Pamiętam dra Augustyna Wróblewskiego, fanatyka czystości. Z każdego słowa jego prelekcji czuć było, jak jest opanowany demonem płci. Znikł gdzieś nagle, zdaje się że w czeluściach jakiegoś domu zdrowia.

Wszystko było wówczas w fazie wrzenia, nawet antyalkoholizm. Miał swój okazowy egzemplarz: był nim stolarz Ligęza, stary pijak, który został abstynentem. Wyleczony z zastarzałego nałogu, demonstrowany tryumfalnie po wszystkich zjazdach i ceremoniach, opowiadał historie swego nawrócenia, jak pił, jak przestał pić, etc. Nie szczęściem, od czasu jak przestał pić, biedak zramolał zupełnie. Otóż raz, w największej sali uniwersyteckiej, tzw. sali Kopernika, był odczyt młodej studentki na temat „etyki płciowej”; po odczycie dyskusja. Pierwszy prosi o głos — stolarz Ligęza. Zaczyna kręcić swoją katarynkę: jak pił, jak przestał pić... Dłuższy czas dają mu mówić, w końcu jednak przewodniczący przerywa mu i prosi, aby się trzymał ściśle tematu, którym jest (z naciskiem to zaznacza) *stosunek do etyki płciowej*. Stolarz Ligęza zafrasował się wyraźnie: „E, tego to już tam...” — machnął z wymownym zniechęceniem ręką i usiadł wśród homerycznego śmiechu sali. Powaga dyskusji przysła.

Ale wróćmy do listów. Jeszcze jakiś list Sewera, wcześniejszy. Data: 1898.

„Męczyłem się z *Życiem* i nareszcie odstąpiłem go Przybyszewskiemu, bo to jego rzecz, straciwszy na nim 700 złr., lecz cieszę się, że się pozbył — mam wolną głowę i swobodną myśl... Męczyłem się z dekadentami wściekle...”

Prawda! Oto charakterystyczny epizod, który trzeba było tu przypomnieć, skoro mowa o przewartościowaniu dawnego Krakowa. Ten stary powstaniec przejmujący na

swoje barki organ najmłodszej Polski, po to, aby go wiernie oddać w ręce piewcy „nagiej duszy”, to ma swoją pikantę. Miał rację Żeromski mówiąc, że Sewer „z młodymi trzyma”! Kiedy *Życie*, w pierwszej fazie bytu, nie mogło wydychać przy swoich 400 prenumeratorach i miało nieodwołalnie upaść, właściciele jego złożyli je w ręce Sewera. On ma stosunki (mówili), wydebi może jakieś pieniądze. Sewer wziął się najofiarniej do dzieła. Wyłożył swój literacki grosik, wykupił *Życie*, redakcję oddał Arturowi Górskiemu, sam uczynił się „wielkim jałmużnikiem” pisma. Kogo on nie naciągnął na to *Życie*! Znowu czytam w liście: „Szczepanik przysłał 500 zł, Badeni, marszałek, 200, może co Wyczół uzbiera w Warszawie. Za to znowu zaczynają krzyczeć, że *Życie* jest nudne i bezbarwne. Kazio Skrzyński powiada, że to organ księdza biskupa Puzyny. Trudno wszystkim dogodzić”.

Przemęczył się Sewer najgorsze letnie miesiące; wreszcie, kiedy w jesieni 1898 zjechał do Krakowa Przybyszewski, Sewer oddał mu pismo. Było coś bardzo ładnego w sposobie, w jaki traktował Sewer swój depozyt i swoją rolę. Przybyszewski wziął nie tylko *Życie*, ale zabrał Sewerowi połowę codziennych herbacianych gości. Za silną była fascynacja na młodych: „Przybysz” lał do herbaty trzy czwarte koniaku, takiej konkurencji „herbaciarnia” kochanej Sewerowej nie mogła wytrzymać.

Sewer pogodnie zniósł tę dezercję. Wrażliwy na wszystkie zjawiska, umiejący przy tym ze wszystkiego wycisnąć trochę zabawy, z ciekawością przyglądał się, co się dzieje w nowym *Życiu*, jak na kartach niedawno tak spokojnych i zbożnych wykwitają upiorne wizje Muncha, jak rozbrzmiewa dźwiękiem organów synagoga szatana, jak „Msza za umarłych” łąka wersetami nowej ewangelii płci. Czytał to wszystko stary Sewer (wówczas miał już pod sześćdziesiątkę), chodził po pokoju z rękami założonymi w tył i powtarzał swoim nosowym głosem pierwsze zdanie poe-

matu Przybyszewskiego: „*Na początku była CHUĆ. Tak, tak, na początku była chuć. Prawda, Maciejowska?*” A Sewerowa parskała krótkim śmiechem i mówiła: „Oj, ten Sewer, ten Sewer, co on nie wymyśli!”.

Przeczytałem drugą część *Moich Współczesnych (Wśród swoich)* Stanisława Przybyszewskiego. To znów owe czasy krakowskie, na które patrzałem z bliska młodymi oczami. Sam chciałem o nich pisać, zacząłem nawet szkic pod tytułem *Scherzo Przybyszewskiego*, ale później, zajęty czym innym, zarzuciłem to pisanie. Może trzeba by go dokończyć? Tym bardziej, że sam Przybyszewski de-
sygnuje mnie niejako testamentem na dziejopisa „tak zwa-
nej (powiada) Młodej Polski”. — „Nikt inny prócz nie-
go, Boya, nie byłby więcej do tego powołany”... — mó-
wi w swojej książce. Rzecz zastanawiająca, że historię
Młodej Polski, stale aż do przesady uderzającej w naj-
górniesze akordy, on sam, Przybyszewski, który nie znał
innego tonu prócz dytyrambu, przekazuje — humoryście...
I czemu mnie? W dobie, gdy przebywał ze „Stachem”,
nie byłem ani Boyem, ani literatem, byłem w istocie, jak
pisze o mnie, studentem medycyny, „zgrywającym się ca-
łymi nocami w karty w niekoniecznie dobrym towarzystwie
i w niekoniecznie dobrych lokalach”; nie rozmawiałem z
nim nigdy o literaturze, w ogóle roz-
mawiałem z nim niewiele... Ale dość
często, na różny temat, spoglądaliśmy
sobie w oczy. Ta wymiana spojrzeń
stała się dla mnie przygodą, która za-
ważyła na moim życiu, a dla Stacha
musiała też być czymś, co mu utkwio-
ło w pamięci, skoro po paru dziesiąt-
kach lat, w ciągu których straciliśmy
się z oczu zupełnie, pisze w tych na-
zbyt zaszczytnych dla mnie i jak za-
wsze przesadnych słowach:



Przybyszewski
(rys. S. Wyspiański)

„Jest jedyny człowiek w Polsce, który by mi tę za-
gadkę rozwiązał, zagadkę nie smutku tego wszystkiego
(„tristesse de tout cela”), ale zagadkę bajecznego humoru
tego wszystkiego, godnego pióra jakiegoś Gogola o bardzo
wysokiej kulturze, posługującego się na granitowym kole
wyostrzonym skalpelem, z jakim się tylko wysoce dyskretny
artysta, obdarzony darem śmiercionośnej, bo delikatnej,
sceptycznej, a zarazem bolesciwie kochającej ironii obcho-
dzić umie: Boy-Zeleński...”

I może to nie jest bez głębokiej racji, że humoryście
przekazał sekret swego życia. Bo Przybyszewski, mimo że
w pismach swoich — poza osławionym „hehe” — tego
nie ujawniał, miał diabelskie poczucie humoru. Otóż u-
derzające jest, że życie tego poety, udręczone, tragiczne,
zasłane trupami, było zarazem ciągłą groteską, znaczyło się
pasmem najkomicniejszych anegdot; było, niemal do koń-
ca, jakąś makabryczną farsą, która wciągała w grę całe
otoczenie. Czemu, jak, przez co — gdzie indziej*) sta-
rałem się to wytłumaczyć. Dziś chcę skreślić jedynie parę
słów na marginesie jego książki, przy której czytaniu koło
każdego zdania snuje mi się jakiś komentarz, jakieś przypo-
mnienie, często sprowadzające mi uśmiech na wargi.

„Na samym wstępie (mówi Przybyszewski, opisując
swoją przyjazd do Krakowa) zastanowił mnie jeden czło-
wiek — przystojny, starannie ubrany, przystanął nagle
przede mną i powiedział jednym tchem: „Byłbym szcze-
śliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty
wyprawione”. Przez chwilę cośkolwiek zgłupiałem, ale nie
przeczę, że byłem wzruszony tą przemową...”

To był w istocie — mimo ekscentrycznej formy —
szczerzy wyraz uwielbienia, z jakim nasze pokolenie powi-
tało Przybyszewskiego w Krakowie. A pierwszym tym
hołdownikiem był nie jakiś chłystek, ale pan Zdzisław Ga-

*) Ludzie żywi.

bryelski, meloman, filozof i oryginał, zarazem właściciel największego w Krakowie składu fortepianów. Zdaje się nawet, że wymawiając te słowa ukląkł, czy chciał uklęknąć. Było to w letnim teatryku, na popularnej wówczas w Krakowie *Królowej Przedmieścia*. Z teatru zaprosił ów Gabryelski cygańską kompanię do siebie. Z pewnością w całej Europie nie znalazło by się piękniejszego miejsca dla upicia się, niż historyczny gmach Krzysztoforów, gdzie w szeregu sal stały szeregiem dziesiątki fortepianów, a w nich lśniły szeregiem czarne na przemian i białe klawisze. Pomyslcie tylko, jak to wszystko zacznie się w oczach dwoić, troić, giąć w fantastyczne kształty, wibrować, tańczyć, chichotać... Okna szeroko otwarte na cudny Rynek krakowski, muzyka płynie het, het aż po mogiły Krakusa i Wandy, ukochane preludium *A dur* spływa się z trąbką mariackiego hejnału, wódkę przepija się szampanem a zagryza koniakiem, serce wzbiera bezgranicznym szczęściem powrotu na polską ziemię, a szczęście to cisnie się na usta boskim refrenem Richarda Dehmela: *Noch eine Stunde, dann ist Nacht — Trinkt bis die Seele überläuft...* Czyż ta noc nie pozwalała sądzić, że Kraków to — nareszcie! — kraina czystej poezji, znaleziona po tylu wędrówkach?

Nic dziwnego, że Przybyszewski wpadł w istny szal zachwyty, a entuzjazm jego miał w owej epoce nieodpartą zaraźliwość. Nad ranem Gabryelski, wciąż na klęczkach, ofiarował mu uroczyscie, przy świadkach, najpiękniejszego koncertowego Steinwaya. Przepawszy się handlowiec ten musiał przechodzić ciężkie chwile, ale słowo się rzekło! Wprawdzie, między słowem a czynem, Steinway zmienił się w zgrabnego czeskiego Petrofa, ale Petrof w istocie zająchał przed mieszkaniem Przybyszewskiego, skoro mieszkanie to poecie znaleziono. Znamienne jest, że pierwszym meblem, który posiadał Stach był fortepian; wśród dokładnie puściutkich ścian błyszczał wspaniale. Postać Gabryelskiego urosła do wyżyn krakowskiego Medyceusza.

Stolik Przybyszewskiego w kawiarni był obłożony. Cisnęli się doń wszyscy niby do twórcy jakiejś nowej religii, on zaś najchętniej przygarniał maluczkich. W liczbie tych błogosławionych maluczkich i ubogich duchem znalazł się młody aktor Ankiewicz, który w owej *Królowej Przedmieścia* grał rolę *Kantka*. Stach pokochał tego Ankiewicza, był dla niego bardzo dobry, lubił słuchać jego naiwnych zwierzeń. Strapieniem Ankiewicza — który zresztą miał przed sobą ledwie kilka miesięcy życia — było to, że nie posiada wykształcenia; biedaczysko ten, suchotnik, alkoholik, głodomór, miał w istocie wzruszającą pasję kształcenia się, którą zaspakajał w arcykomicznych warunkach. Przejęty zabobonną czcią dla nauki, czytywał — jak często aktorzy-samoucy — co najpoważniejsze dzieła, ekonomię polityczną etc.; mieszkał zaś z kochanką, prostą i pospolitą dziewczyną, która nie mogła wręcz znosić tego czytania. Przybyszewski zaśmiewał się do łez, słuchając opowiadań Ankiewicza, jak leżąc z nią w łóżku (mieli tylko jedno łóżko), chce czytać ekonomię polityczną, a ona drze mu książkę i rzuca w kąt lub na złość gasi lampę. Potem aktorzyna (który czując po aktorsku sukces swoich wynurzeń, zaczął się po trosze „zgrywać”) mówił o swojej matce, ubogiej kobiecie, która go z trudem wychowała, która jest bardzo muzykalna i całe życie cierpiała nad tym, że nie ma fortepianu. Teraz biedaczka jest bardzo chora, pewnie niedługo umrze... Serce Stacha wezbrało współczuciem: chora matka, która nie ma fortepianu! On, który by nie mógł sobie wyobrazić dnia bez muzyki, odczuwał nieznośną mękę za matkę Ankiewicza, o niczym nie mówił tylko o fortepianie dla matki Ankiewicza. On, który nigdy nie miał zapewnionego na parę dni naprzód obiadu i któremu w domu brakło najpotrzebniejszych sprzętów, zaczął w ubożuchnym Krakowie agitować za... składką na fortepian dla matki Ankiewicza, której nikt nie widział na oczy, która może w ogóle nie istniała? Rzecz naturalna, że oczy Sta-

cha zwracały się pytająco, potem z niemym wyrzutem, a wreszcie z rosnącą irytacją w stronę Gabryelskiego. Jak to! ten człowiek ma w swoim składzie ze sto fortepianów, a cierpi, aby matka Ankiewicza nie miała fortepianu? Wówczas mogłem sprawdzić głęboki sens myśli, że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do królestwa niebieskiego. Z golcem zawsze można mieć jakieś złudzenia: dałby, gdyby miał; ale tutaj fakt był jasny, oczywisty: ma na składzie sto fortepianów, a odmawia biednej wdowie jednego. W ewangelicznym pojmowaniu świata, jakie zawsze cechowało Przybyszewskiego, człowiek taki był zgubiony. Gwiazda *Medyceusza* zaczęła blednąć; coraz częściej koło jego nazwiska bzykał epitet „świnia”. Zeszły się z tym i inne tarcia podobnej natury, o których gdzieś opowiadałem, dość że zakończyło się heroiczną sceną, gdy Stach, podrażniony jakimś przycinkiem, w nocy, na Rynku, zrzucił z nóg buty pożyczone od Gabryelskiego. nie chcąc zachować nic od „tego człowieka” i w skarpetkach dumnie powędrował do domu. Gabryelski, jako dobry handlowiec, musiał zrobić bilans sytuacji. Stracił najpiękniejszego Petrofa, dołożył sporo w gotowiźnie i za to wszystko okrzyczano go — Bóg widzi, że niesłusznie — skąpcem, brudasem i świnia. Nie mógł tego strawić, zawrzał zimnym gniewem i powziął decyzję. Świnia to świnia. Jednego dnia, gdy w domu Stacha było pełno i gwaro, zajęchała przed bramę platforma. Wszedł Gabryelski, a za nim czterech tragarzy. Obecni stężeli w oczekiwaniu, nikt nie przywitał się z nim, nikt nie wyrzekł słowa, wszyscy patrzyli w milczeniu: Gabryelski skinął dłonią, czterej tragarze załadowali Petrofa i znikli ze swoim ciężarem. Scena ta miała coś widmowego: „*Maska czerwonej śmierci*” Edgara Poe!

Na drugi dzień w opustoszałym salonie znalazł się inny fortepian, wypożyczony z konkurencyjnego składu przy pomocy „podatku narodowego”, i muzyka znów brzmiała bez

przerwy. Gabryelski, który szczerze uwielbiał Przybyszewskiego, cierpiał męki, żałował swego kroku, chodził nocami pod okna słuchać tej muzyki jak dusza wygnana z raj, ale ambicja nie pozwalała, stosunki nie poprawiły się nigdy.

Dziwny to był człowiek ten Gabryelski. Kiedy się nad nim po latach zastanawiam, nic o nim nie wiem. Coś w nim musiało być niewyżytego, zahamowanego. W ówczesnych naszych stosunkach, które tak dotkliwie zubożały sferę działania każdego człowieka, tak ciasne granice zakreślając możliwościom i energii, pełno tłukło się takich niewyładowanych talentów, wokacyj, może nawet zboczeń, które dziś tak czy owak, znalazłyby swoją drogę, a które wtedy tylko męczyły swego właściciela. On nie umiał się uporządkować z samym sobą. Student filozofii niemieckich uniwersytetów wydał małą broszurę pt. *Czym filozofia jest a czym będzie*, którą zdemaskowano jako dziecinny plagiat z popularnego niemieckiego podręcznika. W życiu lubił wygłaszać paradoksy, kryć histeryczny niemal entuzjazm i chorobliwą nadczułość pod maską zimnego Anglika, epatować oryginalnością. Ubierał się znakomicie, z dyskretnie ekscentryczną elegancją.

Gdy objął po matce ów skład fortepianów, umiał rozwinąć wielki rozmach i talent handlowy, którym jednak ciasne waruneczki Krakowa zakreślały granice. Bądź co bądź zdołał sprawić przewrót w lokalnym handlu, pierwszy forsując czeskie fortepiany w miejsce wyłącznie wpród panujących niemieckich. W kilka lat potem — już po wyjeździe Przybyszewskiego — Gabryelski znalazł nowy przedmiot zapału: pianole, którą wówczas zaczęto rozpowszechniać. Reklamował pianole, sprzedawał pianole, wiskał ludziom na raty pianole, sam grywał całymi nocami na pianoli. I znów było lato, przez szeroko otwarte okna Krzysztoforów co noc płynęła na Rynek krakowski kaskada tonów: to Gabryelski opętańczo, niestrudzenie, rznął na

swojej pianoli. O którejkolwiek godzinie nocy było wyjść na Rynek, zawsze słyszało się tę muzykę, która nie wiadomo czemu, miała coś upiornego. Jednego dnia, nad ramię, nuta się urwała — długa cisza — i rozległ się strzał. W gabinecie znaleziono Gabryelskiego z przestrzeloną czaszką martwego na kanapie.

Przybyszewskiego, jak rzekłem, już dawno w Krakowie nie było. Byłby ocenił tę scenę ze znawstwem smakosza.

„Znaszli ten kraj...”

Oto melodia, która mi się przyplątała mimo woli i która mnie prześladowa od chwili gdy zamierzyłem dalej snuć swoje wspomnienia na marginesie *Moich Współczesnych* Przybyszewskiego. I widzę bardzo wyraźnie taką scenę. Świt, filująca lampa dogasa, okno balkonu otwarte na ogród, z którego wnika chłód poranka i ćwierkanie ptaszków, Stach śpi głęboko w fotelu, cała jego gromadka, z zielonkawymi twarzami, kipi porozkładana gdzie tam któremu padło, a w środku, pod stołem, leży młody medyk Szyszka, muzykalny jak cygan, i rżnie może od godziny na skrzypcach *Znaszli ten kraj* Moniuszki. Gra leżąc z głową wspartą o pustą flaszkę i raz po raz trąca smyczkiem o blat stołu, co oryginalnie rwie na strzępy tę płynną melodię bogacąc ją kaprysem niespodzianek. Obok mnie Ludwik Janikowski, ze swoją genialną trupa czaszką, zanosi się od płaczu siedząc na podłodze. Zdaje się, że popłakujemy wszyscy, ale on szlocha, ryczy... A Szyszka gra i gra aż wreszcie zmęczona ręka grajka wypuściła smyczek, zrobiło się cicho, Janikowski siorbał nosem, i tylko ćwierkanie ptaszków, i chrapanie Stacha...

I ta melodia snuje mi się wciąż w głowie, gdy czytam te wspomnienia Stacha z krakowskich czasów. Szczególna książka! mimo że pisana tak niedawno, ledwie przed kilku laty, robi wrażenie wykopaliska, w którym zachował się dzień wczorajszy niby odcisk muszli w kamieniu. Bo Przybyszewski nigdy nie wyszedł z kręgu pojęć, o które donkiszocił się w swojej młodości; wszystkie przemiany, zdarzenia spłynęły po nim bez śladu; dziś jeszcze, z kart tej książki gotów by mówić o „nagiej duszy”, o „absolucie”, o sztuce wolnej od nakazów społecznych etc. Jeszcze w tych wspomnieniach przeżywa wszystkie swoje *confiteor* i

swoje, przeważnie imaginacyjne wojny z „mydlarzami”. Dzisiejszy czytelnik nie łatwo zrozumiałby urzeczenie, jakie to wszystko mogło wywierać; jeszcze mniej by zrozumiał, gdyby wziął do rąk stary rocznik *Życia* — dziś rzadkość antykwarska — i odczytał w nim wszystkie owe szumne manifesty. Trzeba by to wszystko wymoczyć w spirytusie i podłożyć pod muzykę.

Istotnie, mówić o oddziaływaniu Przybyszewskiego, nie mówiąc o alkoholu, to byłoby tyle, co pisać dzieje Napoleona a nie wspomnieć o wojsku. A już się pojawiali tacy zbyt cnotliwi hagiografowie, którzy pisali, że „czas skończyć z legendą o alkoholizmie Przybyszewskiego”. Mogę mówić o tym swobodnie, ile że sam Przybyszewski w *Moich Współczesnych* pisze o swoim nałogu z zupełną prostotą i poświęca mu ciekawe karty. I mogę mówić tym bezinteresowniej, ile że, co do mnie, jestem człowiekiem, dla którego alkohol, poza jakimś rzadkim duchowym świętem, w życiu nie istnieje. Ale wtedy poznałem jego magię...

Alkohol i muzyka. Muzyka brzmiała w domu Przybyszewskich ciągle. Dagny grała Szumana, Griega, jakieś norweskie melodie ludowe lub we-



Dagny Przybyszewska

spół z Szyszką sonaty skrzypcowe Beethovena. Potem Stach, wciąż z niestrudzoną Szyszką, Bacha. Potem, gdy już „dojrzał”, odpędzał Szyszkę i sam zaczynał grać Szopena. Dziwne czytało się w różnych relacjach sądy o jego grze: jedni pisali o niej poematy, gdy inni traktowali ją jako fuszerkę. Różnica w kącie widzenia: tak jakby poetę, który cudownie mówi wiersze, sądzić z punktu techniki deklamacyjnej. Nam nie przeszkadzały jego niedomagania techniczne; wszystkie przypadkowe fałsze czy brutalności, nieoczekiwane fortissima i wściekle kaprysy rytmiki, wszystko to spływało się razem w jakąś tragiczną pieśń, która duszę wywlekała z człowieka. Może to były wariacje alkoholu na temat Szopena — transkrypcja *Spirytus - Chopin* jak jest *Busoni-Bach*, — ale transkrypcja nieporównana. A do tego sam Stach przy fortepianie! — kto go widział, ten go nie zapomni. Och, czemuż takim nie pokazano go na pierwszej karcie *Moich Współczesnych*, zamiast załzawionego dziadygi, który patrzy na nas z fotografii! Wreszcie, zmęczony, zlany potem, Stach wstawał, osuwał się na fotel i szeptał: „No, Stasinek, teraz graj ty”. I Stasinek (Sierosławski) siadał posłusznie do fortepianu, stawiano przy nim kielich wódki niby szklanę wody przy prelegencie i rznął od ucha, na przemian: „A jak będzie słońce i pogoda”, albo „Staął przed muzyką, syknął talarami”, albo owo „Pod Krakowem ciemny las”, które potem przeniósł Wyspiański w



Stasinek

Współczesnych, zamiast załzawionego dziadygi, który patrzy na nas z fotografii! Wreszcie, zmęczony, zlany potem, Stach wstawał, osuwał się na fotel i szeptał: „No, Stasinek, teraz graj ty”. I Stasinek (Sierosławski) siadał posłusznie do fortepianu, stawiano przy nim kielich wódki niby szklanę wody przy prelegencie i rznął od ucha, na przemian: „A jak będzie słońce i pogoda”, albo „Staął przed muzyką, syknął talarami”, albo owo „Pod Krakowem ciemny las”, które potem przeniósł Wyspiański w

muzykę Chochała. A Stach słuchał, słuchał niesłuchanie intensywnie, nie pozwalając przerwać ani na chwilę, tylko szeptał: „Graj Stasinek, całą noc to samo”. Aż wypocząwszy spędzał Stasinka i rzucał się na instrument i bestwił się jeszcze w polonezie Szopena. Po czym już bez sił odpadał od fortepianu.

To były owe prawdziwe „manifesty”, przy których tamte drukowane w *Życiu* wydawały się mdłe i trochę śmieszne. To było dobre na eksport, dla prowincji, ale nie dla nas, bliskich, którzy mieliśmy to szczęście pić u źródła. Alkohol, stopiony w jeden eliksir z muzyką, był jak gdyby esencją *dionizyjskiego* — wedle terminologii Nietzschego — elementu sztuki Stacha. Nie był to ów dionizos grecki, tłoczony łagodnie z winnego grona, ale ów oszukujący naturę, plącący życiem gwałt na klimacie północy, pędzony, mocą chytrze wydartych samemu szatanowi tajemnic, na kartoflach, na życie, samobójczy, rozpaczliwy. (Nawiasem, pytanie pod adresem filologów: czy Grecy znali wódkę?)

Ach, jakimż śmiechem parskał Stach, gdy mu ktoś w takiej chwili wspominał literaturę! Jakimż urągliwym śmiechem! Jak gardził wszystkim, co było mową intelektu, wszystkim, co miało pretensje do myśli, w owych momentach, w których odbijał jedynie ultrafioletowe jej promienie! Dźwięk słów tylko, dźwięk powtarzany bez ustanku jak fraza muzyczna, słowo podniesione do godności *motta* do picia. Bo Stach nigdy nie pił bez *motta*; każdy dzień, każda godzina — niemal każdy kieliszek — miały swoje motto. Zależnie od tekstu wódka zmieniała swój smak, tak jak w owej beczce, z której Mefisto w auerbachskiej piwnicy toczy rozmaite wino niemieckim studentom. Każdy przyzna, że inaczej pije się na: *les paons blancs*, *les paons nonchalants*, inaczej na: *nie sah ich die Nacht beglänzt*, a inaczej znów na: „oto jest święto zboża, oto święto chleba”, motto, które nawiasem mówiąc, idealnie nadaje się do kieliszka żytniówki... Motto dawało piciu charakter

na przemian mistyczny, filozoficzny, marzący, szyderczy, żartobliwy, irracjonalny, absurdalny, powtarzało się niby refren, skandowało flaszkę na kieliszki niby wiersz na trocheje lub jamby. Bywały *motta* trwałe, bywały okolicznościowe. Ot, na przykład poeta jakiś z plemienia „dekadentów” nadesłał do redakcji wiersz, który się kończył: „spazmem rozwścieczonego satyra wierzgnę”. Przybyszewski nie posiadał się z radości, tak mu się to spodobało (do picia, nie do druku); przez jakiś czas przepijał: „No, Stasinek (czy Fredzinek, czy inny inek, bo Stach z kujawska wszystkie imiona zdrabniał na „inek”), no, Stasinek, wierzgnij spazmem rozwścieczonego satyra”. I śmiał się, śmiał się jak dziecko. To znów inny poeta (którego nie wymienię przez delikatność, bo jeszcze żyje) popełnił wiersz, w którym znajdował się taki kwiatek: „Och, melancholii namiętny wzlot — upaja mnie do szału”. Stach rozkoszował się tym „melancholii namiętnym wzlotem”, wymawiał go z arcykomycznym przewracaniem oczu wychylając kieliszek, to było jego motto. I takimi dwoma „szpruchami” mógł się bawić cały wieczór; i nie umiem tego wytłumaczyć, ale to była jedna z najbardziej interesujących konwersacji, jakie znałem. A kiedy przepił specjalnie do mnie patrząc mi w oczy swymi skośnymi diabelskimi oczami, do prawdy wszystko topniało we mnie z uwielbienia i czułości, miałem uczucie, że mi się otwiera mózg, dusza, serce; że w jego rękach, które byłbym radośnie całował w tej chwili, stoję się człowiekiem. Wiem, że to co mówię traci mistyką, ale bardzo się myślę ci, którzy twierdzą, że jestem niezdolny do pojmowania mistyki. Przeciwnie, bardzo jestem zdolny, za bardzo...

Często *motta*, którego się czepiał rozbawiony Stach, dostarczał Szyszka. Ten Szyszka, to był szczególny chłopak. Suchotnik z kawernami w płucach wielkości pięści i wiedzący o tym, plujący krwią, gorączkujący stale i zapijający tę gorączkę na umór, był jednym z najweselejszych ludzi, kipiał radością życia. Do tego stopnia, że lekarze po-

lecali go jako medyka-pielęgniara bogatym chorym, tak dobrze oddziaływał na nich swoim optymizmem i beztrąską. Czasem jeździł do jakiegoś zamożnego dworu, wracał ze swoją gorączką i z furą anegdot. Pamiętam jedno takie motto, które uczepiło się na długi czas. Szyszka wrócił ze dworu, gdzie pan był sparaliżowany a pani ciężko chora. Szyszka miał dozorować hrabinę, a hrabia, po trosze ramoł, miał przy sobie nieodstępного lokaja Józefa, bez którego nie mógł sobie dać rady w najprostszych sytuacjach. Jednego dnia zrobił się rwetes, cała służba pognęła do pokojów jaśnie pani. Wpada Szyszka i oznajmia: „Panie hrabio, pani hrabina kona”. Na co hrabia z bezradną irytacją: „Topsze! topsze! ale ja się zes....., a Józefa jak nie ma tak nie ma”. Przybyszewski zwariował na punkcie tego: „topsze! topsze!” Przez jakiś czas wszystkie kieliszki wychylało się pod znakiem: „topsze! topsze!” W istocie Szyszka opowiadając wkładał w to z cudzoziemska akcentowane *topsze* (*dobrze*) nieodparty komizm, a sama ta makabryczna historia, odgrywana przez człowieka, który iskrzył się humorem, a który sam nosił śmierć w sobie, miała ten właśnie smak, za którym szalał Przybyszewski.

Przybyszewski miał jakiś perwersyjny pociąg do wszystkiego, co pachniało śmiercią. Pamiętam taki epizod. Kiedy, po rozbiciu się domu, został w mieszkaniu sam, dowiedział się, że wuja jego służącej, nauczyciela ludowego, ciężkiego suchotnika, usuwają ze szpitala, ponieważ „bawił” w nim ponad przepisowy czas. Natychmiast ofiarował się, że go weźmie do siebie, zapewne po trosze z właściwej sobie dobroci, ale bardziej jeszcze upajając się tym, że będzie miał w domu umrzyka. Fantazjował w opowiadaniach na ten temat swoim charakterystycznym wnikliwym szepcetem: „Taki ci wspaniały suchotniczek w ostatnim stadium, takie ci, robaczku, bakcyle latają u mnie po pokoju jak chrząszcze”, powtarzał zachwycony. Ale suchotnik jak suchotnik: na domowym wickie, w przewiewnym pokoju, zrobiło mu się lepiej. Co dzień kazał sobie gotować kurę, w

końcu wyczerpał cierpliwość zawiedzionego Stacha, który go się z trudem pozbył, wyprawiając podleczonego z powrotem na wieś.

Inny epizod. Jednym z najbliższych był Józef Grzybowski, „piękny — mówiąc językiem Stacha — człowiek” (już nie żyje), którego koleje dziwnie się plotły. Ukończył nie wiadomo czemu prawo, którego nie znosił, studiując pokątnie uśmiłowaną geologię. Skończywszy prawo, oddał się wreszcie geologii, której później miał zostać profesorem. Miał cudowny węch do wykrywania nafty, wciąż wzywano go na eksperta, co mu dawało duże zarobki. Był opatrnością finansową Stacha, którego uwielbiał. Ten Grzybowski zakochawszy się w młodej pannie ożenił się, też nie bardzo wiadomo czemu, na złość pannie, z jej ciotką, starszą od niego o jakie lat trzydzieści. Była to zresztą sympatyczna osoba, piła z nami wszystkimi bruderschaft, mówiliśmy jej „wiedźmo”, co przyjmowała do brodu, mimo że w istocie, w chwilach pijaństwa, wносиła lekki zapaszek Łysej Góry. Geolog również skłonny był pić obficie, przy czym kiwał w milczeniu głową nad swoim zwichniętym życiem. Bardziej jeszcze wmawiał w niego desperację Stach, który zawsze posądzał *Józinka* o to, że się powiesi: bał się tego i oczekiwał zarazem. Raz pamiętam scenę, która była niby humorystyczną tawestacją którejś ze scen *Homo sapiens*. W czasie jakiegoś pijaństwa u Stacha, geolog znikł i dłuższy czas go nie było. Zaczęto się za nim rozglądać. Stach chodził niespokojny po pokoju, nie mówił nic, ale wytwarzał nerwowością swoją atmosferę grozy, która się udzieliła wszystkim. Wierzyliśmy niemal, że już się stało: tak silna była sugestia Przybyszewskiego, że wdziliśmy już w kłozecie wiszącego trupa, a nikt nie miał odwagi drzwi otworzyć. Naraz otworzyły się same i mniemany denat wyszedł, zadowolony z siebie, podśpiewując, z kłozetu. Na twarzy Stacha, mimo że kochał tego najpoczciwszego *Józinka*, odbił się wyraźny zawód. Bo jego dusza łaknęła nade wszystko tragedii. Byłby chętnie

zszopenizował tego geologa, tak jak się Niemcy skarżyli że im „szopenizuje” język...

Z takich epizodów snuło się życie Stacha. Może dlatego wspomnienie o nim spłotło się z owym *Znaszli ten kraj*, granym pod stołem przez kochanego Szyszkę. I nie mogę się uwolnić od tej melodii, wciąż mnie prześladowuje. *Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa...*

Dojrzewa... cytryna... w plasterkach...

„Dzieci szatana”

Tego, kto czytał dwa poprzednie rozdziały, kreślone na marginesie autobiografii Przybyszewskiego, mogło uderzyć, że z otoczenia jego wywołuję same nieznane literaturze nazwiska. Bo też w istocie tak było. To była raczej sekta, niż skupienie literackie. Do najbliższych Przybyszewskiego w Krakowie nie należał ani jeden „firmowy” literat, chyba literat *in spe*. Od pierwszej chwili odsunęli się instynktownie od niego nawet ci, którzy go sprowadzili, którzy go witali z entuzjazmem. Odstęczył ich swoją niwelacyjną beztroską o kompanię, w której przebywał, odstęczył ich swoją ironią, swoją niecierpliwością na wszystko, co było w sztuce umiarkowane, letnie, co nie było rozżarzone do białości, rozmodlone, roztańczone tańcem św. Wita. To rozbujanie, podniesienie skali żądań, temperatury, przypomnienie, że sztuka, to nie „obrazki w słońcu”, nie gładkie rymy i tanie obserwacyjki, ale tragiczna gra, którą płaci się życiem, okazało się w sumie płodne i zbawienne, *zdopingowało* cudownie wielu pisarzy: ale mało kto osobiście znosił tę atmosferę. Przybyszewski wspominając te czasy później koloryzuje je *ex post*, rozdaje komplementy, retuszuje rzeczywistość, ale w istocie było inaczej. Pamiętam, jak raz przyszedł do domu i zaczął się śmiać nieutulonym śmiechem, trzymał się po prostu za brzuch od śmiechu. „Co ci, Stachu? — pytano go. — Tadeuszek czytał mi swój dramat”, wykrztusił. Tadeuszek, to był Miciński. Z innymi nie było lepiej. Poza Miriamem, którego czyił trochę na kredyt, i poza Kasprowiczem, dla którego kult jego miał się stać z czasem niecierpliwiący swym brakiem miary i swoim — można by rzec — *masochizmem*, nie uznawał właściwie nikogo, a trzeba dodać, że dotąd żyjąc po-

za krajem, w kołach niemieckich, mało co znał z naszej ówczesnej literatury. Ale temperament jego dał jak wichur na krakowską sadzaweczkę i przewracał reputacje niby dziecinne okręciaki. Miał pasję sam stwarzać nowe. Przez dwa tygodnie np. poszukiwał niemal listami gończymi autora jakiegoś nadesłanego do *Życia* wiersza pt. *Białe łabędzie*, witając w nim wielkiego poetę; zdecydowanie zaś szyderczo lub obojętnie odnosił się do uznanych pisarzy. I jedno trzeba zważyć: Stach, tak łatwo szafujący pochlebstwem, na którego lep brał ludzi, na punkcie sztuki był nieubłagany, drwił, szydził, smagał.

Nie każdy też godził się być zamieszany w gromadkę młokosów, łazików, figur dziwnego nabożeństwa, szyderczych, pozbawionych poczucia hierarchii i form, słowem nas, którzy stanowiliśmy, prawem kaduka, codzienną kompanię Stacha. Toteż odsunęli się prawie wszyscy. Kazimierz Tetmajer, który *Epipsychidion*a, pierwszy utwór Przybyszewskiego drukowany po polsku, poprzedził entuzjastyczną przedmową, cytując czyjeś o kimś powiedzenie: *Messieurs, chapeau bas, c'est un génie*, nawet nie starał się zapoznać z Przybyszewskim. Później, zrażony epileptycznym nabożeństwem, jakie się odprawiało koło Stacha, umieścił w jakimś piśmie satyryczny wiersz, malujący kult Przybyszewskiego pod postacią „Zewsa”. Całego wierszyka nie pamiętam, ale kończył się aluzją do świątyni, w której z ofiar „bóg miał dym, kapłani mieli mięso”!! kończył się zaś ów wierszyk tak: „Cóż pocznę, Greczyn grzeszny, gdy was za rzeźmieszków mam, a wasz Zews nadto śmieszny”, co było jakby oficjalnym wypowiedzeniem wojny. W *Paonie* — warto zaznaczyć — też nie bywał właściwie ani jeden firmowy literat; raczej gromadzili się tam malarze. Czasem pokazał się Lucjan Rydel, ale czuł się tam zawsze niepewnie, a od czasu, gdy po tryumfalnej dla niego premierze *Zaczarowanego koła*, Wyspiański i Przybyszewski naszpikowali go złośliwościami, uciekł i już się więcej nie pokazał. I w tym zaostrzała sprawę wieczna

obecność „bandy”. Mogą sobie artyści mówić w oczy ostre prawdy, ale trudno to znosić w obecności ludzi, którzy wzięli się nie wiadomo skąd, którzy byli niczym, którzy na razie talenty wykazali jedynie w picciu wódki i którzy szyderczym rechem lub ironicznymi spojrzeniami podkreślali złośliwości Mistrza!

Z kogo więc i na jakiej zasadzie rekrutowała się ta „banda”.

Jest scena w *Dzieciach szatana*, w której Gordon parafrazując — może nieświadomie — *Biesów* Dostojewskiego, mówi:

Ten chłopiec, który zamiera w zgniłym pokoju, trawiony chorobą rozpacz, że niechybnie umrzeć musi, i przepełniony żłą fanatyczną nienawiścią ku wszystkiemu, co go zniszczyło, jest mój! Ten drugi, który zbrodnię popełnił i który chciał się ratować miłością, i ja mu ją zniszczyłem, jest mój. Ten filozof, któremu myśl serce wygrzyła, jest mój. Ta kobieta, która nagle kochać zaczyna i wstręt odczuwa do własnej przeszłości, jest moja.

Oto, można powiedzieć, jeżeli nie program, to linia, po której biegły sympatie Przybyszewskiego. Pod tym względem tyrada ta jest bardzo szczera. I jakkolwiek w krakowskim okresie, redaktor *Życia* dość daleki był od anarchicznego burzycielstwa Gordona i jeżeli wśród nas, którzyśmy stanowili jego najbliższe otoczenie, nie było (niestety!) tylu więźniów i złodziei, ile by dusza jego pragnęła, w każdym razie w duchu tej idealnej selekcji kształtowała się — bodaj w imaginacji — gmina Stacha. Jedy-
nym dlań kryterium człowieka był — prawdziwy lub wmówiony — tragiczny stosunek do życia. Stach nie pytał nikogo, co napisał, ani jaką ma rangę w sztuce, w czym może dał dowód głębokiego rozumienia rzeczy. Boć nie ulega wątpliwości, że gdyby istniały jakieś idealne psychometry dla bezpośredniego oznaczenia procentu poezji, artyzmu, miara wypadłaby może inaczej, niż się to dzieje

na giełdzie życia, z konieczności sądzącej artystę wedle realizacji, produkcyjności... Być może, iż właśnie pewna mierność, pewne ograniczenie są warunkiem produkcji, że konieczny jest pewien aliaż, a czyste złoto niezdatne jest do użytku... Stach zresztą kochał ludzi bez talentu, bo wiedział, że tragedia ich jest szczerą, a właśnie tragedia była dla niego wszystkim. Przypomina mi się pewien malarz, który w chwilach szczerości po pijanemu bił głową o podłogę i skarżył się zabawnie: „Boże, Boże, dałeś mi talent, ale mały”. Pociągał Stacha trupi ciąg desperacji, nieszczęścia. Kochał swoich łazików, nie miał natomiast sobie nic do powiedzenia np. z Sienkiewiczem. (Paradne było spotkanie Stacha z Sienkiewiczem w Zakopanem. Sienkiewicz, który lubił po trosze kokietować „młodych”, dowiedziawszy się, że Przybyszewski jest niezdrowy, poszedł do niego pierwszy z wizytą. Stach przyjął go z atencją, ale absolutnie nie wiedział, o czym z nim gadać; zakłopotany chodził w milczeniu po pokoju, w końcu zbliżył się, położył gościowi rękę na ramieniu i rzekł swoim poufnym szeptem: „Panie Henryku, napijmy się wódki”. Jedynie ten, kto pamięta ówczesne stanowisko i fason Sienkiewicza, oceni w całej pełni smak tej anegdoty). Toteż mimo woli młodzież otaczająca Stacha stylizowała soczyście swoje tragedie. Gdyby ktoś mógł mu dać do zrozumienia, że jest suchotnikiem, pijakiem i włamywaczem w jednej osobie, jakżeby go ujął za serce! Nie o legitymację tedy artystyczne mu chodziło; on potrzebował jak Gordon mieć bodaj w imitacji, swoją zgraję — „dzieci szatana”, którą się bawił po trosze i którą on czarował, i bawił wzajem. To był teatr *del'arte*, z którego co jakiś czas wynoszono prawdziwe trupy.

W Polsce nie ma kultu tradycji, mimo żeby się здаwało przeciwnie. Inaczej na pewno odbywałyby się raz do roku, tradycyjna wódka starych przybyszewszczyków, na której spotkaliby się wszyscy, bez względu na koleje, jakimi potoczyły się ich losy. Spotkałbym się tam z Grzy-

małą-Siedleckim i z dobrym Jasiem Kleczyńskim, i z dr Zofią Daszyńską-Golińską, z którą tańczyliśmy szalone galopki, i — jeżeli gdzieś żyje — z niejakim B...kim, z którym brataliśmy się rok cały, nie wiedząc, że się inaczej nazywa i że ma z policją poważne zatargi bynajmniej nie polityczne. Przyszedłby z pewnością — gdyby żył! — chętnie na tę wódkę Perzyński, *Perz*, młodziutki wówczas chłopiec, delikatny, dyskretny, który drukował w *Życiu* pierwsze utwory.

Kogo by jeszcze wspomnieć? A Jaś Kleczyński, czy pamięta jeszcze naszego *preferansa*? Jaś Kleczyński, nazwany nie wiadomo czemu przez Przybyszewskiego „Jasiu-Jasiu”, pocziwy, lubiany przez wszystkich, małomówny, oddający się skrycie namiętności szachów. Pozostał najwierniejszy, gdy dom się rozbił, a Stach został osamotniony. Stach, wśród wszystkich swoich namiętności, nie miał jednej, nie grywał w karty; znał od biedy *preferansa*, i to lichy. Kiedy został sam, zbiedzony, zaszyty w domu, aby nie widywać ludzi, nie mogący sypiać, odwiedzaliśmy go z Jasiem-Jasiem i łupiliśmy z nim całe noce w *preferansa*, ot, aby go rozerwać. Stach znudzony się normalną partią wprowadził taką modyfikację: kto był na rękę, miał prawo powiedzieć: *merde!* — wtedy rzucało się karty i wszyscy płacili do puli. Pula rosła zawrotnie, a Stach za każdym wykrzykiem zaśmiewał się do łez. Różniliśmy w tę idiotyczną grę kilka nocy, zgrywając się na tysiące, płacne oczywiście na księżycu.

Kogoż by jeszcze wspomnieć? „Szczep”, rzeźbiarz, dziś europejski laureat, mieszkał zaś z wstydliwym jak panienka i rumieniącym się muzykiem Kaziem Krzyształowiczem. Ale jedną z najbardziej malowniczych figur był *Stasinek*, istny średniowieczny „uczeń filozofa”, który niańczył dzieci, przepisywał lub tłumaczył rękopisy, chodził po wódkę, czasem w potrzebie umiał chytrze zdobywać Stachowi pieniądze „na dom” i był w ogóle rodza-

jem honorowego marszałka dworu. Zdaje się, że zalecał się po trosze do służącej Helci, kiedy zostawał z nią sam na gospodarstwie, bo raz mały Zenonek wywołał wesołą konsternację zapytując po norwesku matki: „Mamo, czemu Helcia bije wujcia Stasinka?” Stasinek zapisany był na pierwszy semestr sanskrytu, wskutek czego bawiący przejazdem Miriam zamówił u niego tłumaczenie Upaniszad. Czeką na nie dotąd, ale Miriam, jak wiadomo, ma czas...

Młody dziennikarz Konrad R., ciekawy przykład *mi-metyzmu* (czy jak się to nazywa), zawsze reprodukował czyjąś indywidualność, zwykle nie na jego miarę. Będąc niedużego wzrostu i fajtłapą, odstawiał wściekle ataki furii olbrzymiego Stanisławskiego, do złudzenia podobnie i z najlepszą wiarą. Będąc potulnym komparsem, podrabiał demoniczne wybuchy ironii Przybyszewskiego. Najzabawniejsze było to, że upiwszy się, miał ataki megalomanii i „miażdżył” Stacha jego własnymi tyradami pożyczonymi od Falka czy Gordona (miał fenomenalną pamięć) z jego nieodłącznym „hehe”. Stach zaśmiewał się z rozkoszy; nazywało się to, że Konrad ma swój *Herrgottabend*. Powtarzało się to periodycznie, żyły występowały mu na czoło, potem nakrzyczawszy się i natoczywszy piany zasypiał spokojnie w kącie i chrapał bardzo po mieszczańsku. Z owym jakże uprzykrzonym „hehe” łączy się dość zabawna scenka. Jednego wieczora — było to w restauracji Turlin-skiego — Konrad doprowadził swoim „hehe” Natalię Siennicką do takiego zdenerwowania, że krzyknęła: „Jeżeli pan jeszcze raz powie „hehe”, rzucę w pana talerz”. — *Hehe*, zarechotał na to Konrad i w tej samej chwili potrawka z rakowym sosem znalazła się na jego twarzy. Z Siennicką nie było żartów; trafił demon na demona, niczym Gabryelski. A Stachowi oczy zachodziły ze śmiechu, gdy patrzył na te igraszki swoich „dzieci szatana”.

Znamienna dla epoki jest historia małżeństwa tegoż Konrada. Starał się o pewną pannę z kresów, która była

oporna jego zabiegom. Nie wiedząc już, co począć, kropnął do niej namiętny list, przepisany dosłownie z którejś z powieści Przybyszewskiego. Skutek był piorunujący, panna natychmiast padła mu w objęcia i pobrali się.

Kiedy kreśląc te karty wpatrzyłem się w odległą przeszłość, odnalazłem jedno jeszcze wspomnienie: chrzczyny Iwi. Ach, te chrzczyny Iwi, co to było koło nich śmiechu. Kiedy Przybyszewscy przybyli do Krakowa, przywieźli z sobą dwoje dzieci; Zenonek — już trzyletni kawaler — i kilkumiesięczna Iwi, która ten pierwszy okres swego życia spędziła na tułaczce po Europie, tak że nawet nie było czasu jej ochrzcić. Stach, który poza kwestią religijną był wielkim tradycjonalistą — rzecz u *cyganów* częstsza niż by się zdawało — mówił o tych chrzczinach ciągle, zachwycony był, że ma dom, meble — jakże na krótko! — i że będzie mógł godnie dopełnić tego obrządku z kumami, z oblewaniem po polsku, po kujawsku, po chłopsku. Nareszcie nadszedł ten wielki dzień, a po nim wieczór, na który Stach zaprosił, kogo tylko mógł.

Zaprosił... Z tymi zaproszeniami Stacha bywało do prawdy rozmaicie. Tutaj, oczywiście, były poważne; ale zwykle nie brało się ich dosłownie. W chwilach rozlewności zapraszał, zapraszał, po czym na drugi dzień bardzo był zaskoczony, gdy ktoś w oznaczonej porze się zjawił. (Przez jakiś czas w kołach bliskich Stacha, z późniejszego, warszawskiego okresu, weszło w modę przysłowie: *Zajączka jakoś nie ma*. Wzięło się stąd. W czasie jakiegoś przyjacielskiego wieczoru, wkrótce po przybyciu do Warszawy, Stach zaprosił świeżo poznanego literata na drugi dzień do siebie na obiad, „na zajączka”. Ów, jeszcze nie obyty ze Stachem, a znający formy — podobno to był Lorentowicz — ubrał się, jak przystoi, w żakiet i przybył punktualnie. Stach powitał go z pewnym zakłopotaniem; coś mu widocznie świtało w głowie; przez dobrą godzinę nerwowo za-

bawiał gościa jak gdyby oczekując cudu, aż w końcu z nagłą determinacją pochylił się do jego ucha i rzekł: „Zajączka jakoś nie ma, ale pożycz pan rubla, to posłę po wódkę”).

Otóż, faktem jest, że na godzinę przed przybyciem chrzestnych gości w domu Stacha nie było „zajączka” ani śladu. I nie tylko zajączka... A zaproszonych było mnóstwo osób, i to nie tylko codziennych cyganów, ale i dystygowanej sosjety! Stach wyszedł na miasto w nadziei, że coś, gdzieś... Wierna jego gromadka była w owej porze już bardzo wypłukana. Na wódkę może by starczyło, ale nie chrzci się przecież samą wódką... Nawet Stasinek, choć miał w głowie „siła fortelów”, stał bezradny! Naraz, przypadkowo, napatoczył się z wizytą Józefat Nowiński z Warszawy, który wziął świeżo nagrodę na konkursie dramatycznym za swoją *Białą gołąbkę* i który upojony szczęściem, wybierał się przez Kraków do Wiednia, gdzie zamierzał kupić lornetkę i inne sprzęty nieodzowne dla początkującego światowca. Z tym wszystkim zwierzył się niebacznie w kawiarni poprzedniego wieczora... Ujrawszy Józefata Stasinek otaksował go bystrym spojrzeniem i wyciągnął go do sąsiedniego pokoju na konferencję; gdy wyszli, Stasinek zakręcił się, znikł, i niebawem zaczęły się zjawiać kosze, paczki, butelki, mięsiwa... Kiedy nadeszli goście, stół był już pięknie nakryty: takich chrzczin nie powstydzono by się nawet na Kujawach.

Na drugi dzień Józefat Nowiński był nieco zafrasowany; zapytywany o podróż do Wiednia, powiadał, że jeszcze nie wie, o kupnie lornetki już nie było mowy. Cekał przez kilka dni w Krakowie, nie wiadomo na co, wreszcie nie doczekał się i wyjechał. Co gorsza, Stach wyszydził mu i sponiewierał jego *Białą gołąbkę*, która zresztą w teatrze krakowskim zrobiła sumienną klapę. Nic dziwnego, że Nowiński w artykułach swoich nie potraktował Stacha zbyt czule. Ale czemu biedny Józefat niedługo potem sobie w łeb strzelił? Licho go wie. On też był z rzędu

tych, którzy mogliby się skarżyć — jak ów malarz — że Bóg im „dał talent, ale mały”. Jak można zresztą nazywać się Józefat?

Na razie Józefat, fundator-mimo woli, żyje, siedzi w kącie i patrzy cokolwiek oszołomiony, jak w domu Stacha zabawa idzie szeroko. *Apud Polonos nunquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt*, objaśnia go po Sienkiewiczowsku któryś z bandy, lejąc mu zdradliwie szklankę Czuby (tak nazywano ohydny węgierski koniak kupowany w szynczku na rogu, a szczytający się egzotyczną firmą Czuba & Durozier). W istocie ryk był piekielny. Ale niebawem uciszyło się, bo Józef Kotarbiński przetańczywszy z panią domu na nutę *Słońce i pogoda* przystanął koło grajka i zaśpiewał improwizowaną strofkę. Odspiewał mu przetańczywszy z kolei natychmiast geolog Grzybowski, i dosłownie parę godzin ciągnął się, ku niesłychanej radości Stacha, ten taneczny pojedynek na improwizowane krakowiaki. To się nazywa artystyczne poczucie stylu: chrzciny, to chrzciny! Było już dobrze szaro, kiedy Kotarbiński uściadł w fotelu i wśród religijnej ciszy, zaczął, jakby do siebie, mówić strofy Beniowskiego, te najpiękniejsze: *Twój czar nade mną trwa...*

To wszystko brzmi jakby jakieś echo murgerowskiej cyganerii. Boże drogi, co za niewinność! Bo, jak rzekłem, w historii Przybyszewskiego ten pierwszy okres krakowski zajmuje dość odrębne miejsce. To były w jego udręczonym życiu jedyne może chwile pogody — bardzo niepewnej — jedyne chwile jakże nietrwałego spokoju. W patetycznej sonacie tego życia to było jakby *scherzo*. Wszystko, przy zachowaniu jego cech indywidualnych, barwi się tonem żartobliwym, jest mniej tragiczne, mniej ponure, niemal nieważne. Bo i dolę w tej krótkiej chwili w istocie miał lżejszą. W Niemczech paliło mu się już pod nogami. Kiedy Wincenty Lutosławski, pocziwie, ale trochę po doktrynersku, ściągał go do siebie, do Hiszpanii, aby mu „uzdro-

wić duszę”, stwierdza w swoim liście, że pisarz znajduje się „na drodze do rozpacz”. Trudno się dziwić: młodzi pisarze niemieccy, już sławni, przymierali w owym twarzym Berlinie głodem, jak miał tam wyżyć poeta, kapryśny, niepodległy, a raczej podległy wszystkim niebezpiecznym nałogom, który w dodatku obarczył się żoną i dwójkiem dzieci! Zarobić trudno, pożyczyć wśród obcych też nie łatwo. Przy tym tak obco, w Berlinie czy w Skandynawii, tak obco dla tego rozlewnego Kujawiaka!

Naraz, kiedy dosłownie nie wie co z sobą począć, dostaje listy, namawiające go do Krakowa. Chwyta się tej myśli. Jedzie z Norwegii jak w upojeniu. „Całe szczęście (pisze w swoich *Wspomnieniach*), że na pieniądze, które wiozłem do Polski, miałem czek na Wiedeń, inaczej bym był bez jednego centa przyjechał do Krakowa; ten czek mnie uratował”. Spyta ktoś, jak można w wagonie, w drodze, nie zatrzymując się, wydać pieniądze: Przybyszewski i ten sekret posiadał! A skąd Stachowi te pieniądze, te чеки na Wiedeń? Stąd, skąd i wielu innym Stanisławom: Paderewski, opatrnościowy Paderewski!

Rozkoszne są te wyznania Przybyszewskiego, świadczące jak mało on chodził po ziemi. Ten redaktor *Gazety Robotniczej* powiada, iż „był przekonany, że w Galicji tak samo Niemcy Polaków dławią jak w Prusiech”, bał się adresować po polsku listu do Krakowa, bo był przekonany, że list taki zaginie. „Byłem jak oszołomiony, gdy wszędzie na ogół słyszał tylko język polski — tragarze, urzędnicy, kelnerzy”. Ale nie tylko język polski upajał Stacha; czekały go inne niespodzianki. „Gnany przemożną tęsknotą, jechałem do Polski, ale przez głowę mi nie przechodziło, żebym miał kiedykolwiek jaką rolę w Polsce odegrać. Byłem na to przysposobiony, że pies, kot się o mnie nie zatroszczy, że będzie tak, jak było w Berlinie: małe kółko artystów, żyjące całkiem poza obrębem społeczeństwa”... Tymczasem... to, co Stacha zaraz na wstępie

spotkało, przywodzi mu na myśl scenę z *Rewizora* z *Petersburga*. Musiało to wrażenie być wiernie takie, bo kilka razy w tych wspomnieniach, chcąc określić swoją sytuację, powraca do *Rewizora*. Odczuwał to — powiada — „aż do przykrości, aż do zawstydyzenia”:

„To przykre wrażenie potęgowało się w ciągu całego wieczoru: załedwie włożyłem papierosa do ust, już znalazło się jakby na wyścigi kilka zapalek; nie zdążyłem jeszcze zawołać na kelnera, a już zjawiał się z całą tacą wódek i zakąsek; — zapytałem, gdzie mogę mój czek zrealizować, a w tej chwili wypłacono mi całą zawartość mego czeku i to w samych pięcioguldenówkach, aby suma po-
kazniej wyglądała...”

Czy to nie jest wzruszające?

Ktoś mu znajduje mieszkanie, ktoś mu je mebluje, najbardziej utalentowani malarze spieszą mu zdobić ściany; kiedy nie ma grosza w domu, ktoś wtyka kucharce parę guldenów na obiad. Wciąż nowi ludzie, nowe fizjonomie, a wszystko kręci się koło Stacha, wszystko pije jego słowa. Kraków był jak stara zasuszona wdowa, której spadł nagle z nieba młody czarujący amant: Kraków oszalał! Przybyszewski wspominając te czasy, pisze o staczanych walkach. Ale co to były za walki? z kim? Jedynie literaci boczyli się na niego, ale ci jego osławieni „mydlarze” ani trochę; gdyby chciał, mógł być chodząc z wieczoru na wieczór, z rautu na raut; mydlarze, a zwłaszcza mydlarki, aż drżą do tego, aby oglądać tego osławionego truciciela dusz. A jeżeli nie było walki, to dlatego, że nie było armii nieprzyjacielskiej, ani twierdzy; nie było czego zdobywać. Stary hetman krytyki, Stanisław Tarnowski, był już dość ośmieszony. Czas drukował *Anioła śmierci*, odmłodził się na gwałt. Teatr Pawlikowskiego był dla młodych, dom Sewera Maciejowskiego, najżywsze centrum artystyczne, zawojowany był przez młodych, co prawda... mało młodych..

byszewskiego lżejsza, tak samo i wyteżenie jego siły twórczej. Żyje ze swego bogatego wówczas kapitału; przebija swe walory na polską monetę; rozmnienia je po trosze na drobne... Upaja się swymi prymicjami polskiego języka i wypoczywa, bawi się, śmieje się swoim zawsze cokolwiek niepokojącym śmiechem. Los tego tragicznego i tragedję niosącego człowieka, jakby przycupnął na chwilę.

Kiedy sobie wspominam ówczesne sceny krakowskie, nawet to, co tak patetyczną nutą brzmi w innych jego momentach, tu barwi się groteską. Na przykład porywy religijne tego „satanisty”, którego młodość kołysała się hymnem *Święty Boże*. Pamiętam taką scenę. Powrót do domu ze Stachem, którego zawsze odprowadzało się gromadnie, miał swój ustalony porządek. Wstępowało się po drodze gdzie się tylko dało. Ostatni etap to był mały szyncelek przy ulicy Karmelickiej, gdzie nad ladą widniał napis, jakże charakterystyczny dla ubożuchnego Krakowa: „Po godzinie 11 potrawy i napoje o 1 centa droższe”. Istotnie na jajku na twardo i kieliszku wódki było to podróżnie o 33 proc., bardzo poważne! Stamtąd już prosto do domu, nie było już nic: droga wiodła pod cudownym ołtarzem kościoła na *Piasku*. Jednego dnia Przybyszewski, rozebrany skrucą, zatrzymał się przed ołtarzem, przyklęknął i długo się modlił. Po czym, jeszcze na klęczkach, wyjął papierosnicę i już gotował się zapalić papierosa od lampki płonącej przed obrazem, kiedy Godziemba Wysocki, *unus defensor*, któremu aż dech zaparło, chwycił go za rękę karcąc go słowami: „Cóż ty, Stachu, żyd jesteś, poganin?”

Druga historia przypomina mi ową spowiedź *biednego Leliana* — Verlaine’a — tak zabawnie opisaną przez Anatola France. Przyjechał mianowicie do Krakowa osiemdziesięcioletni blisko, ale bardzo czerstwy ksiądz z prowincji i zachodził wieczorami do kawiarni Szmida (lokal

w rodzaju dawnej warszawskiej Udziałowej), gdzie koczowała cyganeria. Pokazywano go sobie i mówiono o jego wieku podziwiając żwawość staruszka. Poza tym był to zwykły sobie człeczyna, lubiący się zabawić przy kieliszku. Przybyszewskiemu ten osiemdziesięcioletni kapłan uderzył na imaginację: ujrawszy przy jego stoliku kogoś znajomego, przysiadł się i poprosił, aby go przedstawić księdzu, co staruszek przyjął obojętnie. Ale Przybyszewski nachylił się do księdza i począł mówić swoim wnikliwym szeptem: „Proszę ojca, dla religii katolickiej mam taką głęboką cześć, ja, człowiek występny” etc. Ksiądz, który zupełnie nie wiedział co za jegomość przysiadł się do stolika (a choćby i wiedział, nic by mu to nie powiedziało), odburknął: „A dajże mi acan spokój, idźże opowiadać takie rzeczy swemu spowiednikowi.” — „A co by ojciec powiedział, gdybym się pochylił z całą pokorą do nóg, uklęknął i poprosił tu zaraz o tę najświętszą katolicką spowiedź...” I gotował się klękać. Tego już księdzu było za dużo: „A idźże pan do stu diabłów — huknął pięścią w stół — widzicie bałwana, człowiek spokojnie kieliszka wódki wypić w tym Krakowie nie może. Płacić!”

Takim pasmem nieustających anegdot płynęło to życie. Ale czuć było, że tak być wiecznie nie może. Było to życie jakby nierealne, jakby wyzwolone spod praw ciężenia, prawa te musiały odzyskać swą wagę. I sam Stach nie mógł wytrwać tak długo; dusza jego łaknęła dramatu, łaknęła nieszczęścia: znalazła go też do sytości. Ten pobyt w Krakowie pozostał w jego życiu epizodem, epizodem dość osobliwym, któremu on sam, po latach trzydziestu, przygląda się we wspomnieniu z niejakim zdziwieniem.

Ostatnich podrygów tego krakowskiego poematu nie byłem świadkiem. Po piekielnej *bowli* (zimny poncz) urządzonej na cześć jakiegoś Kujawiaka, który przez jeden dzień będąc przejazdem w Krakowie zapoznał się ze Stachem — przy czym nikt nigdy nie dowiedział się jak on się nazywa, Kujawiak i tyle — przeleżałem parę

godzin w śniegu, przechorowałem potem dwa miesiące. Kiedy pierwszy raz z resztkami gorączki wstałem z łóżka i powlokłem się do domu Przybyszewskich, zastałem drzwi zamknięte, szybę wybitą, szedł jakiś nieuchwytny powiew dramatu i ruiny. I tak było w istocie. Skończyło się *scherzo*, jedyne bodaj jakie było w życiu biednego Stacha. I mała Iwi, nasza chrzestna córeczka, poszła do obcych i już tam została. I na to się zdało chrzcic ją tak po polsku?...

Każdy się domyśli z górnej metafory tytułu, że mowa o kawiarniach. Raz po raz powtarzało się w tych wspominkach słowo „kawiarnia”. Słowo niby pospolite, a jednak wymaga historycznego komentarza. Są oczywiście kawiarnie i dziś, jest ich coraz więcej i pełno w nich ludzi. Interesy, randki, muzyka, dancing, dziewczynki, życie, ruch. Otóż, gdyby ktoś dzisiejszymi oczyma mógł ujrzyć dawną kawiarnię krakowską, byłby przerażony. Klasztor. Sami mężczyźni. Kobiety nie chodziły do kawiarni. Mężczyźni tonący w plikach gazet. Pożeracze gazet, którzy gromadzili koło siebie sterty drukowanego papieru, siadali na nich, strzegli ich zazdrośnie, gdy inni czekali godzinami na swoją kolej. Polskie, niemieckie, francuskie, angielskie, dzienniki, tygodniki... Czego oni szukali w tej bibule? Oszukiwali niedostatek żywego życia. Kibicowali. Całemu światu. Życie przeciętnego krakowianina było wiecznym kibicowaniem.

To byli samotnicy. Ale tu i ówdzie znowuż inny obraz. Grupa ludzi zapalających się, zagadanych, rozwrzeszczanych. Padają wielkie słowa. Ibsen, Nietzsche, Stirner, Dostojewski, Hamsun, Spinoza, niżej ani przystęp. Impresjonizm, estopsychologia. To były szkoły dialektyki, niczym ateńskie.



Pożeracz gazet (rys. K. Sichulski,
z *Liberum Veto*)

Myślałby kto, że to sami fachowcy, filozofowie, literaci? Gdzież tam, połowa z nich to byli urzędnicy, którym nikt za to wszystko grosza nie dał. Sztuka dla sztuki.

To władztwo dialektyki miało głębokie przyczyny. Tak jak dziś jesteśmy w życiu bombardowani faktami, zdarzeniami, sensacją, tak w przedwojennym Krakowie była przerażająca niedokrewność faktu. To, co się działo, było drobne; to, co większe, było daleko. Jedyny możliwy ruch był w świecie wyobraźni. Żył się abstrakcją. Walczono o „światopoglądy”, bez innych konsekwencji prócz papierowych. Świat fikcji. Kłócono się o „nadczłowieka” jak dziś o Brześć. Prawda czy kłamstwo? *Dzika kaczką*. Czy silny człowiek ma obowiązek liczyć się z etyką? *Borkman*. W ogóle problemy. Na tym tle można zrozumieć znaczenie teatru Pawlikowskiego. Wypiekał chlebuś dialektyki na cały tydzień.

Dialektyka! Boska sztuka z Grecji rodem! Kiedy czytałem *Erystykę* Schopenhauera, gdzie znajdują się skatalogowane wszystkie chwytły mniej lub więcej nielojalnej dyskusji, mające na celu pognębienie przeciwnika bez względu na rację, byłem oczarowany, odnajdywałem się w jakże znajomym świecie! Mimo wszystko to była szkoła nie do pogardzenia. Dziś, przy pośpiechu życia, przy powszechnym pragmatyzmie, który nie doznaje potrzeby pozautilitarnego wartościowania zjawisk, niezrozumiałą wyda się owa pasja bezinteresownego, oderwanego dociekania „prawdy”, *Ding an sich*, to oglądanie w najrozmaitszych oświeceniach fikcyjnej rzeczywistości. Ale, jako ćwiczenie myśli, miało to bezwarunkowo swoją wartość. A przy tym — rzecz w ówczesnym Krakowie niemałej wagi — rozkosze te były gratis.

Stolik kawiarniany miał swoich herosów. O ile większość meła językiem, dysputując nieraz zawzięcie o piarszu, którego żaden ze spierających się nie czytał, byli tacy, którzy czytali i chłonęli wszystko. Za wszystkich. Stud-

nie erudycji. Ludzie o zdumiewającym obszarze wykształcenia, zużywanego jedynie na terenie kawiarni.

Nieraz zastanawiałem się nad rolą *improduktywów*, o wiele donioślejszą niżby się zdawało. To są roznosiciele pyłków inteligencji. Za innych chłoną, za innych trawią myśli, pomagają do ich krążenia. Czytają często za tych, którzy... piszą. Bo pisarze na ogół czytają znacznie mniej niż się przypuszcza, instynktownie bronią się przed nadmiarem druku. Pisać i czytać — to może za dużo! Owi rzekomi improduktywi — to są nieznani wychowawcy; gdyby można było na idealnej wadze ważyć takie rzeczy, wpływ niejednego z nich okazałby się może większy od wpływu jakiego znanego producenta książek.

W ogóle z tym artyzmem, to nie wiadomo jak jest. Miary, które się stosuje, są raczej utylitarne. Na przykład dar opowiadania, a dar pisania. Czy pierwszy gorszy jest od drugiego? Tyle, że ulotny, że ograniczony na mniejszą ilość odbiorców. I ten, co wyładowuje się bezpośrednio, idąc za swoim powołaniem zmarnuje życie na gawędach, wygłupianiach, ma szansę zostać pieczeniarkiem i wykolejenciem, gdy ten, co pisze, dojdzie do glorii i dochodów. Jestem przekonany, że gdyby istniał jaki przyrząd do bezpośredniego oznaczania stopnia artyzmu, klasyfikacja wypadłaby bardzo inaczej od oficjalnej. Wspominałem w jednym z poprzednich felietonów o Władysławie Michałowskim, którego nazwałem *artystą bez teki*; i oto, poruszony moim wspomnieniem, pisze do mnie jeden z tych, co go znali najbliżej:

„...był, zdaniem moim, jednym z największych aktorów-filozofów i nie tylko odtwórcą ale twórcą postaci, które nigdy nie żyjąc w świecie, żyły i żyją między nami... Gdyby ktoś rozmowy i powiedzenia tych postaci utrwalił pismem, można by z tego czerpać w życiu w chwilach złych i dobrych jak z Fausta”...

Tak mówi bardzo inteligentny człowiek o tym zmiar-

ninie i staroście galicyjskim, który nic w ogóle nie pisał i całe życie przebawił się bańkami mydłanymi dowcipu i fantazji. „Na dwa dni przed śmiercią, będąc już właściwie umierający (czytam w tym samym liście), udawał Pawła Popiela, jakby Paweł Popiel mówił o Aleksandrze Skrzyńskim i jego rządzie, wtedy właśnie ukonstytuowanym”. Też Jowialski, ale jaki!

To tylko nawiasem. Wróćmy do kawiarni. Otóż można zrozumieć, że wówczas — dziś wydaje się to nieco egzotyczne, a nieśmiertelny Franc Fischer jest zabytkiem własnie z owych epok — były umysłowości wyzywające się w ten sposób; inteligencje zarazem bardzo czynne i bardzo leniwe, które podnieca kontakt z audytorium, zapładnia atmosfera dysputy, paradoksu. Nie docenia się dziś tych ludzi. Grecy byli w tym szersi, mieli swój typ filozofów ulicznych, skompromitowany w sofistach, ubóstwiony w Sokratesie. Zawsze, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę o biednym Ludwiku Janikowskim, któremu tyle zawdzięczam, tak znanym później w bohemie wiedeńskiej, przyjacielu Altenberga, Krausa, opisanym zjadliwie w paszkwiłowej powieści pod tytułem *Ezechiel der Zugereiste*. Cóż to był za wspaniały płomień inteligencji!

Ach, te dysputy krakowskie! Dziś trudno sobie wyobrazić coś podobnego z powodu obecności kobiet. Nie zniosłyby tego. Czytałem gdzieś o procesie rozwodowym w Ameryce, w którym żona zażądała rozwodu z powodu znęcania się męża. Jako przykład okrucieństwa podała, że sprowadzał do domu przyjaciół i po kilka godzin rozmawiali o Kancie. Sąd uwzględnił motyw i udzielił rozwodu. Z tego punktu widzenia niejednen bywalec kawiarni krakowskich mógłby być oskarżony o sadyzm...

Godziny schodziły na takich dysputach. „Wisielka płynie wolno, ma czas, robaczku, ma czas”, mawiał Stach Przybyszewski. Istotnie, czego jak czego, ale czasu było w Krakowie dość. Kiedy zamykano jedną kawiarnię, szło

się do drugiej; w tym sennym mieście kilka kawiarni było otwartych do trzeciej rano! Bez muzyki, broń Boże: tym krakowski wyjadacz kawiarniany gardził: tylko gazety i gadanie. Można tam było dostać wódki, szynki, jajka, więc po co w ogóle wychodzić? Ale trzecia rano wybiła jak nic, a tu jeszcze nie doszło się do konkluzji w najważniejszych sprawach ducha! Na szczęście i wtedy było gdzie się schronić; była kawiarnia, której nie zamykano nigdy, otwarta bez przerwy dniem i nocą przez trzydzieści lat istnienia: „Rosenstock” (*Rosenkreutzer*, jak go nazywał Przybyszewski), na rogu ulicy Lubicz. Była to najbardziej malownicza knajpa jaką znałem; ponieważ, począwszy od trzeciej rano była jedyną, spotykały się tam wszystkie stany. Złota młodzież wprost z balu we frakach, kelner z innej kawiarni, który *po fajerancie* zachodził jako gość na partyjkę bilardu. Tupot nóg dorożkarzy wstępujących na rozgrzewkę i szwargot oficerów austriackich. A wśród tego gwaru, zaduchu, w kącie, nic nie widząc, nic nie słysząc, tokuje dwóch młodzieńców, wydzierając sobie słowa, miażdżąc się argumentami, nie mogąc się doczekać chwili gdy przeciwnik zrobi pauzę dla nabrania oddechu. Ci z pewnością przegadają tak do ósmej rano, po czym będą jeszcze do południa obchodzić planacje, upici jednym z najsilniejszych narkotyków — gadaniem.

A kelnerzy kawiarniani! Raz ujrzałem klepsydrę, gdzie pod imieniem i nazwiskiem, widniała taka godność: *Były kursor związku kelnerów*. Nie, to już za wiele melancholii: kelner, związek kelnerów i kursor tego związku, i do tego *były*, i do tego umarli. Stałem długo przed tą klepsydrą w pustej ulicy krakowskiej, w błoto i w deszcz, niczym Hamlet nad czaszką Yoricka.

Potem przybył miastu jeszcze jeden nocny lokal: dworzec kolejowy. Dawniej zamknięty na parę nocnych godzin, od czasu „blitzów” otwarty był całą noc. Tam —



Sztuka a życie: p. Sulima w roli
Racheli z *Wesela*

wali nad ranem wypędzeni skądinąd cyganie. Pamiętam, jak raz malarza Stasia C., zalanego porządnie, opanowała uparta myśl, że wszyscy, którzy tam czekają na ranne pociagi, przyszli pić, tylko „kuferki hycle dla niepoznaki pobrały”, powtarzał z podziwem dla ich pijackiej chytrłości. Tenże Staś C. rzucił się na brodatego portiera Czecha, który nosowym głosem wykrzykiwał swoje „Schnellzug nach Dzeditz, Oderberg, Prerau, Lundenburg, Wiece-en”, i wpił się namiętnie w jego wargi krzycząc: „Usta mi twoje daj, chcę kąsać twoje usta!” Ale niech nikt nie przypuszcza nic złego, to była tylko taka fantazja artysty. Ten cygan nad cyganami, biedny jak mysz kościelna, ożenił się później z ekscentryczną hrabianką: była to już epoka *Balonika* i pod tym znakiem był też początek ów mariaż. Żyli z sobą wcale dobrze, ale można było umrzeć ze śmiechu, słysząc co za historii haftuje Staś na temat tego małżeństwa; jak ona nim pomiata, jak go maltretuje, jak mu wymawia łaskę, którą mu zrobiła. „Rano myję zęby kalodon-



Sztuka a życie: Rachela autentyczna w kawiarni

tem, a ona wydiera mi tubkę i wyrzuca przez okno: ty dziadu jeden, woła, czyś ty wiedział przed tym co to kałodont?" etc. Tak potrafił snuć godziny całe, kiedy się urzynał i płakał przy tym nad sobą rzewnymi łzami. Czyż kawiarnia, w której występowali tacy komicy nie była atrakcją?

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zaczęła się do kawiarni inwazja kobiet. Zdaje mi się, że to było w *Secesji* (róg Rynku i św. Anny), z jej tandetnym szykiem, muzyczką i w ogóle wiedeńskim stylem. Tam zaczęły chodzić rodzi-ny i w ogóle damy. Natomiast stara kawiarnia Sauera (gdzie jeszcze królowa Jadwiga miewała randki z Wilhelmem, ale wtedy nie było tam kawiarni, tylko dom Gniewoszków), na przeciwległym rogu Rynku, wciąż była męska. Aby iść umiarkowanie z duchem czasu, Sauer

wprowadził pokoi, gdzie mężczyzna mógł pojawić się tylko o tyle, o ile towarzyszył damie. Koniec temu nonsensowi położył jakiś gość, który wszedł sam i zażądał herbaty. Przepraszono go, że nie wolno go obsłużyć, o ile jest bez damy. „A, tak?”, odpowiedział i wyszedł. Za chwilę wrócił z damą z rogu, posadził ją naprzeciw siebie i rzekł spokojnie do oślupiałego kelnera: „Proszę o herbatę”.

Z tych kawiarni najruchliwszą i przez długi czas najbardziej „literacką” był Schmidt na rogu Szewskiej i plan-tacyj. Było tam nieprawdopodobnie brudno, bo właściciel, jako radny miejski, nie lękał się żadnych przepisów i in-spekcyj. Kiedy mu ktoś zwracał przyjacielską uwagę, że jednak warto by oddzielić kuchnię od klozetu i wprowadzić pewne elementarne ulepszenia, odpowiadał spokojnie: „Pełniej nie będzie” pokazując gestem salę, w której w obłokach dymu istotnie była głowa przy głowie.

Potem *Paon*, o którym mówiłem już gdzie indziej. Zdziwi może kogo, że w ogólnej sali jest zama-lowane płótno, a w *Paonie* ściany są puste. Bo właśnie *Paon* był ucieczką od tego ogólnego płótna, którego demo-kratycznej pstrokacizny nie mógł znieść czciciel hierarchii w sztuce, Jan Stanisławski. W *Paonie* były tylko bloki z papierem rysunkowym, pastele i węgle pod ręką. Często nad ranem zaczynał tam robić swoje portrety Wyspiański. Tam pamiętam heroiczną scenę, kiedy Przybyszewski i Kaspro-wicz spotkali się pierwszy raz (tak to przynajmniej przedstawiał Przybyszewski, troszczący się w tym momen-cie o wszystko raczej niż o ścisłość historyczną), od czasu jak Jaś pasał gęsi w rodzinnym Szymborzu o miedzę od Łojewa, ojczyzny Stacha. Upili się oczywiście obaj jak nieboskie stworzenia; nie wiedząc już co robić z wzajem-nej czułości, zamienili kamizelki jak bohaterowie Homera zbroje. Stach miał berlińską kamizelkę brązową ze zło-tymi guzikami na dwa rzędy, z której był bardzo dumny, ale oddał ją bez wahania. Kaspro-wicz chciał wymienić i

pugilaresy, ledwo go przyjaciele powstrzymali, bo Kaspro-
wicz. jadąc do Warszawy na odsłonięcie pomnika Mickie-
wicza, pugilares miał spęczniały banknotami, a nasz Stach,
Boże zmiłuj się... Ale na jedno wyszło by Jasiowi, bo i tak
wszystko w Warszawie przepił.

Czasem zaglądał do Krakowa i do *Paonu* Miriam,
wytworny smakosz, który kunsztownie skomponowaną bie-
siadę zwykł był kończyć kieliszeczką *crème de Mocca*.
Pamiętam scenę jak Stach dawał restauratorowi Turliń-
skiemu skrócony kurs literatury polskiej. „Uważasz, ro-
baczku, najsampierw idzie Jaś, taki wielki magnat polskie-
go słowa, taki sobie biedniuchny Syn ziemi, idzie sobie ta-
kim grzmiącym krokiem do nieśmiertelności. Uważasz ro-
baczku: Jaś. No, Kasprowicz. — A, pan Kasprowicz,
znam, znam, odpowiadał życzliwie *Turul*, pamiętny, że w
czasie przejazdu Kasprowicza pękło w *Paonie* ze dwa-
dzieścia butelek szampana. — A drugi, uważasz, robaczku,
taki wytworny książę kultury europejskiej, mag wiedzący
wszystkie tajemnice, ten co najsztubtelniejsze włókna... No,
Miriam!... (Barania mina Turlińskiego zdradzała wy-
rażnie, że ani w ząb nie wie, o kim mowa). No, Miriam,
ten co najsztubtelniejsze włókna duszy... (Ta sama mina
restauratora). I było by się tak ciągnęło długo, aż wreszcie
znawca ludzi i napojów Stasinek, zniecierpliwiony tym
nieporozumieniem wynikłym jedynie z użycia niewłaściwe-
go języka, rzucił tylko: „No, *Turul*, likier kawowy“...
Oblicze Turlińskiego rozjaśniło się natychmiast *wiedzą-
cym* błyskiem: „A, pan Przesmycki, znam, znam, oczy-
wiście“... Bo Zenon Przesmycki był mu doskonale znany,
ale nie jako mag, tylko jako smakosz.

Pocziwy Turliński, a jednak i on uległ czarowi at-
mosfery! Kiedym go spotkał „na wygnaniu“, we Lwowie,
omal nie płakał wspominając krakowskie czasy. Wówczas
Turliński prowadził we Lwowie kawiarnię *Sztuka*, niby
to w duchu krakowskich tradycji i robił w niej dziwne

cuda. Półwieszał na ścianach rysunki i pisma, a po
godzinie muzyczka grała pianissimo, światła gasły ustępu-
jąc miejsca czerwonemu lampkom, robiła się cisza i to się
nazywało „nastroj“. Myślałem, że pękne ze śmiechu, kie-
dym to ujrzał. I sam Turliński czuł różnicę... Toż samo
kelner jego Jan, dla którego *bruderschaft* wypity z Przyby-
szewskim u Rozenstocka stał się głębokim wstrząsem psy-
chicznym i przeanielił go w jakąś półfantastyczną postać.
Tajemnicze są czary Sztuki!

Po rozbiciu się Paonu rój cyganerii przycupnął u tak zwanego Bodegi. Był to pierwotnie handel win południowych, w lokalu jak na Kraków dość egzotycznym, gdzie zamiast stolików były beczki i gdzie szynkowano na czczo Marsalę, Taragonę i Xeres. Ta nowość się nie przyjęła, Bodega zbankrutowała; kupił ją jakiś Czech, aby Marsalę zastąpić piwem, a Xeres kielbaskami z chrzanem, o wiele lepiej udającymi się w naszym klimacie. Podawano tam i cienkusz austriacki w osobliwym szklanym naczyniu z kurkiem, nazywanym przez cyganerię *hegarem*. „Obniżyć, obniżyć krtań“, takie było tam zagadkowe hasło powtarzane przez obecnych chórem, w chwili gdy jeden z nich wypróżniał spory puchar wódki. W Bodedze królował Kasper (Żelechowski), malarz popularny dla swoich fenomenalnych talentów mima i komika. Miał ogromny repertuar komponowanych przez siebie numerów: dziś żyłby z tego jak książę w jakim *Quiproquo*, wówczas dopłacał życiowo do tego talentu. Wymowny przyczynek do tego, co wprzód mówiłem na temat produktywności i nieproduktywności. Talenty jego były dla Kaspra zgubą; niezmiernie towarzyski, najlepiej wyżywał się w knajpie; potrafił po parę dni nie sypiać w domu, wobec czego budziła wesołość wisząca u niego w mieszkaniu wielka karta z napisem: *Dom to wszystko*. Otóż, aforyzm ten miał wyrażać, że to, co Kasper daje żonie na „dom“, obejmuje już *wszystko*, i żeby mu poza tym nie suszyła głowy.

Nieodłącznym przyjacielem Kaspra był przygłuchy malarz Stroynowski, zawsze poważny, nawet wtedy kiedy, pijany w sztok, w lokalu z „damską kapelą“ Benzaka, ścigał na ziemię obrus z całym nakryciem, koledze zaś, który go chciał powstrzymać, odpowiadał spokojnie i zwol-

na: „Nie przeszkadzaj, bo pyski zbiję; nie jestem dziecko, wiem co robię“; po czym najpoważniej kończył, wśród przeraźliwego brzęku talerzy, dzieło zniszczenia.

Bądź co bądź po dytyrambie Paonu wszystko to zdawało się ubogie i szare. Po trosze młodzi malarze uciekali na wieś do Bronowic, gdzie od kilku lat siedział, wżeniony w „króla Piasta“, Włodzimierz Tetmajer. W dzień malowali, wieczorami zbierali się u Włódzia lub w karczmie na „kurdesze“; bywało tam wesoło. Z tego wynikało później małżeństwo Rydla i jego literackie konsekwencje.

Ale już tworzył się nowy ośrodek życia w cukierce, która później miała się stać bardzo głośna, w *Cukierni lwowskiej* Michalika przy ulicy Floriańskiej l. 45. Kim

był jej założyciel Jan Apolinary Michalik, o tym objaśnia monografia cukierni, której autor podpisał się skromnie Zenon. Trzeba by z kolei objaśnić w kilku słowach, kto jest Zenon. Każdy krakowianin znał malowniczy zaułek ulicy Pijarskiej, gdzie w parterowym oknie dość niepoką-



Zenon (rys. K. Sichulski)

nego domu stale widniała karta: *Potrzeba kilku dziewcząt zaraz*. To był istniejący do dziś prastary zakład litograficzny Zenona Pruszyńskiego, zarazem uczonego numizmatyka i zbieracza. Litografia Pruszyńskiego była przez wiele lat żywym ośrodkiem, zwłaszcza że jej właściciel, entuzjasta sztuki, szedł na rękę wszelkim poczynaniom artystów. Stamtąd wychodziły *Teka Melpomeny*, *Chochół*, *Liberum veto*; tam odbijały się (gratis) słynne „zaproszenia“ *Zielo-*

niego *Batonika*. Do nie było większego patrioty krakowskiego kabaretu nad *Zenona*, który do dziś, przez dwadzieścia pięć lat, przychodzi co dzień do *Michalika* na kawę i siada dla tradycji przy stoliku „malarskim”, obchodząc po kolei sumiennie wszystkie dziesięciolecia, piętnastolecia etc.

Książka *Zenona*, jak przystało na dzieło erudyty, roi się od błędów i nieścisłości; mimo to zawiera szereg cennych szczegółów o człowieku, którego nazwisko miało stać się godłem. Dowiadujemy się stamtąd, że Jan Apolinary Michalik był cukiernikiem z Bożej łaski. Kiedy w drugiej klasie gimnazjalnej dostał „dwóje”, ojciec za karę i dla postrachu oddał go na wakacje do znanej cukierni *Bienieckiego* we Lwowie. Po wakacjach przyszedł go odebrać; ale mały Jaś rzucił mu się do nóg z prośbą, aby go zostawił w cukierni; tak mu się spodobał ten zawód. Po latach pan Jan przeniósł się na swoje, aby założyć w Krakowie *cukiernię lwowską*. Rozwinął w swoim fachu wielką pomysłowość. Wpadł na ideę nazywania ciastek po imieniu (*Carmen, Flirt, Paderewski* itp.) i raz po raz wypuszczał nowe kreacje reklamując je wszelkimi sposobami. Wprowadził afisz na ciastko! Gorszyło to wielce poważnych kupców krakowskich gardzących reklamą: elegancją starej firmy było nie mieć nawet szyldu. Najbardziej gorszył się p. *Parys Maurizio*, cukiernik z Rynku, który wyrabiał jeszcze lepsze ciastka, ale uważałby sobie za hańbę bodaj palcem ruszyć dla ściągnięcia odbiorców. Za to kiedy chłopcy mu donieśli, że jeden z profesorów Uniwersytetu stale łasuje z lady czekoladki płacąc np. za trzy, kiedy ich wsunął jedenaście, *Maurizio* zabronił chłopcom przeszkadzać mu w tej czynności. Przez cześć dla *Alma mater*, tej najstarszej firmy krakowskiej.

Ponieważ cukiernia *Michalika* znajdowała się o parę kroków od Akademii Sztuk Pięknych, siłą rzeczy zaczęli tam wstępować młodzi malarze; z czasem stała się ich obozowiskiem.



Jan Apolinary Michalik

O *Michaliku* pisano w nekrologach wiele pięknych a zdawkowych rzeczy: polski *Ragueneau*, ukochał sztukę, karmił ciastkami artystów, etc. Jak zwykle, wszystko było zupełnie inaczej i o wiele zabawniej. W tym smak figury tego cukiernika, który miał zawdzięczać sławę cyganerii, że był na antypodach jej ducha. Dość spojrzeć na ten reklamowy portret, który stanowił radość artystów, a na którym Jan Apolinary tak łudząco podobny jest do króla *Jana III* z pudełka od zapalek. Ten piękny wąs, ten biały krawat, te dyplomy i medale, wszystko świadczy, że ideały czynnego i ambitnego przemysłowca były zgola nie cygańskie.

I kiedy od stolika malarskiego w jego cukierni padło



Jan August Kisielewski (rys. S. Wy-
spiański)

rzecone przez J. A. Kisielewskiego — hasło *kabaretu*, największą trudnością było uzyskać zgodę — samego Michalika. Ani rusz nie chciał, zdawało mu się to profanacją lokalu. Prawda, że potem, po latach, podpisawszy raz sobie trochę (bo i pięć nauczyli go w końcu ci rozpustnicy), ścisnął nam dłonie z rozczuleniem mówiąc: „Panowie zrobili ze mnie człowieka!”. Ale w gruncie walczyły w nim wciąż dwa światopoglądy dając powód do bardzo zabawnych kolizji.

Lepiej niż wszystko inne scharakteryzuje go następujący fakt. W czwartym roku *Balonika*, przed sezonem, ożywień świeżym zapalem malarze wzięli się do tego, aby prze-malować i ozdobić freskami małą salę (dużej jeszcze nie było). Sichulski zawiesił swój *Kabaret szalony* do wiersza E. Leszczyńskiego; Filipkiewicz z Kamockim kończyli „aeroplan”; Wojtkiewicz rozrucił po ścianach swoje mi-sterne drobiazgi. Między innymi Alfons Karpiński wykonał żartobliwy obraz przedstawiający aktualne wówczas odkrycie bieguna północnego, o którego chwałę spierali się Cook i Peary. Przybyły na biegun odkrywca spostrzega ze zdziwieniem resztki śniadania oraz młodego *Zengtellera*, którego wszędobylskość była przedmiotem stałych żarcików kompanii. Wśród malowanych resztek była przylepiona prawdziwa skorupka od jajka. Na drugi dzień, artysta, który robił obraz, widzi, że skorupki nie ma. Mysz, że odpadła, przykleja nową. Skorupka znowu znika. Zaintrygowany malarz pyta kelnera, co to znaczy; dowiaduje się, że pan gospodarz kazał zdjąć skorupkę. Idzie do Michalika. „Tak, ja kazałem zdjąć, odpowiada Michalik chłodno, bo w moim lokalu nie mogą się walać skorupki od jajka”. Artysta

próbuję obrócić to w żart, ale widzi że to bardzo serio. Z kolei on wpada w irytację. — To ja zabieram obraz. — Może pan zabrać obraz, ale w moim lokalu skorupki od jajka nie będzie. — To my się wszyscy wyniesiemy od pana. — „Mogą się panowie wynieść, ale u mnie skorupki od jajka nie będzie”. Było to tak zabawne, że w końcu malarz parsknął śmiechem i zrezygnował ze skorupki. Tłumaczyliśmy to sobie tym, że za młodu biedny Jaś tyle musiał się nabrać w cukierni po karku za każdą walającą się skorupkę od jajka, że wytworzył się w nim „kompleks skorupki”. Ale zważmy, że było to w czwartym roku *Balonika*, a w dziesiątym blisko współzycia z artystami!

Dziwne igraszki robi los z ludźmi! Powołaniem Michalika był wypiek ciastek i sprzedawanie ich. Pokoik za sklepem był rzeczą uboczną, bez znaczenia, coś tak np. jak pokoik za sklepem Wedla. Tymczasem poszło wszystko odwrotnie. Ciastka nie chwyciły; nie pomogły ani afisze, ani pieczątki wybijane na asfalcie, ani nazwy coraz to nowszych kreacji, tak obiecujące jak *Marzenie*, *Manru*, *Gop-lana*. Krakowianin reklamy nie lubi, nie ufa jej, drażni go. Każdy wiedział od dziecka, że ciastka kupuje się u Maurizia i koniec. Natomiast zwycięska reklama przysłała Michalikowi nieoczekiwanie właśnie z tego pokoju za sklepem, z tych rzeczy, które się tam działy w sobotnie noce, z tych cudastw, które pokryły ściany. O ile krakowianie mało kupowali ciastek „na froncie”, o tyle masowo tłoczyli się do pokoju za sklepem. Codziennie między piątą a siódmą ob-legały sklep pielgrzymki tych, którzy nie mogli dostać miejsca. Słowo *Michalik* było na ustach wszystkich. Michalik rad nie rad zrozumiał tę wskazówkę losu; rozszerzył lokal, z cukiernika stał się kawiarnią, z solidnego przemysłowca patronem cyganów. Sądzę, że nie bez żalu: w ciastkach sam był twórcą, poetą!

Kiedy powstała nowa sala, było już właściwie po wszystkim. Całe życie *balonikowe* rozegrało się w starej

sklepionej salce, która z trudem mogła pomieścić sto dwadzieścia osób. I charakter mają obie sale różny. Pierwsza ma coś z improwizacji, stopniowego narastania; druga jest jednolitą, całkowicie obmyśloną kompozycją Mączyńskiego i Frycza. Na chlubę Michalika trzeba powiedzieć, że w dobie, gdy on powierzył artystom urządzenie tej sali, w całej Polsce nie śniło się nikomu o tym, aby artyści mieli



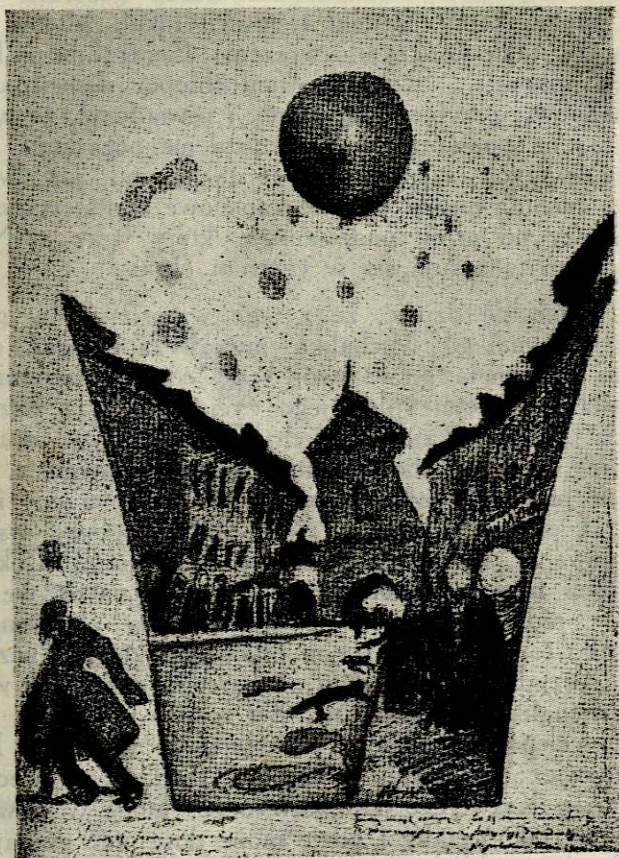
St. Rzecki

tworzyć wnętrza kawiarni. Ale już przeszedł przez Kraków Wyspiański. Jestem przekonany, że Wyspiański bez wahania byłby się podjął dekorowania kawiarni: inna rzecz, że urządziłby ją w stylu *Bolesława Śmiatego*.

I tu nie obyło się bez zabawnego konfliktu. Na wielkim *panneau* obejmującym drzwi nowej sali, Sichuła machnął jurną parafrazę *Sądu Ostatecznego* Michała Anioła z postaciami uczestników *Balonika* i jego ofiar; i — zabawna mistyka związków! — zdarzyło się mu to samo, co prawdziwemu freskowi genialnego mistrza. Mianowicie, nagie a dosadnie malowane postacie obudziły takie zgorszenie w stałym go-

ściu cukierni emerytowanym austriackim generale, że nie dopił rannej kawy, splunął i opuścił lokal. Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie. Generał nie pił kawy, generał splunął!... Skonsternowani chłopcy donieśli o tym Michalikowi; przybiegł zaperzony i oświadczył, że wyrzuci obraz na podwórze, o ile artysta nie pozasłania bodaj najdrażliwszych szczegółów. I tak samo jak Michał Anioł, Sichuła musiał dorobić kąpielowe majtki wszystkim, począwszy od niżej podpisanego, który wraz z Nosem i Teofilem znajduje się w centrum obrazu.

Trudno się dziwić, że z tego wszystkiego w głowie Jana Apolinarego Michalika musiał zapanować chaos. Sztuka wciągnęła go w swój krąg coraz zawrotniejszy, zmieniła doszczętnie plan jego życia, zburzyła wszystkie pojęcia, przyzwyczajenia. Michalik był trzeźwy, akuratny, spokojny, skromny choć ambitny w swoim zawodzie, brzydził się pijanymi, hałasem, burdą, szanował urzędy i godności. I oto życie nasyciło jego ambicje ponad wszelkie spodziewanie, ale w jakże paradoksalny sposób! Lokal jego gościł figury, o których nie zamarzył nawet we śnie: rektory, redaktory, hrabiowie, hofraty, ba ekscelencje; i wszystko to zawdzięczał tym pijanicom, których uczynkami się brzydził. Po każdym „kabarecie” chaos ten w głowie Michalika zwiększał się. Tu rozmawiał z nim łaskawie ekscelencja Wodzicki, tu kopnął go w brzuch Boguś Adamowicz: jak ustalić bilans tak spędzonego wieczoru? Wynoszą Ksawerego Dunikowskiego, który w powietrzu miota się jak opętany i gdzie może dosięgnąć rozdaje policzki; ale oto Michalik widzi, że patrząc na to rektor uniwersytetu Cybulski uśmiecha się życzliwie i nie przerywa rozmowy z innym luminarzem nauki. Ktoś strzela z rewolweru w sufit; Michalik czerwony z furii rzuca się w tę stronę; ale co ma powiedzieć, kiedy to strzelił sam prokurator P... (dziś prokurator Sądu Najwyższego). Nie pozostało nic, jak tylko uśmiechnąć się przyjemnie. A cóż



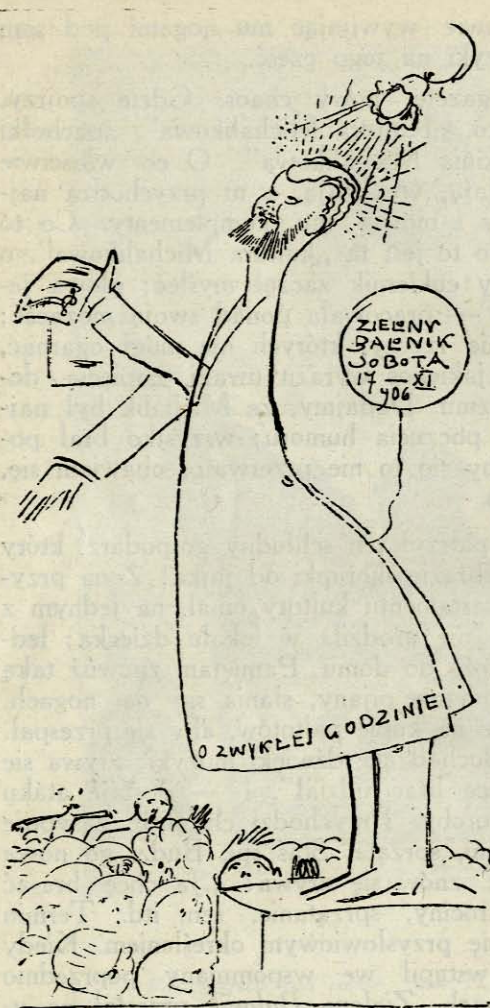
Po kabarecie nad ranem (mal. H. Szczygliński)

dopiero kiedy nad ranem otoczą go kręgiem we wścieklej sarabandzie, pomieszani z łazikami, z aktorkami, profesoro-

rowie, radcy, sędziowie wywijając mu nogami pod sam nos i wznosząc okrzyki na jego cześć.

Bierze do ręki gazetę, nowy chaos. Gdzie spojrzę, czyta swoje nazwisko. „Kultura Michalikowa”, „pacholki Michalikowe”, „jaskinia Michalikowa”. O co właściwie chodzi? Tu wymyślają, wyklinają, a tu przychodzą najszanowniejsze figury i mówią mu komplementy. Co to wszystko znaczy? Co to jest ta „kultura Michalikowa”, o której piszą? Biedny cukiernik zaczął myśleć; głowa jego — czuć to było — pracowała ponad swoją możliwość; od ciągłego obracania rzeczy, których nie mógł ogarnąć, twarz jego nabrała jakiegoś wyrazu uwagi, napięcia dochodzącego do tragizmu. Dodajmy, że Michalik był zupełnie wyzuty z poczucia humoru; wszystko brał poważnie. Toteż, gdyby się to nie przerwało, obawiam się, że byłby zwariował.

Na co tam nie patrzył ten schludny gospodarz, który nie mógł znieść na obrazie skorupki od jajka! Żona przyszedłszy dyrektora departamentu kultury omal, na jednym z wieczorów *Balonika*, nie urodziła w lokalu dziecka; ledwie ją zdołano odwieźć do domu. Pamiętam znowuż taką scenę. Staś C., kompletnie pijany, ślania się na nogach. Układają go w kącie na kupie paltotów, aby się przespał. Ale elektryzują go dochodzące dźwięki muzyki; zrywa się ze słowami: „ja chcę brać udział”, i — dostaje ataku typowej morskiej choroby. Przychodzi chłopiec, zasypuje ten „udział” trocinami, sprząta, Staś śpi. Budzi go nowa fala muzyki, gwaru; znów się zrywa: „Ja chcę brać udział”. I znów trociny, sprzątanie, sen, itd. Termin „brać udział” stał się przysłowiowym określeniem. Kiedy później nieco, Staś wstąpił we wspomniany poprzednio arystokratyczny związek, *Zielony Balonik* przesłał na ucztę weselną następującą depeszę: „Dziś, kiedy dłoń kapłana złączyła dwa światy, — krakowską cyganerię z polskimi magnatami, — w tym świecie, radośniejszym



Teofil Trzciński (rys. K. Frycz)

niżli sam lajkonik — serdeczny bierze udział Zielony Balonik”.

Z całej legendy Michalika najopaczniejsza jest bajka o „karmieniu artystów”. Nikogo nie karmił, nikomu nawet nie kredytował. W ogóle w przemyśle cukierniczym kredyt nie istnieje. Można kupić na kredyt ubranie, fortepian, ostatecznie kopalnię węgla, ale ciastko płaci się gotówką. Michalik był rachunkowy i ostrożny aż do pedantyzmu. Po pierwszym sezonie *Balnika*, kiedy zauważył, że wkradły się w obrót drobne pożyczki kredytowe kilku osób, rozesłał tym swoim najlepszym gościom, kucrom, które mu niosły złote jajka, wezwania płatnicze przez adwokata.

Teofil Trzciński dostał taki pozew o trzy korony z halezami; może zachował go na pamiątkę gdzieś w swoich papierach? Skoro cukiernia przeobraziła się — faktycznie, jeśli nienominalnie — w kawiarnię, Michalik zaprowadził instytucję kelnerów (w cukierni byli tylko *chłopcy*), która oddziela gospodarza murem bezpieczeństwa od wszelkich zakusów kredytowych. Artyści nie zostali mu winni ani grosza, natomiast wydawali u niego dużo, ściągali mu tłumy gości i zostawili mu w prezencie krociową wartość firmy, i urządzenia. Tak samo było z Turlińskim, i tak wygląda stale legenda o „polskich Ragueneau”.

Mimo incydentów z artystami Michalik przywiązał się z czasem do swoich pstrokatych ścian, ale i to przywiązanie objawiało się w swoisty sposób. „Gdybym kiedy sprzedał moją cukiernię, nie oddałbym tego wszystkiego, mówił raz pokazując na freski swego lokaju. — A co by pan zrobił? spytał ktoś. — Zamalowałbym na biał”.

Nie zamalował jednak dobry Michalik, bo nabywca wymówił sobie całość ścian w cenie kupna. W czasie wojny, znękany trudnością prowadzenia cukierni, sprzedał ją wraz z urządzeniem dwóm swoim pomocnikom. Osiedł w Poznaniu, gdzie założył wykwintny pensjonat. Z rozczuleniem witał każdego gościa z Krakowa i wspominał rzewnie „Jamę Michalikową”. Ale mieszkańcy pensjonatu obowiązkowo musieli wkładać smoking do kolacji, taki był regulamin. I to dopiero był rewanż Michalika nad losem, ziszczenie ambitnych marzeń młodości. Bo Jan Apolinary zawsze w gruncie pozostał takim, jakim go przedstawia fotografia z medalami i w białym krawacie. Ten patron krakowskiej cyganerii zostawił jej na wieki swoje imię, ale duszy nie oddał jej nigdy.

Najpierw małeńka dygresja. Z okazji mego ostatniego felietonu opowiedział mi Karol Frycz następującą swoją rozmowę z Michalikiem. Cukiernik w chwili wynurzeń, mówił tak: „Proszę pana, jaki to dawniej człowiek był głupi. Dawno temu, jeszcze zanim panowie się tu zadomowili, przychodził do cukierni co dzień pan Wyspiański. I jednego razu zaproponował mi, że jeżeli mu zwrócę za farby to on mi nocami całą tę salę, od stropu do podłogi pomaluje. — Jak to za farby? — No, oczywiście bo zawsze farby kosztowałyby kilkanaście guldenów. — I pan się nie zgodził? — Ano taki człowiek był głupi... Myślałem sobie; malowana cukiernia, jak to będzie wyglądało, będą się ze mnie śmiać... Teraz żałuję”.

Bardzo wierzę! I my żałujemy. Pomyśleć tylko: stara sklepiona sala, malowana „od stóp do głów” przez Wyspiańskiego. Zależało tylko od zgody cukiernika. Czy nie miałem racji mówić, że Kraków to było miasto niepodobne do wszystkich innych?

A teraz ciągnijmy dalej. Właściwie ten dziesiątek felietonów o starym Krakowie napisał mi się sam, nie wiem jak. Chciałem po prostu z okazji 25-lecia poświęcić wspomnienie *Zielonemu Balonikowi*. I okazało się, że trzeba zacząć z tak daleka, inaczej nie było by zrozumiałe. Ta egzotyczna roślina miała korzenie tak głębokie, tak rozgałęzione. A zdaje mi się, że niezależnie od osobistych sentymentów warto jej było poświęcić trochę uwagi. Wszakże to było bodaj pierwsze w Polsce zjawisko zbiorowego śmiechu. Właśnie w tym smutnym Krakowie. Trzeba było pokazać, do jakiego stopnia było to naturalnym wykwitaniem całej krakowskiej przeszłości. Widzieliśmy ile

humoru, ile kpiarstwa nagromadziło się w tym cichym i zbożnym mieście, ile wytworzyło się tam prężności imaginyjnego życia, ile się spotkało różnych elementów. Wszystko to zmieszane razem w tej małej sali niby w rektorcie, podgrzane płomykiem spirytusowym, zaczęło się burzyć, dawał nowe połączenia i strąty.

Znalazł się tam teatr, który przebył tymczasem dyrekturę Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i zaczął okres Solskiego; i *Sztuki piękne* — profesorowie i uczniowie — i redakcja *Czasu*, i sztuka stosowana, i Bronowice, i przybyszewszczyzna, i Uniwersytet, i kawiarnia... Spotkali się starzy i młodzi; Żuk-Skarszewski, który był dla nas patriarchą, ósmoklasista Leon Schiller, który pierwszy raz wystąpił na estradzie Michalikowej w mundurze gimnazysty, albo młodziutki aktor Osterwa, który w *Baloniku* zdobył pierwsze oklaski. Wszystko znalazło się tam razem jak w arce Noego, płynącej po mętnych wodach krakowskiej melancholii.

Zaznaczyłem już, że aby zrozumieć ducha *Balonika*, trzeba zupełnie oddzielić tę instytucję od pojęć o wszystkich mniej lub więcej wesołych teatrzykach. Nie było to żadne przedsiębiorstwo; wstęp był bezpłatny, ale za to warunkowany w udzielaniu zaproszeń surową cenzurą; każdorazowy program był na wpół improwizowaną premierą, której się nie powtarzało. Każdy miał prawo wypowiedzenia się; zaledwie że istniał rozdział między salą a estradą. Z czasem uczestnicy, scementowani między sobą nieuchwytną wspólnością duchową, utworzyli rodzaj luźnego bractwa czy zakonu, który nadawał ton życiu Krakowa.

Dość naturalne jest, że jądrem tego skupienia stał się pierwotnie stolik malarski. Malarze to element najbardziej żyty; istnieje tu koleżeństwo szkoły i rzemiosła, którego nie ma w innych sztukach; wspólne zabawy, wspólne natrząsania się i bunt. Talent mimiczny jest u malarzy częsty, literacki również; dość rzadki natomiast jest malarz, który by nie miał poczucia humoru. Wyostrzony wzrok,

nawyk obserwacji, która chwyta automatyzm gestu, widzi grę mięśni pod draperią, element zwierzęcości w masce ludzkiej. Każdy prawie malarz jest po trochu karykaturystą, ówczesne zaś pokolenie szczególnie obfitowało w ten rodzaj talentów: dość wymienić Sichulskiego i Frycza.

O ile naturalne było, że *Zielony Balonik* urodził się przy stoliku malarskim, tak znowuż było niemal symboliczne, że zdecydował o jego narodzinach autor *Karykatur i W sieci*, który w swojej „szalonej Julce” ucieleśnił rozpaczliwe tłuczenie głowami o pręty krakowskiej klatki, — Kisielewski. I on, jak wszyscy młodzi, wydierał się „za granicę”; i teraz wrócił z upragnionego Paryża, ale wrócił już ze śmiertelnym pęknięciem. Toteż, o ile on dał inicjatywę i objął prowizoryczne berło, o tyle dla poprowadzenia „kabaretu artystów” trzeba było męża większego hartu i silniejszej ręki.

Patrzmy dziś wszyscy na sympatycznego Węgra Fryderyka Jarossy, jak z taktem i wdziękiem spełnia rolę *conférenciera*; otóż, tak samo jak wszystko w *Zielonym Baloniku* było niepodobne do czego innego, tak i ta rola o ileż była trudniejsza! Wyobraźmy sobie natłoczoną po brzegi salę, gdzie przy stolikach gęsto zastawionych flaszkami siedzi najniesforniejsza, najdziksza i najbardziej wybredna publiczność; publiczność, która nie chce być bierną, ale chce się wyżywać, chce współgrać, chce wyrażać swobodnie uciechę lub niezadowolenie. Im późniejsza godzina, tym było trudniej o posłuch, z wyjątkiem dla paru ulubieńców, którzy zdobywali go samym zjawieniem się na estradzie. Ale nieraz długo musiał *Stasinek* uderzać kaduceusem swoim o deski i wołać sakramentalne „Mak”, co oznaczało w skróceniu: „Cicho, do cholery, jak makiem zasiał”.

Bo już od drugiego wieczoru kabaretowego berło *conférenciera* ujął — i nie wypuścił go do końca — *Stasinek*. Był on zjawiskiem półrealnym, półfantastycznym. Zja-

wił się w bandzie Przybyszewskiego, nieznany w tym małym Krakowie nikomu (podobno był rodem z Podgórza), dwudziestoletni chłopczyna, z brodą tak białą, że robiła wrażenie siwej. Co robił wprzód, nie wiadomo; jakoby studiował sanskryt. Zadomowił się u Stacha, niańczył mu dzieci, chodził po wódkę, tłumaczył rękopisy, słowem, średniowieczny „uczeń filozofa”. Rabelesowski Panurg. Młody ten człowiek miał zadziwiającą zdolność absorbowania napojów wysokich, nad wiek i doświadczenie. Zauważono, że w ciemną noc w ogrodzie umiał nalewać wódkę do kieliszka zupełnie pełno, a nie przelał nigdy. Zapytany jak on to robi, odpowiedział spokojnie: „To bardzo proste; trzeba sobie wybrać na niebie gwiazdkę, patrzeć na nią przez brzeg kieliszka i nalewać. Kiedy gwiazdka zniknie, to znaczy że jest pełno”. Jak wam się podoba ta „astronomia Wojskiego”? Takich anegdot o *Stasinku* można by przytoczyć mnóstwo. Widzę go jeszcze, jak obejmując rękami na plantach olbrzymi kasztan, woła na Janusza Ł..., bratanika Deotymy: „Janusz, trzymaj drzewko, bo się chwieje”.

(Spostrzegam, że w tych moich krakowskich wspomnieniach dużą stosunkowo rolę odgrywają spirytualia; ale, o ile osobiście jestem raczej abstynentem, o tyle uznaję, że są w życiu narodów epoki, gdy słowo *spirytus* legitymuje się chlubnie swoim pierwotnym znaczeniem, którym jest nie co innego jak DUCH).

W klanie Przybysza *Stasinek* poznał się z Rudolfem Starzewskim; kiedy zawakowało w *Czasie* miejsce korektora, objął je; niebawem awansował na współpracownika pisma, z czego był niezmiernie dumny. Bo *Stasinek* miał poczucie tradycji. To połączenie stylu *Bodegi* ze stylem *Czasu* wydało bardzo zabawną mieszaninę: grymas krakowskiej „celebry” z podbitym okiem skończonego łazika. *Stasinek* stale miał na estradzie frak, ale zawsze ten frak robił wrażenie, że go od trzech dni nie zdejmował. Coś ni-

by Stanisław Tarnowski, który by się przespał w rurze wodociągowej.

To był nasz *conférencier*; i w ogóle osobliwością *Balnika* było, że wszyscy główni jego działacze wzięli się nie wiadomo skąd, rodzili się na miejscu, talenty ich były dla nich samych niespodzianką, odkryciem. Takim był Teofil Trzcński, nasza primadonna. Bo *Zielony Balonik* nie wydał ani jednej kobiety. Mury nie chciały. Wanda się utopiła, Jadwiga wyszła z rozsądku za Jagiełłę; nie było tradycji. Podczas gdy w Warszawie Mery Mrozińska budziła perwersyjne dreszcze minodując *Stefanię Boya*, w Jamie Michalikowej utwór ten recytował jakże skromnie sam autor.

Teofil zatem, to była nasza *androgynie*, mężczyzna i kobieta, uosobienie piosenki. Absolutna muzykalność, miły głos, porywająca siła komiczna, zdolność imitatorska. Jednym z luksusów naszego życia jest, że w kraju, gdzie nie istniała piosenka, bez tradycji, bez wzorów w tej mierze, zjawiał się ten fenomen, któremu równego nie spotkałem w świecie. Niezrównany odtwórca, przy tym sam humorysta, obserwator. Ilekroć jestem na jakim obchodzie jubileuszowym wstrzymuję się, aby nie parsknąć śmiechem, gdy sobie przypomnę owego sepleniącego mówcę: „W pracy pirsy, w spoczynku ostatni, dla podwładnych nie psełozony, ale najlepszy kulega, cy to w towarzystwie zalickowem cy w towarzystwie pogzebowem” etc. Charakterystyczne jest, że Trzcński wstydył się swego talentu, akcentował swą pozycję „dystygowanego amatora”, certował się, utrudniał, całą zaś ambicję kładł w to, aby wygłaszać nudne odczyty o Ibsenie.

Działanie piosenki, i to w takim wykonaniu, było czymś piorunującym. Da się to porównać jedynie z pierwszym zetknięciem się dzikich ludów z „wodą ognistą”. Znam to wrażenie, bo sam go doznałem kiedyś zetknął pierwszy raz z piosenką w Paryżu. Zważmy, że w Polsce, w

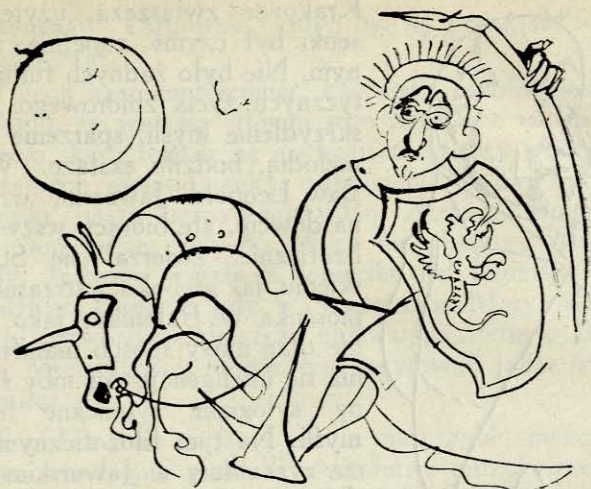


Wł. L. Jaworski, entuzjasta *Zielonego Balonika*
(rys. K. Sichulski)

Krakowie zwłaszcza, użytek piosenki był czymś zupełnie nieznanym. Nie było żadnych form artystycznych życia zbiorowego. To uskrzydlenie myśli, sparzenie jej z melodią, budziło ekstazę. Władysław Leopold Jaworski, wrażliwy na dowcip, ale biorący wszystko filizoficznie, zwierzał się Starzewskiemu, jak głęboko wstrząsnęła go piosenka w *Baloniku*, jako zupełnie dlań nowy sposób manifestowania się inteligencji, coś niby śpiewany sylogizm, rytmiczne formuły myśli. Na tym filozoficznym gruncie zyskaliśmy w Jaworskim prawdziwego entuzjastę.

Bo mieliśmy i wrogów. Jednym z najzaciętszych był Wilhelm Feldman, który zresztą nigdy nie był na naszych wieczorach. Ten nie kapował absolutnie nic. On uznawał tylko jeden śmiech: *krwawy*; jedną tylko jego funkcję: protest społeczny. Nie znajdując tego w *Baloniku*, karcił nas. Nie rozumiał innych wartości śmiechu; nie rozumiał zwłaszcza, że to była zabawa artystów między sobą, w szczupłym kółku, i że nie mogliśmy protestu przeciw krzywdom społecznym zakładać na ręce Axenta czy Wyczółkowskiego, boby nie wiedzieli co z nim począć.

Piosenka miała jeden magiczny skutek: im była udatniejsza, tym więcej wykwiatało na stołach flaszek szampana. Można by przypuszczać, że rzeczy martwe mają swoją inteligencję i że te dostojne butelki wiedziały kiedy warto się pojawić. Czasami tłoczyły się gromadnie. Jakim cudem się



Wilhelm Feldman, wróg Zielonego Balonika

to działało w tym ubożuchnym Krakowie, sam nie wiem, ale po *Szopkach* zwłaszcza żłopało się szampan jak wodę. Ziszczała się *Pieśń szampańska* Edwarda Leszczyńskiego, wieszczo zrodzona o wiele wcześniej przy stoliku malar-skim, który wówczas nie znał jeszcze innego napoju prócz wiśniówki.

„Oto jest pieśń, co się śmieje, oto jest pieśń wyuzdana; rodzi się nim kogut pieje, noc w noc, z wystrzałów szampana... I tańczy w bachicznym szale, i tańcząc gwiazdami brzęczy; z nogi jej w tańca zapale opadła podwiązka z tęczy”...

Kochany Edzio Leszczyński! Figura jakby żywcem przeniesiona z epoki Musseta czy Teofila Gautier. Najle-niwszy z poetów, o którego duszę walczyły z poezją for-
tepiem, papieros i filozofia ścisła, destylowana zresztą ra-
czej w dym i marzenie. Jego *Kabaret szalony*, wiersz na-
pisany do obrazu Sichulskiego (malowanego na nieza-

gruntowanym prześcieradle) jest jedną z najładniejszych pamiątek owych lat *balonikowych*.

Mój Boże! Dwadzieścia pięć lat minęło od tych czasów, a wspo-mnienie ich zostało w uczestnikach jakże żywe! Dotąd dostaję z Kow-na listy od prof. Herbaczewskiego, w których nasz Józef Albin ko-mentuje swoje występy, niepokojące wówczas nawet nas swoim kopro-mistycyzmem. Herbaczewski uważa, że przed laty nie zo-
stał rozumiany, że był prorokiem *futuryzmu* literatury, a
zwłaszcza prozy polskiej. Na poparcie swoich rewindykacji
przytacza taki swój wiersz: „Z ponuro-łojowych łąk —
wychodzą tanie nimfy — i wśród ojojowych mąk — rzu-
cają brzanie tyńfy”. Kończy zaś swój długi list słowami:

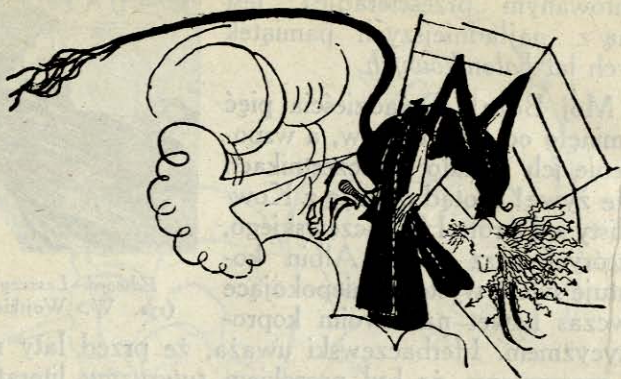
„Kończąc moją proklamację, pozwalam sobie prosić
was polscy koledzy, abyście mnie nie odsądzali od czci i
wiary za to, że jestem pokłócony (zresztą b. serdecznie,
mam nadzieję chwilowo) z politykami Wolnej Polski! Pa-
miętajcie, że chcę być waszym serdecznym przyjacielem
i jednego tylko pragnę, aby wszystkie narody nauczyły się
największej sztuki — sztuki wzajemnego przebaczenia!...
Upewniam was koledzy, że w *Zielonym Baloniku* (gdy-
by dziś istniał) Polacy z Litwinami prędzej by się pogo-
dzili, aniżeli dziś przy zielonym stoliku. A więc niech ży-
je tradycja krakowskiego *Zielonego Balonika*!”

Pewno żeby się pogodzili! Może by się znów pokłócili
na drugi dzień, ale za to już *Balonik* nie odpowiada. Nie
takie rozdźwięki tam się załatwiało. Było to niby święto
saturalniów: co kto miał na wątrobie przeciw drugiemu, mó-
wił mu w żywe oczy. Opowiadałem gdzie indziej o przyję-
ciu Jana w *dwóch osobach* Styki*). Młodzi uczniowie



Edward Leszczyński
(rys. W. Wojtkiewicz)

*) *Dzieje pewnego sukcesu* (Zmysły... Zmysły...).



Józef Albin Herbaczewski

gadali swemu profesorowi Stanisławskiemu najcięższe rzeczy, co mu sprawiało perwersyjną radość. Bo może tajemnym cierpieniem Stanisławskiego było to, że nigdy nie spotykał oporu, wszyscy się go bali. Tutaj łykał wymyślania, zarzuty, obelgi niemal, z rozkoszą. I w ogóle nikt tak się nie umiał rozkoszować atmosferą *Balonika* jak Stanisławski. W momencie ekstazy formułował to wielokrotnie powtarzanym wykrzyknikiem: „Noo! niechże się cesarz Franciszek Józef potrafi tak bawić!” W istocie, nie ma dwóch zdań, Franciszek Józef na pewno by nie potrafił... Pamiętam raz taką scenę, jak przy pianinie ktoś — nie wiem już, Lulek Schiller czy Noskowski, — grzmi *Warszawiankę*, cała sala śpiewa chórem, a olbrzymi Stanisławski z lagą w garści, z krwią nabiegłymi oczami, komenderuje zdobyciem Olszynki. Biedny grubas, obawiam się że mu to wszystko ukradło parę lat życia, bo kiedy wpadł w zachwyt, nie chciał nic wiedzieć o przestrojach lekarza. Umarł w drugim roku *Balonika*; jeszcze na dzień, w którym skończył, od dawna przykuty do łóżka, zamówił sobie Trzczińskiego i Frycza, żeby mu pokazali ostatni program.

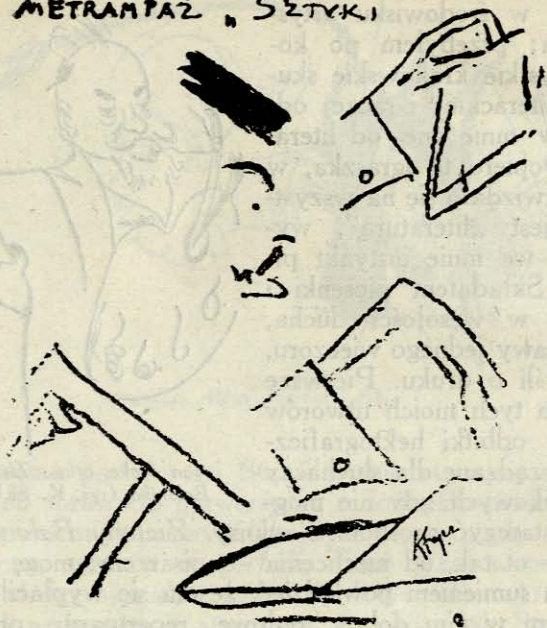
A cóż dopiero mam powiedzieć o sobie? Żyłem od

dziecka w środowisku artystycznym; przebyłem po kolei wszystkie krakowskie skupienia literackie; i raczej odstręczyły mnie one od literatury. Dopiero ta igraszka, w której gwizdało się na wszystko co jest „literaturą”, wyzwoliła we mnie instynkt pisarski. Składałem piosenki i wiersze w wesołości ducha, dla zabawy jednego wieczoru, bez myśli o druku. Pierwsze wydania tych moich utworów to były odbitki hektograficzne sporządzane dla słuchaczy Michalikowych, gdy nie mogłem nastarczyć prośbom o odpisy. *Zielony Balonik* zrobił



Jan Styka, ofiara *Zielonego Balonika* (rys. K. Sichulski)

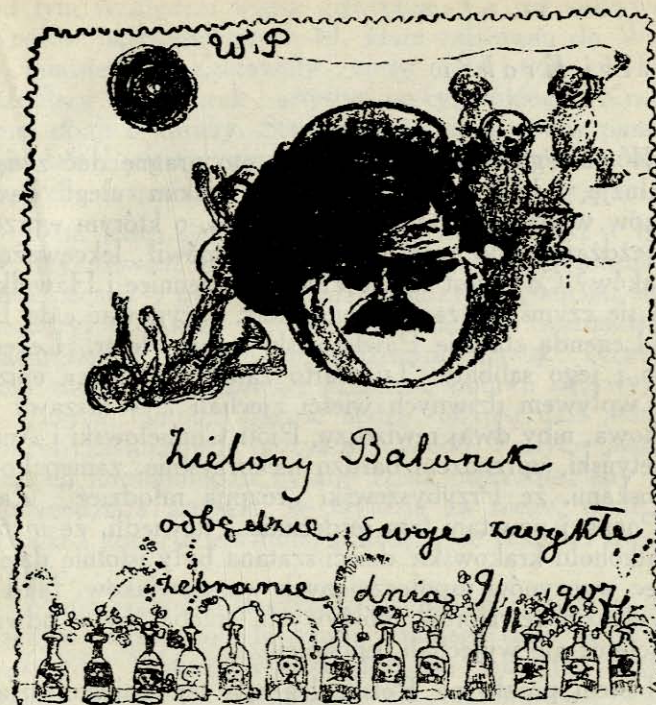
mnie — ot tak, od niechcenia — pisarzem; mogę zresztą z czystym sumieniem powiedzieć, że mu się wypłaciłem; wypełniałem w nim dobrą połowę repertuaru, przedłużyłem o kilka lat jego istnienie. Zeszłoroczne „jubileuszowe” wydanie *Słówek* musiałem już opatrzyć historycznym komentarzem, tak bardzo te ulotne *Słówka* przetrwały nastroje i wydarzenia, z których się zrodziły. Dreszcz mnie przejmuję czasem, gdy sobie wyobrażę, co by się ze mną stało, gdybym w danym momencie — już jako trzydziestoletni lekarz — nie znalazł tej atmosfery. Bo nic fałszywszego, niż często spotykany komunał, że wszelka zdatność czy powołanie muszą sobie wcześniej czy później znaleźć drogę. To jest tak, jakby powiedzieć, że każde ziarno musi zejść, bez względu na to czy padnie na asfalt czy na glebę. Całkiem przeciwnie, jestem przekonany, że świat jest pełen ludzi, którzy nie odnaleźli siebie samych i którzy cierpią często nie wiedząc od czego. Zwłaszcza w ówczesnych warunkach życia. Biedny mój brat, tzw. *Edziuła*, który skończył sa-



Karol Frycz

mobójstwem, był — jestem przekonany — takim człowiekiem, takim artystą, który się nie odnalazł. Jedyne chwile, gdy ten mimowolny urzędnik bankowy odżywał, to były wieczory *Balonika*, którego był generalnym sekretarzem, archiwariuszem, aktorem *dell'arte* i niezmordowanym przy pianinie grajkiem.

Bo pianino nie cichło tam nigdy. Co jeden odpadł bez tchu (bo to było już nie granie, ale furia opętańca), natychmiast zastępował go drugi. Zmagały się z sobą murzyńskie *cake-walki*, azjatyckie *tańce brzuchem* i przekorne *krakowiaki*, i kunsztowne wariacje na temat melodii paryskich. Czasem mieszała się w to murarska harmonia Kaspra, cza-



Zaproszenie na wieczór Zielonego Balonika
(rys. W. Wojtkiewicz)

sem (bardzo rzadko) wystrzał z rewolweru, wciąż brzęk szkła, pękanie baloników i huk ludzkich głosów. Ale kiedy pianino umilkło bodaj na chwilę przy luzowaniu się grajków, czuć było coś niesamowitego w powietrzu. Jakiś niepokój ścinał wszystkie twarze. Jak gdyby lęk, że wdrze się przez mury upiorny hejnał mariacki.

W szeregu felietonów, którym oto pragnę dać zwięzłą konkluzję, odmalowałem przemiany, jakim uległ dawny Kraków w ciągu lat kilkunastu. Miasto, o którym wprzód przejeżdżający do wód warszawiak mówił lekceważąco: „Kraków? Co to jest Kraków? Ot, Sukiennice i Hawełka”, stało się czymś, co zaczęło niepokoić, intrygować całą Polskę. Legendą stał się Pawlikowski i jego teatr. Legendą *Paon* i jego sabbaty. Tu warto zanotować jeden epizod. Pod wpływem dziwnych wieści zjechali z Warszawy do Krakowa, niby dwaj rewizorzy, Piotr Chmielowski i Antoni Sygietyński, uprzedzeni bardzo niekorzystnie, zaniepokojeni pogłoskami, że Przybyszewski „rozpija młodzież”. Zaszli do *Paonu* i powitani tam serdecznie... dowiedli, że *in puncto* alkoholu krakowskie dzieci szatana były istotnie dziećmi wobec wyczynów uspołecznionych warszawiaków. Nad ramię dwóch rewizorów, półżywych, trzeba było odwieźć do hotelu; ale wyjechali uspokojeni...

Potem poszła na Polskę legenda tej dziwnej zjawy astralnej, jaką był Wyspiański. Legenda miasta malarzy, miasta witraży, miasta poezji, miasta grobów, miasta życia, miasta sztuki — Krakowa.

Wśród tych duchowych przemian materialnie Kraków zmienił się bardzo niewiele. Trochę oczywiście miasto rosło, ale jakże wolno, jak nieśmiało. Wspominałem już, jak specjalne warunki Krakowa hamowały jego rozwój gospodarczy, przemysł, handel... Przeważał w mieście żywioł urzędniczy, ale i tu godzi się zauważyć pewien paradoksalny symptom. Cechą każdej stolicy jest, że skupia ona elementy najbardziej rzutkie, ambitne, najzdolniejsze. Otóż, w Krakowie, też niewątpliwiej stolicy na swój sposób, było

pod tym względem wręcz odwrotnie. Co rok odbywał się tu polów najzdolniejszych sił, które zabierano do Wiednia do ministeriów. Zostawały ciury albo też ci, którzy wszedłszy pod urok artystyczno-cygańskiego Krakowa, mniej dbali o kariery. Stąd przy klanie artystów pasało się sporo takich estetyzujących urzędników, kibiców sztuki, czytających, dysputujących, interesujących się wszystkim.

Dam jeden przykład owej supremacji sztuki w Krakowie. Był pewien młody inspektor gorzelni (solidna rządowa posada), przy tym amator-muzyk. Zakochał się i oświadczył o pannę. Zgodziła się, ale pod warunkiem, że zmieni fach i zostanie „prawdziwym artystą”. Rzucił posadę, zaczął się forsownie kształcić, pobrali się, wyjechali do Paryża, cierpieli prawie nędzę; on jest dziś jednym z naszych zasłużonych muzyków. Wedle tradycji matrymonialnych normalniejsza byłaby rzecz odwrotna, aby panna odpowiedziała artyście, że wyjdzie za niego, o ile rzuci mrzonki i zdobędzie solidną posadę. Ale taki był ówczesny Kraków.

Mimo wszystko doczekało się miasto i na polu gospodarczym doniosłego zdarzenia: z małego stało się *Wielkim Krakowem*. Wskażę w kilku słowach, jak i ta przemiana wynikła raczej z duchowych niż materialnych wartości Krakowa.

Wszystko w tym mieście było paradoksalne. Śmierć stawała się elementem życia. Ważnym faktem krakowskiej kroniki były — pogrzeby. Mając i Wawel i Skalkę, Kraków stał się wielkim domem przedpogrzebowym całej Polski. Od niezapomnianego pogrzebu Mickiewicza iluż dostojnych umarłych ciągnęło przez te ulice: Kraszewski, Lenartowicz, Matejko, Asnyk, Wyspiański... Znamienne jest, że pierwsze występy poetyckie, jakimi Kazimierz Tetmajer, późniejszy piewca *Wenus* Kallipygos i Skalnego Podhala, zwrócił na siebie uwagę, to były dwa konkursowe wiersze na sprowadzenie *zwłok*: Mickiewicza i Kra-

szewskiego. Tak młodość była zmuszona akomodować się do warunków. „Przystaniesz sobie za trumienką z boku, posłuchasz śpiewu i żałobnych mów, dziewczątko małe uszczypniesz gdzieś w tłoku, już się od dawna tak nie czułeś... zdrów!” — śpiewałem później w *Baloniku*.

(Jak długo przetrwało w Krakowie to spoufalenie się z życiem grobów, niech świadczy następujący autentyczny fakt. Kiedy przed kilku laty teatr Szyfmana wystawił w Warszawie *Bolesława Śmiałego*, pożyczono część rekwizytów od teatru krakowskiego, między innymi trumnę św. Stanisława. Otóż chodziło o wypróbowanie trumny i przyrządzenie jej tak, aby statystycie idącemu w trumnie nie było widać nóg, jak je było widać na krakowskiej premierze. Karol Frycz, malarz-dekorator Teatru Polskiego, pojechał do Krakowa, kazał sobie wynieść ze składu tę teatralną trumnę św. Stanisława, włożył w nią i chodził w niej po ulicy Radziwiłłowskiej w samo południe, nie budząc zbytniego zdziwienia przechodniów; aż dopiero dziecko jakieś przelekło się i rozplakało).

Oczywiście przy wszelkich żałobnych okazjach pierwszą figurą był gospodarz miasta: w czarnym kontuszu, w kołpaku z kitą, czuł się niemal spadkobiercą Jagiellonów, Zygmuntów... Było zresztą zatrzęsienie nie tylko pogrzebów, ale wszelakich obchodów. Polskie i austriackie, na przemian. Tu wizyta Franciszka Józefa czy jego następcy, tu Muzeum Narodowe lub restytucja Wawelu; otwarcie nowego teatru, pięćsetlecie Akademii Umiejętności czy inauguracja Akademii Sztuk Pięknych; odnowa kościoła Mariackiego czy zjazd Słowian, pomnik Mickiewicza lub Jagiełły, to znów przyjęcie dla ministra... Fety, bankiety, mowy, toasty. I wciąż na pierwszym miejscu krakowski Wierzynek, nieustający jubilat — prezydent miasta.

I tu godzi się zanotować rzecz znamioną. Osoba gospodarza miasta była poniekąd projekcją duchowego Krakowa. Wedle tego, czym był w danej chwili Kraków, głó-



Nowy pomnik

wa jego bywała na przemian albo *dostojnym* prezydentem albo pociesznym burmistrzem. Nasilenie duchowego życia miasta wzdymało samopoczucie i ambicję jego gospodarza. Kraków matejkowski wydał Zyblikiewicza. Kraków młodopolski szczęśliwie uderzył do głowy Juliuszowi Leo. W

epokach duchowego marazmu na stolcu burmistrza zasiadały ciury. Zostawszy burmistrzem Krakowa, na który wówczas zwrócone były oczy całej Polski, Leo uczuł się prezydentem wielkiego miasta. Skoro materialna rzeczywistość temu nie odpowiadała, postanowił zmienić rzeczywistość. Tak powstała w jego głowie idea Wielkiego Krakowa.

A była to głowa ambitna i zdolna. Ten profesor *Almae matris* wyrzekł się kariery naukowej dla prezydentury miasta, w której może widział odskocznnię dla wielkiej kariery politycznej, może tękę jakiego ministra skarbu?...

Tak czy owak faktem jest, iż powziął zuchwały zamiar podciągnięcia Krakowa do wyżyn jego znaczenia moralnego.



Juliusz Leo, prezydent Wielkiego Krakowa
(rys. K. Sichulski)

Idea ta miała dwie fizognomie: jedną nadającą się do łatwych żartów, drugą w istocie płodną i twórczą. Wielki Kraków! w zestawieniu tych słów był kontrast, który budził uśmiech. O co chodziło? O stopienie gmin okalających Kraków i wcielenie je w miasto. To była myśl, do której urzeczywistnienia Leo dążył przez szereg lat z wytrwałym uporem. Łatwo było z tego żartować: czyż mały Kraków powiększy się, czyż urośnie przez to administracyjne przesunięcie granic? A jednak tak. Rzecz była dla Krakowa kwestią wprost życia. Jak wspomniałem, jednym z kalectw Krakowa było sztuczne zduszenie go w strefie „fortecy”. Udaremniało to rozwój przedmieść, hamowało ruch budowlany, bo na pierwsze żądanie wojskowości wszelki dom położony w tej strefie musiał być zburzony (tzw. *rewersy demolacyjne*). Forteca ta nie miała od dawna żadnej wartości strategicznej, ale tępy konserwatyzm austriackich generałów bronił jej uparcie. Trzeba było wielu lat starań i walki z szykanami, nim Leo zdołał uzyskać zniesienie fortyfikacyj, a tym samym wolny oddech dla peryferyj Krakowa. Natychmiast z ogromnym impetem zaczął wytyczać plany nowego „Wielkiego” Krakowa. Rozmach i ambicje tej *piatiletki* Lea były wielkie, niekiedy budziły uśmiech swą megalomanią; np. wspaniali konni policjanci „regulujący ruch” w miejscu gdzie ledwie snuło się paru ospałych przechodniów. Ale w zamian trzeba było widzieć tę konną policję, jak dziarsko wyglądała na jakimś pogrzebie czy obchodzie! A czyż dolą Krakowa nie było żyć od obchodu do obchodu?

Przepowiadano Leowi, że doprowadzi miasto do bankructwa, że gospodarka jego jest nierealna, lekkomyślna. Jak byłoby się to skończyło w ówczesnych warunkach, trudno zgadnąć. Ale dziś wystarczy przejść się po ślicznych dzielnicach powstałych w dawnej fortecznej strefie, gdzie przed niewiele laty jeszcze były ogrody warzywne i ugory, aby zrozumieć znaczenie jego czynu dla Krakowa. Dał miastu ramę dla przyszłego rozwoju na lat sto. I w tym

oryginalność, że nie napór życia stworzył te nowe dzielnice, ale że raczej wartości duchowe miasta obudziwszy ambicję jego gospodarza, kazały mu wytyczać wspaniałe ulice i bulwary w pustce, niby Piotrowi Wielkiemu ulice Petersburga.

Leo był popularną postacią w *Zielonym Baloniku*. Mimo wielu istotnych różnic czuliśmy w nim bratnią duszę. I jemu, jak nam, było ciasno w Krakowie, i on starał się powiększyć go fikcją, zmienić bieg życia. Odwrócenie przez prezydenta Leo biegu małej Rudawy może się wydać symboliczne. W Szopce *Zielonego Balonika* Leo był dorocznym Herodem (raz tylko, w dobie burz w Akademii Sztuk Pięknych zastąpił go w tej roli Fałat). Jemu to Trzej Królowie przynosili mniej lub więcej groźne wieści; on trawestując starodawny tekst szopki, obwieszczał: „Jam jest władca potężny, który ma trzy części świata, Europę, Afrykę i pamiętne lata; króluję w wielkiej chwale, u Puzyny i w kahale... A hasło moje: *Bóg nad nami — i sala-mi*”... (Była to aluzja do jego władzy, opartej na potężnej korporacji rzeźników i masarzy). Tak dworowali sobie z lekka z naszego burmistrza, ale był to stosunek życzliwy, mimo iż nie można rzec, aby to był stosunek Moliera do Ludwika XIV, bo — wręcz przeciwnie — Kraków artystyczny czuł się w mieście królem, a Kraków mieszczański był jego nadwornym komikiem.

Nic dziwnego, że wzięliśmy skwapliwie na języki ów zamierzony Wielki Kraków oraz fantastyczny plan podzielenia przyszłego miasta na dzielnice zawodowe: „Nasz Wielki Kraków, nowiusieńki gród, dziwuje mu się z całej Polski lud; tak równiutko podzielony, na dzielnice rozłożony, wszystkie profesje zmieści, jeszcze przestrony... — W pierwszej dzielnicy ma Kraków Wielki, świętość narodu, swoje handelki; wśród klombów fontanna z piwem, tryska źródłem wiecznie żywym, wszystkie ludu łączy stany wspólnym ogniwem. — Koło handelków, w drugiej dzielnicy, mieszkają radcy i urzędnicy: niańki, mamki, babki,

sługi, małe dzieci, duże długi: dwa są piękne dni w miesiącu, pierwszy i drugi. — W trzeciej dzielnicy... bardzo przestronno: przemysł i handel ma tam być pono; w czwartej same profesory, w piątej księża i doktory, szóstą zaśie pan prezydent dał na amory”...

Cóż dopiero, kiedy przyszedł sam obchód Wielkiego Krakowa, kiedy usługna prasa zaczęła grzmieć w surmy reklamy kładąc nam co dnia w uszy specjalnie ukuty termin „powiększonej ojczyzny”. Uroczystość spaliła po trosze na panewce dla bardzo prostej przyczyny. Kraków był wyspecjalizowany w uroczystościach żałobnych a nie radośnych; nauczony był spoglądać w przeszłość a nie w przyszłość. Przy tym *Wielki Kraków* to było pojęcie zbyt abstrakcyjne. Z czego się miał cieszyć mieszkaniec Zwierzyńca, że odtąd jego prastara dzielnica miała się nazywać *Kraków XIII*? Z czego się miały cieszyć Grzegórzki, że będą się zwały *Kraków VII* czy *IX*? To pachniało prymusem bruków, szkół, kanalizacji, powiększeniem podatków... Słowem, feta, zakrojona na największe rozmiary, z banderiami, krakusami, strażą ogniową, sztandarami, zmieniła się w sztywną galówkę dość kpiarsko przyjętą przez stary Kraków, który nie takie lajkoniki widywał! W dodatku urozmaicił tę uroczystość dość niemiły incydent, w którym ktoś złośliwy mógłby dojrzeć symboliczny omen. Na koniec obchodu, z wieczora, pod kościołem Franciszkańskim sąsiadującym z gmachem magistratu zaaranżowano fotografię dla *Nowości Ilustrowanych*; nastąpił wybuch magnezji, przy czym siła wybuchu uszkodziła słynny witraż Wypiańskiego św. Salomeę, a sam Leo oberwał coś odłamkiem szkła.

Jak tu nie wyzyskać takiej okazji! Urządziliśmy tedy w *Baloniku* parodię całego pochodu, który przeciągał tryumfalnie przez cukiernię Michalika, sam zaś incydent opiewany był na nutę piosenki *Grzmia pod Stoczkim*, zmodernizowanej okolicznościowo na: „grzmia przed Lejem wiaty, błyszczą białe krawaty”... Po wyliczeniu wspania-

łości obchodu samą katastrofę tak utrwaliliśmy, wspólnie z Tolem Noskowskim: „Skoro takie dziś czasy, że ni kroku bez prasy, więc wezwano w cichości fotografa z *Nowości*. Leo wyszedł z za kulis, wzrok natchniony wzniosł w górę, a tymczasem już W. Lis wycelował nań rurę. — Błysło, hukło i trzasło, szyby przysły jak masło; tłum się zwałił na ziemię, Lej się złapał za ciemie. I wyleciał z za bramy franciszkański braciszek: „A łajdaki, a chamy, Salomena, Franciszek!”...

Ale kończyła się pieśń optymistycznym akordem: Więc się nie smuć narodzie, rany zrosną się w blizny, a my cieszymy się w zgodzie z powiększonej ojczyzny”.

Tak więc, bohaterski okres Krakowa zamknął się podwójnym faktem: Wielki Kraków i *Zielony Balonik*: podwójna synteza, uroczysta i kpiarska, dualizm na wskrós krakowski. Wielki Kraków był syntezą materialną, *Balonik* duchową. Dałem wprzód wykład tego zjawiska racjonalistyczny; rozebrałem elementy, przyczyny, starałem się wytłumaczyć co, jak i czemu. Teraz spróbuję dać wykład mistyczny, jedyny jaki w sprawach ducha jest realny. Otóż, *Zielony Balonik* zaczął się tuż po wybuchu rewolucji rosyjskiej, skończył się w okresie wojny bałkańskiej. W tej właśnie dacie 1905 — 1912, można by znaleźć głęboki sens. Wszak 1905, to rok, w którym rozpoczęło się owo podziemne drżenie, mające doprowadzić do wielkich wydarzeń i do naszej wolności. Otóż zastanawiam się dzisiaj, czy najistotniejszym motorem naszych balonikowych zabaw nie było instynktowne antycypowanie tej wolności? Czy nie były one najskwapliwszą rewindykacją prawa do śmiechu, do swobodnego spojrzenia na świat, zdjęciem żałoby, jak gdyby w przeczuciu, że czas jej niebawem ma się skończyć? Czy nie były już *rewizją*, odrzuceniem wielu szacownych przeżytków, które rychło miały się stać niepotrzebne, wielu pobożnych kłamstewek hodowanych w niewoli? Czy nie były próbą przestrojenia tonu? Sądzę, że

w sprawach ducha takie antycypowanie zdarzeń jest rzeczą zwyczajną. „Dusza nie zna interwałów”, jak mawiał Przybyszewski. A czas to jest pojęcie na wskrós użytkowe, lansowane przez zegarmistrzów i fabrykantów kalendarzy...

Koniec



211681

SPIS RZECZY

	str.
Prawy brzeg Wisły	3
Mury i ludzie	11
Pański Kraków	19
Zakrystia	31
Odwet Stańczyka	40
Z dogmatem...	50
Wiatr nad Krakowem	58
Ariel i Kaliban	67
„Na początku była chuć”...	76
Fortepian Stacha	84
„Znaszli ten kraj..”	91
Dzieci szatana	99
Chrzczyny Iwi	106
Kuźnie intelektu	114
Jan Apolinary	124
Szał	136
Wielki Kraków	148